



**MARIA
NUROWSKA**

—
WYBÓR ANNY

MARIA
NUROWSKA

—
WYBÓR ANNY

Spis treści

O autorce

Wybór Anny

Od autora

Przypisy

MARIA NUROWSKA

autorka powieści i dramatów. Wydała ponad dwadzieścia książek, m.in. *Hiszpańskie oczy* (1990), *Listy miłości* (1991), sagę *Panny i wdowy* (1991–1993), *Rosyjskiego kochanka* (1996), *Tango dla trojga* (1997), *Miłośnicę* (1999), *Niemiecki taniec* (2000), opowieść biograficzną o Ryszardzie Kuklińskim *Mój przyjaciel zdrajca* (2004), trylogię ukraińską: *Imię twoje...* (2003), *Powrót do Lwowa* (2005), *Dwie miłości* (2006) oraz wspomnienia *Księżyc nad Zakopanem* (2006). W 2008 roku nakładem W.A.B. ukazała się książka biograficzna *Anders*, w 2009 – powieść *Sprawa Niny S.* Powieści Marii Nurowskiej zostały przetłumaczone na dwanaście języków, w tym chiński i koreański. We Francji i w Niemczech były bestsellerami.

Mogłem się spodziewać, że zrobi coś takiego; być może podświadomie na to czekałem. Ta niejasna myśl dodawała mi odwagi, tłumaczyła jakoś nasz wspólny wysiłek. Obcując z tą kobietą przez kilka miesięcy, miałem wrażenie, że na moich oczach dokonuje się cud. Ze strzępów rozbitej osobowości na nowo powstawał człowiek. Ani ona, ani ja nie wiedzieliśmy, kim będzie, ale z upływem dni gra o jej życie wciągała mnie coraz bardziej. Jak już nadmieniałem, oczekiwałem katastrofy, nie wydawała mi się jednak nieunikniona, miałem nawet pewną nadzieję.

Postawiono mi zarzut, że dla swoich dziennikarskich celów trzymałem tę kobietę w zamknięciu. Mija się to z prawdą. Ona sama nie chciała wychodzić, nie życzyła sobie też spotkań z kimkolwiek innym.

Może parę słów o sobie. Nazywam się Hans Benek, mam trzydzieści sześć lat, jestem kawalerem. Pracuję dla gazety, dla której w latach 1976-1981 pisywałem korespondencje z Polski. Stąd moje zainteresowanie losem Anny Łazarskiej. Zwróciła mi na nią uwagę właścicielka pensjonatu na tyłach katedry w Kolonii.

Idąc na spotkanie z Polką, sądziłem, że ograniczy się ono do jednej rozmowy. Myliłem się. Od pierwszych jej słów wiedziałem, że trafia mi się pierwszorzędny materiał i że nie wolno mi go wypuścić z rąk. Znam na tyle język, że nie mieliśmy trudności w porozumiewaniu się, gorzej było ze spisywaniem z taśmy. Miejscami Łazarska mówiła niewyraźnie, połykała sylaby, czasami pojawiał się skrywany płacz. Zwróciłem się o pomoc do zaprzyjaźnionej Polki, w krótkim czasie zrezygnowałem jednak ze współpracy z nią, gdyż wydawała się nazbyt zbulwersowana tym, co zawierały taśmy. Wiedziała o samobójstwie Anny Łazarskiej, prasa się na ten temat rozpisywała, czyniąc ją jedną z ofiar stanu wojennego. Oto notatka, którą zamieściła moja gazeta:

„Dziś w godzinach rannych wyskoczyła z dziewiątego piętra domu handlowego Hansen obywatelka polska Anna Łazarska, lat 40. Znalaziono przy zabitej bilet lotniczy do Warszawy na 13 grudnia 1981 roku. Czas oczekiwania na przywrócenie lotów do Polski w przypadku Anny Łazarskiej okazał się zabójczy w pełnym tego słowa znaczeniu”.

Zastanawiałem się, jaką formę nadać zebranym materiałom, na które składały się przede wszystkim nagrania moich rozmów z Łazarską, dziennik jej opiekuna, Witolda Łazarskiego, jej zapiski, a także moje notatki i komentarze. Wszystko to wymagało obróbki, było zaledwie surowcem. A jednak, po namyśle, ten właśnie surowiec oddaję do rąk czytelnika, mając nadzieję, że sam ułoży sobie obraz pękniętego życia Anny Łazarskiej. Tekst miejscami może wydać się chropowaty, mało zrozumiały, za co z góry przepraszam.

Bohaterkę dwóch życiorysów znalazłem w bezosobowym wnętrzu. Nie było tam innych oznak życia poza pełną niedopałków popielniczką. Anna Łazarska zrobiła na mnie wrażenie kobiety mało efektownej. Miała mniej więcej 165 cm wzrostu, ciemne, krótko ścięte włosy z oznakami siwizny na przodzie głowy, można by to określić jako siwe pasmo. Mrużyła oczy w sposób typowy dla krótkowidza.

(nagranie dokonane 20 grudnia 1981 roku. Łazarska nie wiedziała, że jest nagrywana)

Ja: Nazywam się Hans Benek, niedawno wróciłem z Polski. Pomyślałem, że może chciałaby pani porozmawiać z kimś w swoim języku.

Ł: Nie zależy mi na rozmowie.

Ja: Nie wychodzi pani, nie ogląda telewizji, nie słucha radia...

Ł: Nie znam niemieckiego.

Ja: Musi się pani czuć odizolowana.

Ł: Wasz język nie jest mi potrzebny.

Ja: Czeka pani na lot do Warszawy?

Ł: Być może.

Ja: Nie jest pani przekonana? Myśli pani o pozostaniu tutaj?

Ł: Tego nie biorę pod uwagę.

Ja: *Jakieś inne państwo na Zachodzie?*

Ł: Nie sądzę.

Ja: *Więc jednak powrót?*

Ł: Co pan nazywa powrotem?

Ja: *Lot do Warszawy.*

Ł: Tak, lot do Warszawy.

Ja: *Przeszkodził pani stan wojenny?*

Ł: Myli się pan, pojechałam na lotnisko, nie wiedząc, że loty są wstrzymane.

Ja: *Co to znaczy?*

Ł: Wahałam się, postanowiłam poczekać jeszcze parę dni.

Ja: *Ale traciła pani bilet.*

Ł: Tak, traciłam bilet.

Ja: *Jak zamierzała pani wrócić?*

Ł: Nie myślałam o tym, może wykupiłabym nowy.

Ja: *W markach?*

Ł: Tak, w markach.

Ja: *To można załatwić za złotówki, wysłać teleks do Polski.*

Ł: Nie mam tam nikogo.

Ja: *Strata biletu to dla kogoś stamtąd duże finansowe obciążenie.*

Ł: Nie myślę o pieniądzach.

Ja: *A o czym pani myśli?*

Ł: Czy mogę dostąpić łaski.

Ja: *Słucham?*

Ł: Łaski odpuszczenia.

(z zapisków Anny Łazarskiej)

Czy mogłabym dostąpić łaski odpuszczenia? Czy powinnam o nią zabiegać? Przecież nawet gdyby on mi wybaczył... Sądziłam, że odległość chociaż częściowo uwolni mnie od tego biednego, schorowanego ciała... Czym może być człowiek, dowiadujemy się w sytuacjach wyjątkowych. Jeżeli takie się nie zdarzają, żyjemy w nieświadomości. Czym może być jeden dzień, który trzeba przeżyć od rana do wieczora, który trzeba przecierpieć. Brak kontroli nad fizjologią może stać się głębokim ludzkim dramatem.

W swoich wysiłkach ojciec był heroiczny. Golił się codziennie, mimo że ta zwykła czynność urastała do rozmiarów góry lodowej, którą trzeba było wyminąć. Pokonywaliśmy ją razem i nie byliśmy sobie przez to bliżsi. Może inaczej, nie umieliśmy sobie tej bliskości okazać. Jego głowa, jak czaszka pomniejszona przez Indian, porażała mnie za każdym razem, kiedy wchodziłam do pokoju. Fotel, który kiedyś wypełniał swoim ciałem, stawał się coraz bardziej pusty. Odchodził z tego świata bez słowa skargi, zawzięty w swoim milczeniu. Tylko ta drobna twarzyczka starego dziecka i przerażone oczy. Moje zdumienie, że mężczyzna okazałego wzrostu i tuszy w ciągu niedługiego czasu może przemienić się w żółkłego, zasuszonego człowieczka. Ale ten ludzki cień był kimś najbardziej realnym w całym moim życiu. Ten człowiek obcej krwi był moją rodziną. Obca krew, czy może istnieć między ludźmi przedział bardziej okrutny? Będę na ten temat miała coś do powiedzenia. Między innymi dlatego zgodziłam się, żeby dziennikarz tu przychodził. Ma znużony wyraz twarzy, co sprawia wrażenie, jakby wiele rozumiał! A poza tym jest Niemcem...

(nagranie z 20 grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku, ciąg dalszy)

Ja: *Pani siebie czymś obciąża.*

Ł: O, tak.

Ja: *Czy możemy o tym porozmawiać?*

Ł: Raczej nie, to by pana znudziło. Nic ciekawego dla dziennikarza, nie weszłam w zatarg z Jaruzelskim. To dotyczy mnie, mnie osobiście.

Ja: *Jestem tu prywatnie.*

Ł: Nie jest pan, pan nie może sobie pozwolić na taką stratę czasu *(uśmiech)*.

Ja: A może chce pani pomóc? Jako drugi człowiek.

Ł: Od kiedy dziennikarze są ludźmi?

Powiniennem nadmienić, że po tej dość dziwnej rozmowie nie uważałem Łazarskiej za osobę niezrównoważoną. Od początku było dla mnie jasne, że za jej słowami ukrywa się autentyczny dramat i moim obowiązkiem jest do niego dotrzeć. Myślę, że Łazarska też była tego świadoma.

Kiedy tamtego marcowego dnia nie zastałem jej w pensjonacie, poprosiłem kierowniczkę o klucz do jej pokoju. Na stole leżał list. Od pierwszych słów wiedziałem, że zwiastuje nieszczęście, którego nie da się już odwrócić. Odsunąłem szufladę. Znalazłem w niej mały magnetofon, zniszczony stukartkowy brulion, kilka listów, a także jej notatki. Postanowiłem wszystko zabrać, zanim zrobi to policja. Była tam między innymi ankietka, o której Łazarska kiedyś wspomniała. Powiedziała coś takiego, że ją wypełniła, ale nie zdążyła zwrócić, bo była już kimś innym.

(ankieta)

Jaki sens ma dla ciebie pojęcie „pokolenia”, czy zaliczyłbyś się do „pokoleniamarcowego”?

Być może, zwłaszcza w młodości, żyłam za bardzo „z boku” i „oddzielnie” – mały brałam udział w rozmaitych przedsięwzięciach i tworach kolektywnych. Dlatego nie wyrobiłam w sobie poczucia przynależności do określonego pokolenia. Przez długi czas środowisko wydawało mi się lepszą podstawą do identyfikacji i poczucia wspólnoty niż pokolenie. Także i teraz, kiedy chciałam zidentyfikować własne doświadczenia i biografie, słowo „pokolenie” nie bardzo mi odpowiada.

Mój ojciec, prawnik, w czasie wojny nie brał czynnego udziału w podziemiu, nie był też żołnierzem powstania warszawskiego, był, jak sam siebie określał, „cywilem”, a mimo to po wojnie został aresztowany i przesiedział sześć lat w więzieniu mokotowskim tylko za swą przynależność do przedwojennej inteligencji.

W szkole średniej w moim środowisku rówieśniczym angażować się lub walczyć o cokolwiek nie bardzo wypadało – byłby to dowód polskiego „małpiego rozumu”. Pewien tak charakterystyczny dla młodości cynizm (czasem pozorny i udawany) i lekceważenie przekazywanych jako obowiązujące reguł gry – powstawały, w moim przekonaniu, przez odniesienie do doświadczeń pokolenia rodziców.

Ze szkoły podstawowej pamiętam śmierć Stalina, naukę religii i rozpoczynanie lekcji modlitwą w niższych klasach. Pamiętam także Październik '56. Przeżywałam go razem z ojcem, który mi pewne rzeczy tłumaczył. W czasie jego uwięzienia przebywałam w domu dziecka.

Początkowe dwa lata studiów na prawie to okres, w którym może najbardziej interesowałam się problematyką społeczną i polityczną. Uczylałam się wówczas ekonomii politycznej i marksizmu, a były to pierwsze teorie, jakie poznałam dokładnie, i wydawały mi się one odpowiednio głębokie, przy tym prawdziwe i etyczne. Później jednak moje zainteresowania powróciły jakby do problematyki indywidualisty czno-psychologicznej (jeśli tak można to określić). Miały one trwalsze i solidniejsze podstawy jako rozszerzone zainteresowania sobą i bliźnimi, z którymi pozostawałam w jakichś stosunkach. W tym samym mniej więcej czasie zaczęła docierać do mnie z wydziału filozofii i socjologii krytyka marksizmu (np. Ossowskiej – że z sądów opisowych w sposób logicznie uprawiony nie można przechodzić do sądów wartościujących, że przepowiednie Marksa się nie sprawdzają itd.) i istniejącego wówczas porządku społecznego, a jednocześnie, dzięki wyjazdom za granicę (głównie) – wydawnictwa „Kultury”. Zabawne, że język tych wydawnictw przy pierwszym zetknięciu wydawał mi się zbyt „prywatny”, za mało oficjalny i uczony, co na samym wstępie wzbudziło moje podejrzenia co do wartości przekazywanej wiedzy. Dopiero po jakimś czasie odczułam, że był to język wyższej jakości niż np. język „Kultury” warszawskiej, do której byłam wcześniej przyzwyczajona. Tak więc po dwu początkowych latach studiów przeszło mi zainteresowanie polityką, nie byłam też nigdy członkiem żadnych organizacji politycznych ani młodzieżowych. Po dwu latach niezbyt głębokiego zainteresowania ideami socjalizmu powróciłam więc do wyniesionych z domu przekonań – w nie za bardzo pogłębionej formie – o tym, że istniejący w Polsce system jest niesprawny, a miejscami wręcz idiotyczny.

W tym czasie przerwałam studia na prawie, na które namówił mnie ojciec, i zaczęłam uczęszczać do konserwatorium, początkowo jako wolny słuchacz, potem przyjęto mnie na pierwszy

rok studiów. Potem wydarzył się Marzec '68. Wielu moich znajomych zatrzymano czy nawet posadzono przy różnych okazjach. Sama brałam udział w niektórych zgromadzeniach i „okolicznościach” towarzyskich (wiec na dziedzińcu UW, pochody, odwiedzanie strajkujących, pamiętam, że wówczas na strajk okupacyjny studentów mówiono „strajk włoski”), ale zajmowałam jedynie pozycję biernego obserwatora. O swojej postawie wówczas mogłabym powiedzieć mniej więcej tyle: byłam biernym obserwatorem wydarzeń, „ruch” popierałam i identyfikowałam się z nim w takim samym stopniu jak przeciętni studenci. Mimo wielu kontaktów towarzyskich i przyjacielskich nie identyfikowałam się natomiast z grupą organizatorów, aktywistów i działaczy studenckich – to było jakby inne środowisko. Kto wie, czy nie najwyraźniejszym doświadczeniem Marca '68 było odkrycie „problemu żydowskiego” w Polsce. Przekonałam się wówczas naocznie (przedtem słyszałam jedynie o „Żydach w rządzie”), że w Polsce są Żydzi i że wielu z nich to moi znajomi lub przyjaciele...

(z zapisków A. Ł.)

Wydawało mi się, że dość dobrze wiem, kim jestem, do czasu aż odnalazłam w szufladzie biurka jego notatki. Był już wtedy śmiertelnie chory. Pierwszy zapis, na który natrafiłam:

„Już przeszło tydzień tkwimy w piwnicy, zza przysypanego okna przedostaje się trochę niemrawego światła. Żywimy się spleśniałą marchwią i burakami. Oprócz mnie jest tutaj lokator z piętra wyżej, któremu wybuch zasypał oczy, i młoda kobieta. W czasie bombardowania straciła dziecko, co zmienia sytuację małej Żydówki. Kobieta karmi ją piersią i wydaje się to błogosławieństwem dla nich obu.

Z pewnego rodzaju ulgą myślę, że po przeszło roku dość niewygodnego obowiązku mogę czuć się zwolniony. Mógłbym. Oto zobaczyłem małą, jak pełźnie w moją stronę. Przypominała przedpotopowe zwierzątko. Kwadratowa, wielka głowa pozbawiona włosów, zamknięte oczy, lekko wysunięty i uniesiony do przodu podbródek, jakby kierowała się węchem”.

(nagranie)

Ł.: Jakie dziecko, pomyślałam wtedy, dlaczego nigdy mi nie opowiadał? Cofnęłam się kilkanaście stron i natrafiłam na opis odnalezienia. Nawiedziło mnie przecucie, że to nędzne życie, odkryte w załamaniach starej marynarki, mogło być moim życiem. Odrzuciłam je w popłochu. Ojciec bawił się w literata. Zdaje się, że przytaknęłam sobie głową na znak, że to na pewno jego niewyżyte literackie ambicje. Posyłał jakieś opowiadania myśliwskie do „Łowca”, niektóre mu nawet drukowano. Co mogłam mieć wspólnego z żydowskim dzieckiem? Nazywałam się Anna Łazarska, matka moja, Irena z Gniewkowskich, zgarnięta w ulicznej łapance, zginęła w Oświęcimiu. Jako dziecko godzinami wpatrywałam się w jej portret. Miała jasną, ładną twarz. Cieszyłam się, że tak wygląda moja matka...

(z zapisków A.Ł.)

Z okna widać róg ulicy, sklep po przeciwnej stronie i kawałek stacji benzynowej. Takie jest teraz moje pole widzenia. Mogę obserwować podjeżdżające samochody. Zwykle są duże, wysiadają z nich mężczyźni w średnim i podeszłym wieku. Dziwi mnie, że pomimo zimna noszą cienkie płaszcze. Być może w ich limuzynach jest ciepło. Ci starsi mają siwe włosy, obwisłe podbródki i dobrotliwy wyraz twarzy. Każdy z nich sprawia wrażenie dobrego Niemca. A gdzie się podzieli ci źli?

Przypomina mi się, że ilekroć znalazłam się za granicą w jakimś towarzystwie i przypadkowo pojawił się tam Niemiec, uważał za swój obowiązek poinformować mnie, że w czasie wojny pracował w intendenturze. Niemiec w odpowiednim wieku, zapomniałam dodać, ci młodszy mogli mieć już dowolną przeszłość. I to wszystko dlatego, że byłam Polką. A gdybym powiedziała, że jestem Żydówką...

Widok z okna nic nie mówi o bliskości katedry, tej słynnej katedry obok dworca kolejowego. Byłam wstrząśnięta jej widokiem. Stałam i zadzierałam głowę. To było dawno, miałam wtedy kilkanaście lat, oglądałam ją z ojcem, czy raczej opiekunem. W czasie tego pobytu już tak nie stałam, prześladowało mnie wspomnienie i nie to uosobienie strzelistej myśli ludzkiej było ważne, ale tamten człowiek... Może dlatego tu przyjechałam. Może chciałam odszukać siebie, tamtą kilkunastoletnią dziewczynkę. I odszukać jego...

Ten dziennikarz. To, że tutaj przychodzi, w żaden sposób nie może wpłynąć na bieg wydarzeń. On myśli inaczej, ale to złudzenie. Nie wie, że potajemnie nagrywam nasze rozmowy. W szufladzie trzymam mały magnetofon. Włączam go, gdy słyszę pod drzwiami jego kroki. Poznają je. Mam ostatnio bardzo wyostrzony słuch.

Mężczyzna jest przekąźnikiem moich myśli, odbijają się w nim jak w lustrze. Przez to, że do niego mówię, stają się dla mnie bardziej czytelne. Po jego wyjściu przesłuchuję taśmę, mogę ją cofnąć, puścić od początku...

Okrucieństwo czasu dotknęło mnie z zupełnie innej strony, niż to się zwykle dzieje, nie zaskoczyło mnie przemijanie, starzenie się moich oczu, twarzy, ale... *(tekst się urywa)*

Narkoza, budzenie się z niej. Najpierw jakieś trzaski, przebłyski dalekiego, jak w tunelu, światła.

A potem nagły triumf: Byłam w ciemnym pokoju! Nie bałam się!

(z dziennika Witolda Łazarzkiego)

Nie rozumiem jej obłądnego lęku przed ciemnością pokoju, czyżby pamiętała piwnicę? Staram się to jakoś przełamać, takie zastarzałe lęki mają tendencję do rozszerzania się w podświadomości, powstają z tego fobie. Ale za nic nie wejdzie do mojego gabinetu, kiedy nie pali się tam lampa. Ja wchodzę, potem wracam, a ona nie daje się namówić.

(nagranie)

Ja: Ile lat ma w tej chwili Witold Łazarzki?

Ł: Osiemdziesiąt.

Ja: Jest już starym człowiekiem.

Ł: Nie jest stary, jest tylko bardzo chory. Nie zauważyłam żadnych zmian w jego ocenie świata i zjawisk. Każdą myśl formułuje niesłychanie precyzyjnie. Zawsze mnie to trochę zbijało z tropu, wydawałam się sobie rozrzutna, mówiąc niezbyt jasno. On nie użył nigdy jednego słowa za dużo. Problemem jest raczej ograniczona sprawność fizyczna. Zawsze był samowystarczalny. Ja chodziłam do szkoły, studiowałam, a on, można powiedzieć, prowadził dom.

Nie było u nas służącej, bo nie zniósłby w domu obcych osób. Robił zakupy, gotował obiady. Do mnie należało sprzątanie, ale kiedy przeszedł na emeryturę, i w tym mnie wyręczał. Nie sprzątał tylko mojego pokoju, szanując moją prywatność.

(z dziennika W. Ł.)

Z rana zaczęło padać i myślałem, że trzeba będzie zrezygnować ze spaceru, ale około południa niebo pojaśniało i nawet zdarzały się przebłyski słońca. Wychodząc, wziąłem jednak parasol. Na schodach spotkałem Z. Uchyliliśmy kapeluszy, od owej pamiętnej rozmowy zawsze tak się mijamy, nie zamieniając słowa. Słuszność mojej decyzji wydaje się bezsporna, bardziej nawet teraz niż wcześniej. Cywil nie powinien udawać wojskowego, zwykle kończy się to źle i dla niego, i dla jego towarzyszy.

– Nie umiem bawić się w wojsko – odpowiedziałem na jego propozycję.

– Ale bawi się pan w wojnę – rzekł. W jego wzroku wyczytałem coś jakby pogardę, a także potwierdzenie, że jednak się co do mnie nie pomylił.

– Służę pomocą jako prawnik – powiedziałem.

– Jako prawnik jest pan nam najmniej potrzebny – odparł z nieskrywaną tym razem ironią.

Podał mi płaszcz, wychodząc, uchylił kapelusza. I tak już pozostał nam ten jeden, mało znaczący w stosunkach międzyludzkich gest.

Na dole zaskoczyło mnie ciepło tego bądź co bądź kwietniowego popołudnia. Dziwne kaprysy wiosny, jeszcze parę dni temu panował nieopisany ziąb, ludzie kryli się w podniesionych kołnierzach, a dzisiaj można było spacerować w ubraniu do figury. I deszczyk okazał się bardziej finezyjny, niż można się było spodziewać. Zastanowiłem się chwilę, czyby nie wstąpić do siostry Ireny, ale po namyśle zrezygnowałem. Spotkanie na schodach z Z. było wystarczająco irytujące. Skierowałem się w stronę przeciwną, zwykle zwracałem, gdy mur wydawał się zbyt blisko, tym razem poszedłem dalej. Trudno mi teraz skomentować ten fakt, być może długie ślęczenie nad książkami zniechęciło mnie do szybkiego powrotu do domu. Potem zobaczyłem to, co leżało pod murem. Przez chwilę pomyślałem, że to czyjaś porzucona marynarka. Nie myliłem się. O dziwo, lekko się

poruszała. Zdecydowałem się rozchylić nieco kłapy, i wtedy zobaczyłem to dziecko.

(z zapisków A.Ł.)

Po wyjściu z więzienia mój opiekun odnalazł mnie w domu dziecka. Pojechaliśmy do K. Wznosił tam praktykę adwokacką. Na drzwiach naszego mieszkania wisiała tabliczka: „Witold Łazarski, adwokat”. I to oznaczało, że nic już nam nie zagraża. Obecność tabliczki była gwarancją dla nas obojga. Tak wtedy myślałam. Miałam trzynaście lat, byłam chuda, o trochę bezbarwnej twarzy, tylko oczy były strasznie czarne. Stróż z naszej kamienicy, kochany pan Brzózka, zawsze żartował. – No, no, znowu pannica umalowała oczy, co powiedzą w szkole. – Oczu nie malowałam, ale za to troszeczkę brwi. Ojciec miał wyrazistą, dla mnie bardzo piękną twarz. Tak chciałam być do niego podobna! Niestety, był blondynem o jasnych oczach, miał zupełnie inne niż ja rysy. Kiedy go raz spytałam, dlaczego nie jestem podobna ani do niego, ani do matki, uśmiechnął się. – Zdarza się nawet w najlepszej rodzinie – odrzekł. Żart to była nasza moneta obiegowa.

Co zrobiłam, kiedy wreszcie dotarło do mnie, że ta mała Żydówka to ja? Chyba podeszłam do lustra i spojrzałam na swoją twarz. Tak, spojrzałam w nią, zagłębiłam się wzrokiem jak w coś widzianego po raz pierwszy. Moja twarz... Przyzwyczyłam się brać ją za pewnik, a teraz się miało okazać, że nie należała do mnie. Nawet wtedy, gdy byłam dzieckiem, to tamta wykrzywiała się i stroiła miny przed lustrem, jak nikt nie widział, to ona zawiązywała wstążki w moich warkoczach. A gdzie byłam ja w tym czasie?

Zadaję sobie dziwne pytania – przebiegło mi przez głowę. – Trzeba po prostu iść do niego i spytać. Niech udzieli odpowiedzi, skoro pozwolił, aby jakaś Żydówka żyła potajemnie moim życiem, niech teraz powie, co dalej. Ale on nie nadawał się do takich pytań. Ze wszystkim był teraz zdany na mnie. W tym zbudowanym przez niego domu, w tej twierdzy, byliśmy tylko we dwoje.

(z dziennika W. Ł.)

Przedemną, w brudnym, cuchnącym stęchlizną łachmanie, leżało niemowlę. Balonowata, pozbawiona owłosienia głowa, nawet jakieś bezrzęse oczy. Całe ciało pokryte ropiejącymi wrzodami. Nie miałem uczucia, że obcuje z istotą ludzką. (na marginesie dopisek A.Ł.) „Ile razy już to czytałam? I zawsze to samo zdumienie, że on mógł tak o mnie pisać. Nie byłam zresztą niemowlęciem, dawno przekroczyłam rok życia, ale to okazało się później, kiedy swoim wyglądem zaczęłam przypominać człowieka”.

Zapukałem do Z. Otworzył mi w rannych pantoflach, z uśmiezkiem wyższości na ustach. – Proszę dalej – rzekł uprzejmie. – To ja raczej chciałbym zaprosić pana do siebie.

– Czy coś się wydarzyło? – spytał ostrożnie.

– Tak. Sądzę, że tak.

Dziecko leżało w starej marynarce. Dziwny zapach zdążył wypełnić cały pokój. Z. przyglądał się z najwyższym zdumieniem.

– Co to jest? – spytał wreszcie.

– Niemowlę. Znalazłem je dzisiaj.

– Jak to, znalazł pan?

– Leżało pod murem, po naszej stronie.

Z. aż podskoczył.

– I czego pan ode mnie oczekuje?

– Raczej od was. Oczekuję od was pomocy. Nie mam żadnego doświadczenia z małymi dziećmi.

– Myśli pan, że Armia Krajowa została powołana do podcierania tyłków żydowskim dzieciom?

– Ja nic nie myślę, żądam pomocy.

– Żąda pan – Z. uniósł wysoko brwi – a nam jej pan odmówił.

– Nie odmówiłem, nie mogłem inaczej.

Zapadło milczenie.

– Zobaczą, co się da zrobić – rzekł wreszcie Z. – na razie trzeba je nakarmić. Ma pan mleko w proszku?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Powinienem mieć resztkę u siebie. No i niech pan nie rozpowiada, sprawa jest gardłowa. Gdyby płakało...

– Dotąd nie wydało z siebie głosu.

– Tym lepiej.

Z. zdecydowanym krokiem opuścił mieszkanie, by za chwilę pojawić się z puszką angielskiego mleka w proszku.

(na marginesie dopisek A.L.)

„Z. wrócił z puszką angielskiego mleka w proszku. Mała Żydówka odchorowała to poważnie, było za tłuste. Biegunka wyniszczyła ją jeszcze bardziej. Istniała obawa, że wreszcie przestanie żyć». To on napisał to karkołomne zdanie. Świadomie czy nieświadomie określił swój późniejszy stosunek do mnie. Obawiał się, że wreszcie go od siebie uwolnię. Które stwierdzenie było dla niego ważniejsze, być może uda mi się ustalić. Z tego powodu sterczałam na leśnej drodze, wypatrując czegoś między drzewami. On zawsze się gniewał, że psuję mu polowanie. Cały czas musiał pamiętać, że ja tam stoję i czekam. – Daruj sobie chociaż, gdy pada deszcz – mówił. Ale nie mogłam. Musiałam tam biec i dostać swój wielki prezent – uwieszenie się najego szyi. Zapach potu pomieszanego z nikotyną. Tak pachniało dla mnie bezpieczeństwo. Wokół nas kręcił się i podskakiwał Fil, wyżeł, którego wychowaliśmy od szczeniaka i przy którego agonii oboje czuwaliśmy. Był już wtedy stary, z posiwiałą brodą. Cierpiał na niewydolność nerek. Męczył się bardzo, a my byliśmy bezsilni. Warowali

śmy przy jego posłaniu w dzień i w nocy, a on rzucał co jakiś czas w naszą stronę wdzięczne spojrzenie. To był jedyny wypadek, kiedy ojciec pozwolił mi opuścić szkołę. Chodziłam do niej nawet z lekką gorączką, dostawałam czosnek z miodem i mlekiem i byłam odwożona pod samą bramę. Koleżanki się ode mnie odwracały, bo zdrowo cuchnęłam. Ale wtedy mogłam siedzieć kamieniem przy Filu. I byłam ojcu za to wdzięczna. Być może oboje przeczuwaliśmy, że odchodzi członek naszej szczupłej rodziny i że nie pojawi się już inny. Nie wzięliśmy innego psa.

Czy mogłam przypuszczać, wieszając się na jego szyi, że w nim właśnie zamknięta jest tajemnica mojego losu. Dlaczego to zrobił? Dlaczego pozwolił mi być kimś innym? Czy nie rozumiał, że w ten sposób okalecza moją duszę? A jeżeli już podjął taką decyzję, dlaczego pisał? Czy raczej dla kogo?

Nie wiem już, o co mam większy żal, o to, że milczał, czy o to, że pisał. Czy zależało mu, abym się dowiedziała, jak zimno na mnie patrzył? Być może w swoim przekonaniu nie oszukiwał mnie.

– Powiedz do mnie córeczko – upierałam się.

Kręcił ze śmiechem głową.

– Nie mogę, bo ty jesteś Anka.

Śmiał się, a ja miałam oczy pełne łez. Nigdy nie powiedział o mnie «moja córka». Zawsze było to tylko imię. Wtedy nie wyciągnął ręki w moją stronę, nie złagodził. Chciał mnie wychować na odpornego człowieka. Przy takiej metodzie pieszczoty nie były dozwolone. Tylko na drodze, gdy ze strzelbą wychodził z lasu, mogłam się do niego przytulić. Mogłam obejmować rękami jego szyję. Tylko tyle sobie wywalczyłam i nie pozwalałam odebrać.

– Mogłabyś sobie darować chociaż, gdy pada deszcz – mówił z gniewem.

Nie mogłam. Stałam na skraju leśnej drogi, przemoknięta do nitki, kolana latały mi z zimna, ale nie było siły, która by mnie stamtąd ruszyła. Czekałam na swojego ojca. Gdyby mi powiedział, czekałabym na ojca. Ale on wybrał kłamstwo. Ten prawy człowiek postanowił przeżyć życie w oszustwie i długo nie mogłam znaleźć odpowiedzi dlaczego. Nie próbował wyjaśnić, kazał mi brnąć dzień po dniu w nieprawdę mojego losu i sam brał w tym udział. Przecież wystarczyło powiedzieć:

– Nie mogę, bo jesteś małą Żydówką.

Wtedy, kiedy miałam sześć lat, a potem trzynaście, i kiedy umysłem dziecka byłam w stanie to ogarnąć. Dzisiaj jest już za późno. Dla mnie. Dla niego. To dlatego go zostawiłam, gdy mnie najbardziej potrzebował. Opuszczałam go, wiedząc, że umiera i że jestem całą jego rodziną. Nie mogłam inaczej. Ale wrócę. Już wiem, że wrócę. Moje przywiązanie okazało się silniejsze od goryczy,

jakiej doznałam po znalezieniu jego «notatek». Taką dał nazwę brulionowi: «Notatki». Na stu kartkach rozegrał się niemy dramat naszego spotkania i wspólnego życia. Niemy, bo nie zdecydował się przełożyć go na słowo mówione.

Może bał się, że go opuszczę? To byłoby najlepsze wyjaśnienie. Kierował nim zwykły ludzki lęk? Lęk przed samotnością? Znając go, nie mogłam tak sądzić. On by to uznał za małostkowe. Przyczyna musiała być inna. Przecież już raz nas rozdzielono. Mógł po mnie nie wrócić. Wystarczyło rzec się, napisać albo nawet w drzwiach domu dziecka powiedzieć:

– Przyszedłem po ciebie, ale nie jestem twoim prawdziwym ojcem.

Wtedy bym to przyjęła, bo najważniejsze było dla mnie, że przyszedł.

Aresztowano go na początku 1949 roku”.

(z *dziennika W. Ł.*)

Z. obiecał mi, że najpóźniej za tydzień będę mógł pozbyć się kłopotu. Ktoś odbierze przesyłkę. Można powiedzieć, że zmęczyła mnie przez te dwa miesiące. Pręde wszystkim nieustająca biegunka, która ją wyniszcza. Z. znosi jakieś leki, o sprowadzeniu lekarza na razie nie może być mowy. Istnieje obawa, że mała Żydówka wreszcie przestanie żyć. Ciągłe tli się to uparte życie. Część wrzodów już się zagoiła dzięki mazidłu, które zdobył Z. Przez ten cały czas nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nagie oczy w przerażająco dużej głowie patrzą w jeden punkt. Trudno powiedzieć, co się rozgrywa w tym dziecku. Jest bierne do granic możliwości. Niestety, być może wskutek złej pielęgnacji na plecach porobiły się odleżyny. Dopełnia to obrazu męczeństwa.

Z. jest doprawdy dziwnym egzemplarzem ludzkim. Przez te miesiące, kiedy doglądaliśmy dziecka, nie odnalazłem w nim jednego cieplejszego uczucia, chociażby litości. Podchodzi naukowo do sprawy. Ogląda to marne ciało, komentując: – No, z lewej już jest lepiej, nie widać ropy. Tak, tak, znaczna poprawa. – Ostatnio wymyślił sposób na odleżyny: trzeba dziecko nosić. Nosimy je więc godzinami. Na zmianę, nawet w nocy.

(*dopisek A. Ł.*)

„Czytając to, pomyślałam, że muszę odnaleźć człowieka, który podchodził naukowo do nieszczęścia, jakim byłam. Uczucie litości poniżyłoby mnie znacznie bardziej. Nie rozumiał tego człowiek, z którym mieszkałam pod jednym dachem przez całe swoje życie. Nigdy mu nie powiedziałam, że przez lata rozłąki pierwsza nie odezwałam się do nikogo, tylko odpowiadałam na pytania. W domu dziecka panowała o mnie opinia, że jestem trudna, a ja po prostu czekałam”.

(z *dziennika W. Ł.*)

Naiwność polityczna Z. jest bezprzykładna, tym to smutniejsze, że stoi za nim przecież najbardziej licząca się siła narodu. Chciałbym przestrzec tych ludzi, że ich orientacja powinna się raczej kierować na Wschód. Stało się to oczywiste, kiedy czerwona lava ruszyła. 22 czerwca jest jedną z bardziej znaczących dat dla nas, Polaków. Tym razem Niemcy zostaną pobici, pod koniec czterdziestego trzeciego roku jest to bardziej oczywiste niż kiedykolwiek.

Po raz pierwszy od wybuchu wojny sięgnąłem po poezję Goethego w oryginale. Zadziwiająca, jak potrafi przeobrazić się język, jakże inny jest od tego, który słychać za oknem, na ulicy.

Przyszła oficjalna kartka od Ireny, stamtąd. Pozdrowia, życzy szczęścia i spokoju. Szczęście i spokój, cóż za paradoksalne życzenia w tych czasach!

Mała Żydówka zrobiła nam niespodziankę, okazało się, że jest starsza, niż sądziliśmy. Ma już kilka zębów, czyni też postępy, raczkując całymi godzinami. Jedno się nie zmieniło... nie wydaje z siebie głosu. Oczy stały się ruchliwe i, mógłbym zaryzykować stwierdzenie, komunikatywne. Robiliśmy z Z. doświadczenia, upuszczając zniecka jakiś przedmiot na podłogę. Skulenie ramion wskazuje na to, że nie jest głuchoniema. Wydaje się nawet, że ostatnio zaczęła rozpoznawać na schodach kroki Z. Być może rozumie, że w ten sposób przychodzi do niej mleko.

Kiedy nie można było uporać się z biegunką i wrzodami, Z. podjął decyzję, że należy pacjentkę pokazać lekarzowi. Nie ryzykowaliśmy sprowadzenia go tutaj, trzeba było przetransportować dziecko na Mokotów. Dokonaliśmy tego w koszu na bieliznę, kosz wieźliśmy rikszą. Był zimny dzień i pomysł zaczął mi się wydawać coraz mniej sensowny. Przy tak wycieńczonym organizmie mogło wywiązać się z tej przejażdżki zapalenie płuc. Ale jakoś do niczego nie doszło. Doktor stwierdził, że dziecko jest zapóźnione i nigdy niekarmione piersią.

– Kobiety w getcie nie dawały dzieciom piersi? – zdziwił się Z. – Słyszałem, że to szczególnie ofiarne matki. Nawet jest takie powiedzenie: jak żydowska matka...

– Matkom w getcie pokarm wysychał – odparł doktor, a sposób, w jaki to powiedział, wyjaśnił przyczynę, dla której wybór Z. padł właśnie na niego.

Przepisał witaminy, bagatela! Poleciał też bardziej rozcieńczać mleko. Okazuje się, że stosowaliśmy złe proporcje, ciągle było zbyt tłuste. Co do oznak braku mowy nie umiał powiedzieć nic.
(nagranie)

Ł: Najpierw było lustro, przyglądałam się swojej nie swojej twarzy. Potem wyciągałam teczkę z recenzjami. Mój opiekun starannie porządkował je, wklejając na osobnych stronach. Pisano o mnie: „Łazarska wspaniała artystka”, „Geniusz ręki Łazarskiej”... czytałam to wszystko z niejakim zdumieniem.

Ja: *Bo właśnie się pani dowiedziała, że jest kimś innym? Przecież w gruncie rzeczy to była kwestia nazwiska.*

Ł: To nie była kwestia nazwiska, to była kwestia krwi.

Ja: *Nie czuła jej pani tyle lat. Dlaczego szuflada miała to nagle zmienić? Tam leżały tylko zapisane kartki.*

Ł: Nie, tam leżało moje prawdziwe życie.

Ja: *Tak pani sądziła pod wpływem wstrząsu, potem zaczęło się to zmieniać.*

Ł: Potem zaczęło się to zmieniać, ale działo się to wbrew mojej woli. Chciałam być tym, kim powinnam.

Ja: *To znaczy kim?*

Ł: Córka prawdziwego ojca.

Ja: *Samuela Zarga?*

Ł: Tak, córką Samuela Zarga.

Ja: *Skąd ta pewność, że skrawek żydowskiej gazety jest pani metryką urodzenia? To była tylko recenzja z koncertu w getcie. Fragment recenzji i nazwisko skrzypka oraz jego dziewięcioletniej występującej z nim razem córki...*

Ł: Tak, to chodziło o moją średnią siostrę, Chaję.

Ja: *Skrawek gazety w kieszeni marynarki, czy to nie jest wątpliwy dokument? Nie lepiej było włożyć karteczkę z nazwiskiem, imieniem i datą urodzenia?*

Ł: Ojciec mógł myśleć, że to niebezpieczne.

Ja: *Bliskość muru nie mogła budzić wątpliwości, kim pani jest.*

Ł: Dziecko bez imienia i nazwiska jest jednak bardziej anonimowe.

Ja: *Ktoś, kto ma odwagę schylić się po takie dziecko, weźmie je bez względu na to, czy jest anonimowe, czy nie.*

Ł: Trudno mi odtworzyć rozumowanie rodziców. Przecież mogli liczyć tylko na cud. A czy cuda się zdarzają?

Ja: *Widocznie tak, skoro teraz rozmawiam z panią.*

Ł: Ale oni nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć.

Ja: *Widocznie kochali panią bardziej niż samych siebie.*

Ł: Czy z miłości oddaje się dziecko?

Ja: *Ratuje się mu życie.*

(dalszy ciąg ankiety na temat „Pokolenia”)

Jak już wcześniej wspomniałam, ani w '68 roku, ani wiele lat później nie miałam poczucia przynależności do określonego pokolenia, a zwłaszcza do pokolenia, którego wyróżnikami były wydarzenia marcowe (mimo że do postawy studentów, moich kolegów i przyjaciół zaangażowanych w te wydarzenia, miałam stosunek przychylny).

W roku 1980 moje doświadczenia społeczne znacznie się wzbogaciły. Poznałam lepiej ludzi, poznałam lepiej Polaków. Byłam na spotkaniu z papieżem na placu Zwycięstwa, brałam udział jako „obsługa” w pochodzie „Solidarności”, zablokowanym na rondzie przy Marszałkowskiej.

(z zapisków A. Ł.)

Taka moja „gwałtowna” reakcja na „Solidarność” wzięła się być może z chęci przeciwsta-

wienia się wreszcie ojcu. Jego bierna postawa wobec wszystkich wydarzeń w Polsce zawsze mnie trochę rozczarowywała, a jednak jej ulegałam, ustawiając się trochę z boku. W głębi duszy miałam o to do niego żal.

Już jako dziecko. Chwaliłam się ojcem bohaterem, który siedzi w więzieniu za ideały. Pamiętam taką scenę z domu dziecka. Do mojej koleżanki z pokoju przyjechał wujek z Mińska Mazowieckiego. Prawdziwy wujek, w kozuchu i długich wołokowych butach. Rozejrzał się po twarzach, jego wzrok spoczął na mnie, stojącej najbliżej siostrzenicy.

– Po co się zadajesz z tą Żydówką – rzekł, w ten sposób stając się niechcący prorokiem.

– Wujek, to adwokatówna – zaproponowała dziewczynka – jej tato siedzi.

Na wzmiankę o więzieniu wujek się rozchmurzył, a chcąc naprawić gafę, poczęstował mnie cukierkiem.

Ojciec zresztą szybko wyprowadził mnie z błędu.

– W więzieniu znalazłem się przez przypadek – powiedział – wzięli mnie za kogoś innego.

W ten sposób zabrał mi powód do dumy z jego patriotycznej przeszłości. Jego dystans do spraw narodowych pozbawił mnie wielu uniesień i wzruszeń. Zbyt mu ufałam, aby podawać w wątpliwość jego sądy. Żył dłużej ode mnie, wiedział więcej, umiał wyciągać wnioski. To były argumenty nie do obalenia. A poza tym tak rzadko ze sobą rozmawialiśmy, że kiedy otwierał usta, było to dla mnie niemal wydarzeniem. Pamiętam dokładnie, co powiedział przy okazji rozmowy o zbiorach białej broni, które należały do dziadka. Część z nich się zachowała. Zdobią ścianę w gabinecie ojca.

– Machanie szabelką to nasza narodowa specjalność, a dziadek tak się zagalopował, że zafundował ich sobie tuzin, co ja mówię, dwa, trzy tuziny...

To był oczywiście żart. Dzisiaj wiem, że ojciec miał wiele racji, ale czegoś mnie jednak pozbawił.

Była taka chwila, kiedy układ sił między nami bardzo się zachwiał. To było wtedy, kiedy zamieszkał z nami mój mąż. Prawdę mówiąc, wyszłam za niego, bo lepiej jeździł na nartach od ojca, a może był tylko młodszy. Jego dobre samopoczucie sportowca bardzo mi odpowiadało. Dobrze się przy nim czułam, jego twarz miała w sobie coś optymistycznego. Oprócz tego, że jeździł na nartach, odnosił także sukcesy naukowe, był najmłodszym doktorem fizyki w Polsce. Ale ojciec jakoś to lekcewazył. On uznawał tylko wykształcenie humanistyczne. O moim mężu nie mówił inaczej jak „narciarz”, a w przypiływie dobrego humoru „fizyk”. Dla niego mój mąż nie miał imienia.

– Czy narciarz był już w łazience? Czy fizyk już wyszedł?

Kiedy powiedziałam mu o rozwodzie, nic nie odrzekł, ale w jakiś czas potem wypowiedział jedyne podsumowujące moje małżeństwo zdanie:

– Na nartach jeździ się dwa tygodnie w roku.

Był dla mojego męża niesprawiedliwy. Drażnił go optymizm tamtego i chęć działania. Powiedzenie: „byle do przodu” doprowadzało ojca do białej gorączki, nie okazywał tego, był na to zbyt dobrze wychowany, ale ja wiedziałam.

Popeliłam błąd, wprowadzając świeżo poślubionego męża do domu ojca. Trzeba było coś wynajść albo nawet wyjechać do innego miasta. Ale musiałabym rozerwać sieć, w której tkwiłam od najwcześniejszego dzieciństwa. Ojciec nie chciał mnie z niej wypuścić, do wyższych klas liceum chodziłam już w Warszawie, żeby nie mieć trudności w dostaniu się na studia. Tylko kilka miesięcy mieszkałam sama, ojciec w tym czasie zajmował się przeprowadzką. Miał wgląd we wszystko, kontrolował moje zajęcia, sprawdzał, czy nie marnuję czasu. Kiedy raz wszedł w rolę ojca, chciał być w niej najlepszy. Wykazywał wiele zainteresowania mną i wiele troski, a jednak nasz dom był zimny. W sensie uczuciowym. Nie nauczyliśmy się kochać siebie na zewnątrz, nasze uczucia były głęboko schowane. Uczucie mojego męża pełgało pod skórą, wydostawało się ustami, każdym ruchem, spojrzeniem. Ta konfrontacja mogła się skończyć tylko źle. Ktoś musiał przegrać. Przegrał ten, kto był sam. Zbiegał po schodkach z walizką, a ja połykałam łzy. Do kolacji zasiadł am już normalna.

Z tym obojętnym wyrazem twarzy, tak chętnie w naszym domu widzianym.

(z dziennika W. Ł.)

W tych czasach jaką możemy mieć pewność, co jest naprawdę dobre, a co złe? Jaka powin-

na być miara? Do jakiej granicy człowiek pozostaje uczciwy, a kiedy ją przekracza? Co jest obroną własną, a co przestaje nią być? Pytania, na które ciągle nie znajduję odpowiedzi.

Z. uważa, że Żyd, który puka do naszych drzwi, nie ma do tego moralnego prawa. Chcąc ratować siebie, naraża całą polską rodzinę. Można by się z tym zgodzić, ale przedtem trzeba by przyznać, że przestaliśmy być cywilizowanym narodem.

Twarz mojej żony Ireny. Wydawało się, że jest nie do wymazania. Dwadzieścia lat wspólnego życia! A jednak zaczyna się zacierać.

(nagranie)

Ł: Nie mogłam odczytać tego skrawka gazety, nie znałam jidysz. Trafiłam do starego pisarza, który w tym języku pisze swoje książki. Napisał ich już kilkanaście, ale nie wydał żadnej. Nie ma dla kogo. Jak pan wie, w Polsce nie ma już Żydów. Zanim zdążyłam otworzyć usta, powiedział: – Wejdz, Miriam. Zwrócił się do mnie po imieniu, a ja poczułam chęć ucieczki. Panikę. Wie pan, skurcz w gardle, słabość kolan. Stary człowiek w jarmułce, z siwymi pejsami i długą brodą wziął mnie za łokieć i podprowadził do mocno wytartego fotela, z innych mebli była tylko kozetka i same książki. Posadził mnie w fotelu, usiadł na kozetce. – Jesteś córką Samuela Zarga, żydowskiego artysty, o którym świat zapomniał – powiedział – nosisz obce nazwisko, ale jesteś jego córką, grasz na jego skrzypcach. Chciałam protestować, zaprzeczać. On kręcił głową: – To są skrzypce twojego ojca – powtórzył. Potem zrozumiałam, co miał na myśli.

Ja: Czy mówił coś o tym podrzuceniu?

Ł: Tak. Tego dnia, kiedy rodzice podjęli tę decyzję, był w ich domu. Matka płakała, ojciec na nią krzyczał. Moje dwie siostry już zostały z getta wyprowadzone, mnie nikt nie chciał wziąć, bo byłam za mała...

(z dziennika W. Ł.)

Dyskusje z Z. zawsze prowadzą do katastrofy, jeden z nas musi się czuć odsądzony od czci. Szczególnie denerwująca jest jego pewność siebie. Sądzi, że wie wszystko, nie wiedząc nic. Ta jego legitymacja patriotyczna! Mój Boże, ile ich już wystawiono i na jakie nazwiska!

Na przykład wczoraj zaczął od tego, jaka ma być ta powojenna Polska. No więc bez Żydów.

– Nie pochwalam tego, co się dzieje, ale w jakiś sposób ułatwia nam to sytuację.

– To, co pan mówi, nie jest godne człowieka.

– Zapewniam pana, że wielu tak myśli, tylko nie wypada im się przyznać. Doceniam odwagę Kossak-Szczuckiej, nie zawahała się przyznać, że Żydzi są politycznymi, gospodarczymi i ideowymi wrogami Polski.

– Przyznała jednak, że posiew zbrodni jest trujący.

– Niech pan weźmie to, co się działo na wschodzie – tokował dalej Z... – kto z otwartymi rękami witał Armię Czerwoną?

– Ten, komu przedtem było tu źle.

– Ujmijmy to inaczej, kto nie czuł więzi z dawnym państwem.

– Proszę pana, tak się złożyło, że byłem na posiedzeniu sejmu 1 września – zdaje się, że podniosłem głos. – Sytuacja była tragiczna, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i deklarowali wolę walki. Wstał poseł ukraiński – brawa, wiwaty, wstał poseł żydowski – cisza. I to jaka cisza, jak makiem zasiał. Sala to była jedna wrogość.

– No tak, tak... a co by oni zrobili, jakby mieli sejm? Oni nas nienawidzili zawsze. I teraz nienawidzą nas bardziej od Niemców, mimo że to Niemcy wysyłają ich do Oświęcimia. Dla nich byliśmy zawsze goje, czyli obcy. Obcy we własnym kraju, czy to nie paradoks? Wszyscy tu krzyczą: „Biedni, mordowani Żydzi!” A czy nas nie mordują?

– Gdyby wszyscy krzyczeli, sytuacja byłaby inna. Co świat powiedział na zagładę getta? To samo co na agresję Hitlera na Polskę, kilka okolicznościowych laurek dla uciszenia sumienia. My i Żydzi jedziemy na jednym koniu.

– Tylko że ten ich koń zawsze miał się jakoś lepiej, może od kradzionego owsa.

– Co pan tu sugeruje – zdenerwowałem się nie na żarty – że Żydzi to tyfus, wszy i jeszcze dodatkowe złodziejstwo? Jest pan podatny na plakatową propagandę.

– Są różne formy kradzieży, oni nam chcieli ukraść nasz kraj.

– A może po prostu chcieli czuć się tu u siebie. Skoro ich kiedyś zaprosiliśmy, bądźmy gościnni do końca.

– Do jakiego końca? Proszę wyrażać się jaśniej.

– Być może do wspólnego. Wy się szcycicie brakiem u nas kolaboranckiego rządu. Nie ma go, bo Niemcom na nim nie zależy. A kolaborantów, zapewniam pana, jest proporcjonalnie tylu, ilu w innych okupowanych krajach. My jesteśmy następni w kolejce. Skazanym poświęca się najmniej uwagi. Co innego Francja lub choćby taka Bułgaria, wobec nich Niemcy mają jakieś plany. Wobec nas nie mają żadnych poza jednym: eksterminacja.

Z. rozkaszał się, sięgnął po chustkę, wycierał łzawiące oczy.

– Nie my zaczęliśmy tę wojnę – powiedział – ale jeśli ją wygramy, chcemy być wreszcie u siebie.

– Jest pan marzycielem, Polacy nigdy nie byli u siebie, fatalne położenie u zbiegu dróg Europy. Czy doprawdy nie umie pan wyciągać wniosków? Ten naród był zawsze gwałcony.

– Tym razem pokazaliśmy Zachodowi, jaki jest w nas rogaty duch oporu. Tym razem tak naprawdę nie było przegranej. Armia Krajowa...

– Niech pan przestanie – przerwałem mu – jest pan śmieszny.

– To pan jest śmieszny, monsieur Łazarski – rzekł lodowato Z. – pan nigdy nie był nam przychylny. Ale jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa.

– Obawiam się, że nie wy je powiecie.

Z. poczerwieniał.

– Pańska postawa od dawna wydaje mi się wstrętna, pan sieje defetyzm i zwątpienie, to... to jest zbrodnia... w warunkach wojennych idzie się za to pod ścianę.

– Proszę się nie krępować.

Z. odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Zrobiło mi się go żal, żaloszny generał nieistniejących wojsk i nieistniejących zwycięstw. Jemu, jak wszystkim, zaszkodziła lektura naszych romantycznych wieszczów. Te sny o potędze, jakie to polskie...

(nagranie)

Ja: Czy pani wie, że byłem na jej koncercie? Początkowo sobie nie skojarzyłem, wydawała mi się pani wyższa...

Ł: Mój opiekun to przewidział. W swoich notatkach jako powód wysłania mnie do szkoły muzycznej podaje słabe warunki zewnętrzne. Zaraz znajdę ten fragment...

(z dziennika W. Ł.)

No cóż, mała Żydówka skończyła czternaście lat. Już widać, że z brzydkiego kaczątka nie wyrosnie łabędź. Postanowiłem jakoś ją nadsztukować. Od kilku miesięcy posyłam ją na lekcje muzyki, myślę, że to hobby rozwijające wrażliwość. Nauczycielka jest zadowolona, co do samej zainteresowanej, trudno cokolwiek powiedzieć, jak zwykle ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Trzeba by też pomyśleć o ruszeniu się z K. Przydałoby się jakieś liceum z tradycjami, czego nie znajdzie się tutaj.

(nagranie)

Ja: Bardzo pięknie pani grała Mozarta Koncert skrzypcowy B-dur, pomyślałem, że obcuje z wielką artystką... Nie wiem, dlaczego nie zapamiętałem pani nazwiska...

Ł: Mało osób je pamięta. Jako solistka występuję rzadko, czy raczej od niedawna, przedtem grałam w orkiestrze. Wiele zmienił konkurs w Wiedniu.

Ja: Druga nagroda.

Ł: Tak. Pierwszą zdobył Amerykanin, i naprawdę był najlepszy... Stary pisarz powiedział mi, że mam siostrę w Ameryce. Wyszła za męża za milionera, mają dwoje dzieci i własny odrzutowiec. Dla mnie zabrzmiało to dość fantastycznie... Druga siostra nie przeżyła wojny, tak jak moi rodzice. Z krewnych mam jeszcze jakichś tam dwóch wujków w Izraelu i ciotkę ze strony ojca, mieszkającą w małym mieszkaniu na Chłodnej... Przed wyjściem wręczył mi książkę, która okazała się modlitewnikiem w języku hebrajskim. Była tam dedykacja: „Mojej córeczce Miriam, żeby nigdy nie zapomniała o swoim narodzie”. Przez całe czterdzieści lat nie byłam w stanie się do niej zastosować zgodnie z życzeniem ojca, inny naród miałam na myśli...

(z dziennika W. Ł.)

Wczoraj przyszła wreszcie ta umówiona kobieta. Zaprowadziłem ją do pokoju, gdzie na ziemi siedziała mała Żydówka. Bawiła się skrawkiem białej kartki. Oglądanie tego papierka zajmuje jej całe godziny. Już wie, że nie należy go zjadać, raz spróbowała i dała za wygraną. Trzeba przyznać, że jest mało kłopotliwa pod tym względem, wystarcza sama sobie.

Pokazałem ją kobiecie nie bez dumy. Niestety, nie mogła w pełni ocenić naszych wysiłków z Z., gdyż nie widziała, co było przedtem. Twarz jej się wyciągnęła.

– To jest to dziecko? – spytała wolno.

– Ma już prawie dwa lata, tak sądzi lekarz...

– Jest tyse...

– Tu nie konkurs piękności.

– Proszę zrozumieć, ci ludzie są bezdziejni, chcieliby mieć ładną córeczkę...

Czy łatwiej jest ratować kogoś, kto jest trochę mniej szkaradny? – pomyślałem. – Dla Pana Boga wartość uczynku jest taka sama, więc bądźmy chrześcijanami do końca. Niestety, nie rozumiała tego ani ta panusia, ani przyszli dobroczyńcy małej Żydówki.

Wieczorem przyszedł Z.

– Załatwione? – spytał od drzwi.

– Niestety – odparłem.

– Przecież wszystko ustaliliśmy.

– Poza jednym.

Z. znowu się zdziwił.

– Dziecko jest zdrowe i wygląda normalnie.

– Mnie tego nie trzeba tłumaczyć – odparłem.

(nagranie)

Ł: Siostra z Ameryki koresponduje stale ze starym pisarzem. Poprosiłam, aby ją powiadomił o moim istnieniu. Sama nie miałam odwagi. Nie bardzo też wiedziałam, co mam jej napisać. Jak się do niej zwrócić i jakim imieniem podpisać list. Przecież nie Miriam... Wolałam poczekać na list od niej. Gdybym choć trochę przeczuwała, jaki będzie, gdybym wiedziała, poprosiłabym ją o zwłokę, o czas na adaptację w nowym życiu. Przecież ja byłam w nim kompletnym niemowlęciem, ja jeszcze nie umiałam chodzić. Tam, pod murem, miałam przeszło rok...

Ja: *Małe dziecko.*

Ł: Ale nie niemowlę. Rok i miesiąc żyłam swoim prawdziwym życiem. I nic nie pamiętam.

Ja: *Nikt nie pamięta.*

Ł: Ale ja powinnam. Twarz ojca, matki... one gdzieś powinny we mnie być, jakiś cień ich wspomnienia... Poprosiłam siostrę o ich zdjęcia, odpisała, że pokaże mi je na miejscu. Ma ich kilka, boi się, żeby nie zaginęły. Były jedynymi pamiątkami po rodzicach. W drugim liście wzywała mnie do przyjazdu. Ten pierwszy był informacyjny.

Ja: *Pisała po polsku?*

Ł: Po angielsku. A ja sobie sama przetłumaczyłam. Brnęłam przez list jak przez głęboki śnieg poznaczony śladami krwi. Robiłam przystanki. Parzyłam kawę, paliłam papierosa za papierosem. Ten moment wychnienia, kiedy wyjmowałam papierosa z paczki, potem szukałam zapalniczki... Uderzyło mnie jedno. Pisała przeszło pięćdziesięcioletnia kobieta, a dla mnie to była relacja dziecka. Kilkunastoletniej dziewczynki, jaką wtedy była. Mogłabym myśleć, że to sprawa tłumaczenia, że zmiana języka tak udzieliła tekst, gdyby nie wizyta u ciotki na Chłodnej. U niej zauważyłam to samo. Brak upływu czasu. Jego niezmiennosc. Jakby wszystko, o czym mówiła, stało się przed chwilą na jej oczach. Nie przyznałam się, kim jestem, przedstawiłam się nazwiskiem mojego opiekuna. Spytałam o Samuela Zarga, znanego niegdyś wirtuoza. Ciotka z Chłodnej była jego jedyną ocalałą siostrą. Chorobliwie otyła, unieruchomiona w łóżku, ciągle jeszcze udzielała lekcji gry na pianinie. Opiekowała się nią dochodząca kobieta. Moja siostra, jak się okazało, przysyłała pieniądze.

Na wspomnienie zmarłego brata twarz jej się rozpromieniła. – Szmulke był słodki – powiedziała – kochaliśmy go wszyscy – i zaraz zmieniła temat. Zaczęła opowiadać o najmłodszej sio-

strze, która zginęła w Mińsku Mazowieckim. Wywleczono z domów wszystkich Żydów, spędzono ich na rynek i kazano czekać. Żar lał się z nieba, a oni tak trwali bez kropli wody. Niektórzy słabli, tracili przytomność; starszy pan, adwokat Blumberg, położył chustkę do nosa na tysej głowie, ale Niemiec kazał mu ją zdjąć. W powietrzu unosiło się cierpienie ludzi i płacz dzieci. Około pierwszej w południe Sonia zerwała się nagle, podbiegła do drzwi kościoła i zaczęła walić w nie pięściami. Żandarm niemiecki wolno zdjął karabin i strzelił jej w plecy. Sonia upadła do tyłu, jej krew polała się na schody chrześcijańskiej świątyni.

Ciotka płacze, wyciera oczy jedwabną koronkową chusteczką, jej tłusty podbródek podskakuje rytmicznie, kołysze się na boki.

– Ona miała dziewiętnaście lat i była piękna – mówi – jaka ona była piękna, ta nasza Sonia.

Podsuwa mi małe zdjęcie w misternej ramce, na którym dziewczyna z warkoczami mruży w uśmiechu oczy. Nie wiem, czy jest piękna. Ma zwyczajną twarz młodej dziewczyny, zdaje się, że nos i policzki pokrywają jej piegi. Patrząc na drugie stojące na pianinie zdjęcie. To przecież ja na kolorowej fotografii z dwójką dzieci na kolanach. Ja, tylko z takim zmęczonym uśmiechem i w innym uczesaniu. Gdyby ciotka z Chłodnej żyła terazniejszością, rozpoznałaby we mnie siostrzenicę, obie z siostrą Ewą do złudzenia przypominałyśmy ojca. Tylko Chaja była podobna do matki.

Ciotka mówi:

– Ta Sonia była taka uparta. Mama ją prosiła, żeby nie jechała do Mińska, ale ona powiedziała: pojedę, posprzątam staruszkom podwórko. Tam mieszkali dziadek i babcia. Dziadek był krawcem, ale potem artretyzm odebrał mu ręce... Sonia zginęła pierwsza z naszej rodziny. Jedni mówią, że dostała udaru, a drudzy, że zabił ją chrześcijański Bóg.

– Zabił ją Niemiec.

Ciotka z Chłodnej w milczeniu potakuje głową. I ciągle te łzy. Nagle nie mogę ich znieść. Są dla mnie jak woda płynąca po twarzy obcej kobiety. Wstaję, obiecuję niedługo wrócić, ale wiem, że to nieprawda.

(z *dziennika W. Ł.*)

Wigilia 1943 r. Z. przyniósł prezenty, dla mnie tytoń do fajki, dla małej Żydówki czekoladę. Rozpakowała ją ze sreberka, a potem spojrzała na Z., czekając na przyzwolenie, dopiero kiedy z uśmiechem skinął głową, zaczęła jeść. Zjadła całą tabliczkę, co nie było szczęśliwym pomysłem. Bóle brzucha, jęki.

Pomyślałem, że nasze święto nie wyszło jej na zdrowie. Nie powiedziałem tego głośno, bo byłaby to woda na jego młyn.

Wydawał się przejęty stanem małej, poleciał po termofor. A cały ten krzyk o to, że dostała zatwardzenia.

Trudno jest się komunikować z dzieckiem, gdyż ciągle jest nieme. To, co się w nim rozgrywa, widać po mimice twarzy. Oczy patrzą inteligentnie, jest w nich zaduma i mądrość, które nie przystoją tak małej osobie. Może to wieki prześladowań jej przodków; a może to, czego doświadczyła w swoim niezbyt długim życiu.

Żadnych wiadomości od Ireny. Nawet przepisowej kartki.

Łazarska nie pokazała mi listu siostry, przeczytałem go dopiero po jej śmierci (mam na myśli list, który określiła jako informacyjny). Tak jak ona czytałem go mozolnie, robiąc przystanki. Raz wstałem od stołu, nalewając sobie whisky.

Chcę ten list przedstawić państwu, nie mając wątpliwości, że powinien być opublikowany. Oczywiście za zgodą autorki. Taką zgodę uzyskałem.

Kochana Miriam, utracona i odzyskana szczęśliwie siostrze, to był wielki dzień dla mnie, kiedy przyszedł list. Na początku nie wierzyłam, a potem były łzy. Mój mąż i dzieci nie wiedzą, co się ze mną stało. Łzy lecą nawet przez sen. Że Ty żyjesz, ukochana siostrze.

Pamiętałam, jak się rodziłaś, miałam wtedy dwanaście lat. Tatuś wyszedł z pokoju mamy i powiedział: – Jesteście teraz we trzy. Kochajcie się, jak ja was kocham, i bójcie się Boga, jak ja się Go boję.

Miałaś takie malutkie rączki, bałyśmy się ich dotykać. A potem trzeba było się zegnać i mama stała z Tobą na ręku. My z naszą siostrą Chają miałyśmy iść z wujkiem Szymonem. To była

taka długa podróż kanałami, potem kilka nocnych godzin w mieście i jazda furmanką na wieś. Miał nas przechować jeden chłop za pierścionek mamy. Jak tam przyjechałyśmy, to on się rozmyślił. Poprzedniego dnia Niemcy za przechowywanie Żydów wymordowali dwie rodziny, domy spalili. Zostały tylko zgliszcza. Nasz chłop się przestraszył, oddał pierścionek i zamknął przed nami furtkę. Ten, co nas przywiózł, powiedział, że też nic nie wie. Umówione było, że ma nas tu dostarczyć. Zaciął konie i odjechał. Zostałyśmy same na drodze, na skraju wsi. W oddali majaczył las. Postanowiliśmy tam się schronić.

Była wiosna, ale leżał jeszcze śnieg. Chaja przemoczyła nogi, zęby zaczęły jej latać. Ona była młodsza, więc ja musiałam być odpowiedzialna. Też mi się chciało płakać, ale nie mogłam ze względu na nią. Oddałam jej swoje buty, a sama szłam w pończochach. Dotarłyśmy do tego lasu i przesiedziałyśmy do rana. Taką kępę krzaków znalazłyśmy, to był chyba jałowiec. Przytuliłyśmy się do siebie i zasnęłyśmy. Byłyśmy bardzo zmęczone drogą i wszystkimi przeżyciami. Chaja mnie spytała. – Jak myślisz, czy tatuś wie, co się z nami stało? Że tu jesteśmy w tym lesie... – Co ja jej miałam powiedzieć? Skąd mógł wiedzieć? Został przecież w getcie, za murem. Obudziłyśmy się, jak już było widno. Byłyśmy zmarznięte i bardzo głodne. Trzeba było coś postanowić. Chaja znowu zaczęła płakać, więc ja wymyśliłam, żeby iść do wsi i kupić coś do jedzenia za ten pierścionek mamy. Ja chciałam iść, ale ona bała się zostać sama w lesie. Prosiła, żebym ją zabrała ze sobą. We dwie nie mogłyśmy iść, bobyśmy się za bardzo rzucały w oczy. Odprowadziłam ją do drogi. Była jeszcze blisko, parę kroków ode mnie, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się rowerzysta. To był niemiecki żandarm. Miał przewieszony przez plecy karabin.

Patrzyłam, jak zsiada z roweru i jak do niej podchodzi. Wcale się nie spieszył. Podniósł jej podbródek i spytał: – Jude? – A nasza siostra nic nie odrzekła, tylko zaczęła cichutko płakać. I wtedy wyrwał jej oczy. Ja to widziałam. Te jego zakrzywione palce, które potem były we krwi. Ona tak zapiszczała i upadła na kolana. Rękami suwała po ziemi, jakby szukała czegoś i nie mogła znaleźć. Żandarm zdjął z pleców karabin, strzelił do niej. Potem wsiadł na rower. Chaja upadła na bok, nie poruszała się.

Stałam w tym jednym miejscu i wszystko było we mnie osobno. Osobno głowa, osobno nogi, ręce. Pomyślałam, że to moja wina, bo ja jej zawsze zazdrościłam. Kiedyś nawet chciałam, żeby oślepla i nie widziała nut. Ale potem Ty się urodziłaś i już myślałam, że teraz będzie nas dwie. I ona. I że my się będziemy strasznie kochały. Jak tatuś brał Chaję na kolana, ja sobie zaraz myślałam, że mam Ciebie. A teraz Chaja leżała na tej drodze.

Nie mogłam płakać, nie mogłam nawet się poruszyć. Poderwał mnie dopiero jakiś hałas. Nadjeżdżała furmanka. Pomyślałam, że trzeba uciekać. I przypomniałam sobie jeszcze, że Chaja ma moje buty i pierścionek. Podbiegłam i zobaczyłam jej twarz. Puste oczodoły. Krew zakrzepła na policzkach wyglądała jak czarna fasola. Zapomniałam o wszystkim, zaczęłam biec. Biegłam w las, potykając się i padając. W końcu nie mogłam złapać powietrza, bolało mnie w płucach. Uklęłam i chyba zasnęłam. I tak się budziłam i zasypiałam. Było mi miękko i ciepło. Gdzieś z daleka dobiegał głos naszej mamy. Mama mówiła, że to z Chają to nieprawda, że mi się tylko przyśniło. I ja się ucieszyłam i obiecałam sobie, że już zawsze będę dobra dla naszej siostry. Próbowałam sobie przypomnieć, co mam najcenniejszego, żebym mogła jej to oddać, ale nic nie chciało przyjść do głowy. Z tego powodu było mi bardzo smutno i źle. Co ja mogę ofiarować Chai, żeby mi wybaczyła?

Ale to nie była mama, to był jakiś człowiek, który się nade mną pochylił i wziął mnie na ręce.

(nagranie)

Ł: Może trudno to będzie zrozumieć, ale wszystko, co napisała siostra, skierowane było jakby nie do mnie.

Ja: *Była pani jej siostrą.*

Ł: Nie byłam tą osobą, do której pisała. Nie byłam jej rodziną, to znaczy nie czułam tej więzi co ona.

Ja: *To zrozumiałe, na to potrzeba czasu.*

Ł: Ton listu mnie speszył. Było to osobiste wyznanie. A w moich stosunkach z opiekunem nie było miejsca na zwierzenia. Myśmy właściwie o sobie nie mówili, tylko o tym, co się działo do-

koła. Co kupić, gdzie pójść. Kiedy mu zakomunikowałam, że chcę wyjść za mąż, zrobił taką minę, jakby chciał rzec, że to moja sprawa. Nie spytał, kim jest jego przyszły zięć. Mógł się domyślać.

Ja: Nie męczyła pani taka sytuacja?

Ł: Z czasem zaczęłam sobie cenić ten dystans. Jako dziecko tęskniłam do bliskości. Pamiętam pewną scenę na krótko przed aresztowaniem ojca. Miałam około siedmiu lat. Byłam „duża”, za duża na przygodę, jaka mi się przytrafiła. On gdzieś wyszedł, a ja za nim tęskniłam. Krążyłam po mieszkaniu, wreszcie weszłam do jego pokoju i wsunęłam się do jego łóżka. Wiedziałam, co on by o tym pomyślał, no i z tego całego zdenerwowania zdarzyła się katastrofa. Plama na prześcieradle, mokry materac. Byłam zdruzgotana. Wydawało mi się, że już nigdy nie będę mogła spojrzeć mu w oczy. Najpierw chciałam uciec z domu, potem schowałam się do szafy. Słyszałam, jak wrócił, szukał mnie, no i w końcu mnie znalazł. Nawet się specjalnie nie gniewał, zjedliśmy razem kolację, jak zwykle oddzieleni od siebie o całą długość stołu.

Ja: A jako dorosła osoba nie potrzebowała pani zbliżenia z drugim człowiekiem?

Ł: Zostałam z tego wyleczona. To była długa, ale skuteczna kuracja. Być może dlatego nie utrzymało się moje małżeństwo. Mąż zarzucał mi oschłość. Nie miał racji, ja tylko nie umiałam okazać swoich uczuć. My z ojcem wiedzieliśmy, kim dla siebie jesteśmy, wyjaśnienia były zbędne. A miłość zwykle karmi się takimi wyjaśnieniami, bardziej lub mniej prawdziwymi. W naszych stosunkach drobny gest potrafił wiele znaczyć. Albo jakieś na pozór obojętne słowo. I nagle ta siostra. I jej list. Może gdyby odłożyła to wszystko, gdyby dała mi czas. I jeszcze to obce imię, którego zupełnie nie łączyłam ze swoją osobą. Bez względu na to, co się rozgrywało wewnątrz mnie, myślałam o sobie jako o Annie. Ta Miriam...

Ja: Siostra miała ciągłość. Dla niej małe dziecko, które wtedy opuszczała, i pani to była ta sama osoba. Starsza o ileś tam lat, ale ta sama. Pani tej ciągłości nie miała...

Ł: I z tego powodu zaczęłam czuć się winna. Czułam się winna, a więc zaczynało mi być w nowej roli niewygodnie. Poza tym pojawiło się coś takiego, że moje skrzypce nie są moją własnością.

Ja: O tym wspomniał stary pisarz.

Ł: Tak, ale on myślał co innego. Zaczęło nawiedzać mnie uczucie, że korzystam z czegoś, co mi się nie należy.

Ja: To sprawa talentu. Rodzina nie ma tu nic do rzeczy.

Ł: A jednak myślałam inaczej.

(z dziennika W. Ł.)

Z. wymyślił, że trzeba do niej mówić. Może ona nie wie, czym jest słowo mówione. Nasza koegzystencja odbywa się przeważnie w ciszy. Ja czytam, ona ogląda swój papierek. No więc dobrze, niech będzie, zaczynamy. Przysuwam sobie krzesło i plotę coś, wolno i starannie wymawiając wyrazy. Pokazuję przedmioty, nazywając je po imieniu. Nie powtarza za mną, ale wodzi wzrokiem.

Z., który czasami wizytuje takie lekcje, nie jest usatysfakcjonowany. Któregoś dnia przejął pałeczkę. Posadził sobie dziecko na kolanach i zaczął męczyć jedno słowo: lampa. Oczywiście bez skutku. Nadrabiał miną, ale widziałem, że jest rozczarowany.

Po jego wyjściu wykapałem dziecko, kładłem je spać, kiedy spojrzało mi prosto w oczy i wyraźnie powiedziało: – Lampa.

I co zrobiłem? Uciekłem. Starannie zamykając za sobą drzwi.

(z zapisków A. Ł.)

Długo nie umiałam mu powiedzieć, że nie chodzę już na prawo. Próbowałam parę razy, ale w którymś momencie zawsze tchórzyłam. Wreszcie wyjaśnił wszystko przypadek. Spotkaliśmy się na schodach. On wchodził, a ja schodziłam z futerałem na skrzypce pod pachą.

– Cóż to – spytał – zaliczasz prawo na skrzypcach?

– Ja...

– Przestałaś być studentką?

– Nie...

– Zmieniłaś kierunek zainteresowań?

– Tak.

– Bardzo dobrze – rzekł. Wyminął mnie, ruszając pod górę.

Stałam na tych schodach z oczami pełnymi łez. Co za twardy człowiek – przemknęło mi przez myśl.

(nagranie)

Ł: Coś takiego sobie myślałam, że to trochę za dużo żądać ode mnie, abym była Żydówką. Nie mogłam tak od razu brać na siebie ciężaru tych wszystkich nieszczęść i śmierci. To tak, jakby komuś włożyć nowe buty i kazać mu wdrapywać się na Giewont. Wie pan, to taki wysoki szczyt w Tatrach.

Ja: Byłem tam nawet. Piękny widok.

Ł: Wierzę panu na słowo, dla mnie był on zawsze niedostępny.

Ja: Może trzeba było spróbować zacząć chodzić w tych nowych butach po równym?

Ł: Nie dano mi takiej szansy. Nie dał mi jej mój opiekun, nie dała mi jej moja siostra. Pojawiał się we mnie bliżej niesprecyzowany pomysł ucieczki.

Ja: Wsiadła pani do samolotu, aby z rąk amerykańskiej siostry odebrać swój los? Ale przerwała pani podróż.

Ł: Ja już wtedy uciekałam przed dawnym życiem, we Frankfurcie cofnęłam się przed tym nowym.

Ja: Ono nie miało być nowe, ono miało być odzyskane.

Ł: Wszystko jedno, jak je nazwiemy.

(z zapisków A.Ł.)

Ojca aresztowano w sądzie. Właśnie wygrał jakąś mocno skomplikowaną sprawę o pobicie, oskarżonemu zdjęto kajdanki, wkładając je na przeguby obrońcy. Ja w tym czasie byłam w szkole. Kiedy wróciłam do domu, w bramie zatrzymał mnie pan Brzózka.

– Taty nie ma – powiedział – chodź do mnie do stróżówki.

Był o wszystkim poinformowany, ważne wiadomości szybko się rozchodziły w takim mieście jak K.

W stróżówce spędziłam trzy miesiące, potem zabrano mnie do domu dziecka. Przyszła taka okropna baba w silnych szklach i mówiąc jakby do kogoś, kto stoi za mną, rzekła:

– Rodzina twojej matki nie bardzo się tobą interesuje, więc my musimy się zająć. Nie możesz tak rosnać samopas jak chwast.

– Ja czekam na tatusia – odparłam.

– Równie dobrze możesz na niego czekać w domu dziecka.

Tu mi zabrakło argumentu. A szkoda, dobrze się czułam w stróżówce. Byłam jak puszczone na wolność, robiłam, co chciałam. Polegało to na wałęsaniu się całymi dniami z synem pana Brzózki, Władkiem. Pan Brzózka był wdowcem, jego żonę rozerwała mina kilka dni po zakończeniu wojny. Synem niezbyt się interesował, miał przyjemniejsze zajęcia, zajmowanie się cudzymi sprawami i picie wódki. To ostatnie odbywało się co wieczór, w kuchni, przy zastawionym brudnymi naczyniami stole. Kto je miał zmywać? My z Władkiem byliśmy przecież bardzo zajęci. Pan Brzózka popijał wprost z butelki, snując różne opowiadania. Między innymi o tym, jak matka po raz pierwszy przywiozła ojca do K.

– Panna z zamożnego domu, to się szykowali chłopaki – ciągnął pan Brzózka – a tu przywozi takiego szczupaka. Wysoki, owszem, ale chudy jak śledź. I jeszcze w studenckiej czapce. Chcieli mu dać wciry, ale się bronił.

– A ilu ich było? – spytałam z ciekawioną, to były przecież nieznanne szczegóły z życia rodziców.

– No, z pięciu, sześciu.

– I dał im radę?

– A jasne.

– To tatuś musiał być bardzo silny.

– Był więcej niż silny, miał o, tu – pan Brzózka klepnął się w czoło – skorzystał ze swoich długich nóg.

– On ich kopał? – spytałam.

– Wystawił ich do wiatru. Uciek! – zakończył triumfalnie pan Brzózka.

Jego syn, Władek, był ode mnie o trzy lata starszy i znał się na rzeczy. To on mi doradził, że jeżeli chcę się pożegnać z ojcem, zanim go wywożą z K., powinnam pilnować wejścia aresztu, który się znajdował w piwnicach gmachu UB. Władek zakładał, że mój ojciec tam jest i że będą go przewozili do więzienia. Miał pewną informację, że więźniów przewożą w godzinach rannych. Warowała więc tam codziennie od piątej, Władek, mimo że przyjaciel, nie dawał się dobudzić. Trwało to chyba tydzień, chodziłam już jak cień, bo żeby nie zasnąć, właściwie nie spałam po całych nocach. Pamiętam, że był poniedziałek. W przeddzień miałam przerwę, więc oznaczało to, że była niedziela. W niedzielę wywożenia nie było, Władek też to sprawdził.

Najpierw zajechała karetka więzienna, czarna buda o okratowanych małych oknach, wkrótce potem konwojenci wyprowadzili z gmachu grupę aresztantów. Zobaczyłam wśród nich ojca i nieprzytomnie rzuciłam się do przodu. Było to coś tak nieoczekiwanego, że udało mi się do niego dotrzeć. Uchwyciłam się jego marynarki, miał jeszcze na sobie swoje ubranie, i zanosząc się płaczem, wykrzykiwałam: – Tatusiu! Tatusiu! – Chciał mnie przygarnąć, wtedy zobaczyłam u niego kajdanki. Wywołało to nowy szok. Rzuciłam się na strażnika, który próbował mnie odciągnąć, i ugryzłam go w rękę. Złapał mnie jak szczeniaka za kark, odrzucając na chodnik. Upadłam, kalecząc sobie oba kolana. Krew się lała, ale ja nawet nie zauważyłam. Podniosłam się i ruszyłam z powrotem w stronę osobliwego pochodu. Tym razem strażnik już mnie do ojca nie dopuścił. Przewornie opędzał się ode mnie kolbą karabinu. Parę razy boleśnie nią oberwałam. Nie było jednak na mnie sposobu. Czepiałam się go jak rozdrażniona osa. Zdenerwował się w końcu i ryknął:

– Won mi stąd albo będę strzelał!

Nie zrobiło to na mnie wrażenia, a może nie w pełni zrozumiałam, co miało oznaczać. Było po szóstej, odpowiednia pora, aby odstawić więźniów możliwie niezauważenie. Historia ze mną trochę to komplikowała. Znaleźli się gapie. A ja na całe gardło wzywałam ojca, coś się takiego stało, że darłam się jak opętana. Postanowił to przerwać, a może obawiał się o moje bezpieczeństwo. Musiałam poza tym żałośnie wyglądać, z brudnymi zaciekami na policzkach od łez, z porzbijanymi kolanami. – Anka! Spóźnisz się do szkoły! – powiedział surowo. Ton jego głosu podzielał na mnie jak zawsze. Zaprzestałam szturmować strażnika, który w tym samym momencie wpełchnął ojca do karetki. Za nim wchodzili inni.

Stałam już spokojnie, zupełnie pokonana. Twarz ojca mignęła mi jeszcze za zakratowanym okienkiem. Ponownie miałam ją zobaczyć już nie jako dziecko, ale jako dorastająca dziewczynka.

Samochód ruszył, zniknął za zakrętem. Otoczyli mnie ludzie, o coś wypytywali. Nie rozumiałam, co do mnie mówią. Przecisnęłam się między nimi, ruszając w stronę domu. Dopiero teraz poczułam, jak pieką mnie kolana. Pan Brzózka mi je opatrzył, złorzeczając jednocześnie Władkowi.

– To kawał durnia, kretyna. Nie miał już co radzić. I to komu, dzieciakowi!

Nie przychodziło mu do głowy, że Władek też był jeszcze dzieckiem, choć może bardziej operatywnym ode mnie.

(dalszy ciąg listu Ewy Zarg-Seideman)

Kochana siostró, w tym lesie znalazł mnie pewien chłop. Nawet dokładnie nie wiem, jaką miał twarz, bo kiedy go widywałam, było ciemno. Ukrywał mnie w kopcu na kartofle, za takim przepierzeniem, gdzie stała woda i gdzie nikt z rodziny nie zaglądał. Oni nie wiedzieli, że ja tam jestem. Chłop położył na ziemi deski, na nich worki i ja na tym spałam. W zimie, kiedy przechowywano kartofle, nie mogłam opuszczać kopca, byłam odcięta. On mi wsuwał jedzenie na kiju. Latem pozwalał mi nocą wyjść. Pies szczekał, to on go zabrał do lasu i powiesił.

To był dobry człowiek, czasami rozmawiał ze mną, mówił, że wojna niedługo się skończy. Niemcy przegrywają. Pewnej letniej nocy zaprowadził mnie nad jeziorko, żebym mogła się wykąpać. Świecił księżyc, a woda była taka piękna w jego blasku. Jak w nią weszłam, otuliła mnie, ciepła i łagodna. Ja się poczułam szczęśliwa. Kiedy wyszłam z tej pięknej wody i chciałam się ubrać, chłop wziął mnie za rękę. Podczas kiedy się kąpałam, siedział na brzegu i palił papierosa, obok niego leżał bat, z którym się nie rozstawał. Więc on mnie wziął za rękę i powiedział, żebym usiadła, a potem pchnął mnie na plecy. Kazał mi rozłożyć nogi i sam się na mnie położył. Bardzo mnie bolało to, co ze mną robił, ale bałam się krzyczeć, żeby się nie rozgniewał. Potem powiedział, żebym się

umyla w jeziorze i że trzeba wracać, bo noc jest widna. Od tego czasu często mnie zabierał nad jezioro i robił to ze mną, a jak przyszła jesień, zostawał w kopcu, dopóki nie zwieźli wszystkich kartofli. Tam było mało miejsca, bo on był taki duży i gruby. Mówił, że jak przestanę się bać i mnie będzie przyjemnie, ale ja zawsze się bałam. A potem, na wiosnę, zaczęłam się powiększać. Chłop obmacał mi brzuch i był bardzo zmartwiony. Już wtedy dał mi spokój. Powiedział tylko, że jakby coś, nie wolno krzyczeć, bo zgubię siebie i jego. Nie krzyczałam, chociaż mnie tak bolało. Wygięło mnie do tyłu, opierałam się na głowie. W końcu chlupnęło i opadłam na plecy. Nie wiem, jak długo tak leżałam. W szparach u wylotu zrobiło się widno, kiedy przyszedł chłop. Przeciął coś scyzorykiem, teraz wiem, że to była pępowina. Zawinął małą figurkę w kapotę i poszedł. Wrócił potem z miską zupy i to było moje pierwsze ciepłe jedzenie w kopcu. Żebyś wiedziała, siostrzo, jak mi smakował ten kapuśniak. Chłop powiedział, że mała figurka była nieżywa i że zakopał ją w lesie. Mnie się zrobiło jakoś tak smutno, chciało mi się płakać, ale sama nie wiedziałam dlaczego.

W kopcu przesiedziałam dwa lata. Była już wiosna, kiedy którejś nocy chłop wyprowadził mnie na szosę. Powiedział, że wojna się skończyła i że teraz ludzie mi pomogą. Ja nie chciałam zostać sama na tej szosie, biegłam za nim, mimo że opędzał się ode mnie batem. Rzemień sprawiał mi ból, ale ciągle za nim szłam. W końcu zdenerwował się, wyjął z kieszeni sznurek i przywiązał mnie do drzewa. Rano znalazły mnie dwie kobiety.

(nagranie)

Ł: Muzyka... ona jest moim zawodem. Czasami go lubię, czasami bywa uciążliwy. Żadnych wakacji, ciągle wyjazdy.

Ja: *Ale po zdobyciu nagrody w Wiedniu czuła się pani szczęśliwa.*

Ł: Raczej zadowolona. Uczucie szczęścia jest mi właściwie obce. Doświadczałam go jedynie w dzieciństwie i zawsze wiązało się z osobą ojca.

Ja: *Mówi pani o Witoldzie Łazarskim?*

Ł: Tak, mówię o nim.

Ja: *Stosunki wasze charakteryzowała pani inaczej.*

Ł: Nigdy nie były jednoznaczne, jakieś niedomówienie pociągało za sobą inne. Podziwiałam go jako człowieka, jako mężczyznę. Uczucie szacunku i głębokiego respektu przetrwało właściwie do chwili otwarcia szuflady. To był dla mnie podwójny dramat... utraciłam siebie, ale także i jego. Nie w taki sposób, jak pan myśli. To nie chodziło mimo wszystko o więzy krwi, to była sprawa zaufania.

Ja: *Nie znając powodu jego milczenia, trudno osądzać.*

Ł: W jego notatkach znalazłam cytaty z Biblii, dużo mi powiedział o stosunku ojca do mnie. On stale czegoś oczekiwał. No i opuścił go, bo potrzebował takiego mojego czynu...

(po przewertowaniu dziennika W. Ł. odnalazłem ten cytat) „Pan rzekł do Mojżesza: Jeszcze jedną plagę zesłę na faraona i na Egipt. Potem uwolni was stąd. A uwolni was całkowicie, nawet wszystkich was wypędzi. Oznajmij to ludowi, ażeby każdy mężczyzna u sąsiada swego i każda kobieta u sąsiadki swej wypożyczyli przedmioty srebrne i złote. A Pan zjednął ludowi łaskę w oczach Egipcjan. Mojżesz także zażywał w kraju egipskim czci tak u sług faraona, jak i u ludu”¹.

Był dzisiaj w moim biurze niejaki J.K., radził się, co zrobić. Przechowywał Żydówkę, która odchodząc, ukradła kilka cennych przedmiotów. Trzymane były w tym samym schowku co ona. Cóż mu mogłem radzić?

(nagranie)

Ja: *Mówiła pani, że jakiś czas mieszkaliście w K. To trudne dla Żydów miasto.*

Ł: Myślę, że to miasto trudne dla wszystkich, dla Polaków także. Co do tamtych wydarzeń, byłam wtedy mała. Wydaje mi się, że coś zapamiętałam. Jakieś powiedzenie: „i tak leciały te rozkuślane Żydowice”. To zdanie gdzieś we mnie utkwiło. Już chyba w domu dziecka miałam dziwny sen. Śniło mi się stado czarnych gęsi, które biegło z rozpostartymi skrzydłami, ze strasznym krzykiem...

Ja: *I myśli pani, że sen miał związek z tamtym zasłyszonym powiedzeniem?*

Ł: Jestem tego pewna. A potem stróż z naszego domu, pan Brzózka, opowiadał pewne rzeczy jako naoczny świadek. Mówił: – Patrzą, biegają ulicą dwa Żydki, jeden w takich drucianych

okularach i w tej swojej czarnej mycce. Wystraszone toto, to ja krzyczę: „Żydy, Żydy, tutaj do bramy”, ale chyba jeszcze większego dostali pietra, bo tylko im te nogi migały. No i dopadli ich ludzie, mokra plama została. Na drugi dzień te okularki znalazłem, całe były...

Ja: Co pani wtedy czuła?

Ł: Jak to opowiadał?

Ja: Właśnie.

Ł: Właściwie nic. Nie miałam do tego żadnego stosunku, tak samo jak do jego opowieści o partyzantce i o bohaterskich wyczynach. To było jak odległa bajka. No, po prostu to było jakieś nieprawdziwe. Już panu mówiłam, że tego, iż Żydzi są w Polsce, dowiedziałam się w marcu.

(z zapisków A. Ł.)

Kiedy pojawił się problem, jakim dla każdej dziewczynki jest menstruacja, ojciec wziął mnie na rozmowę.

– Zdarza się – powiedział – że nie można całkowicie zaradzić, prześcieradło okaże się zabrudzone. Nie należy przywiązywać do tego zbytnej wagi.

To była nasza jedyna tak intymna rozmowa. Byłam nią oszołomiona. „Jak on mógł?” – powtarzałam w kółko. Potem zrozumiałam, ile ojciec musiał mieć dla mnie czułości, skoro przewidział ten problem. Dzięki jego słowom przestał on być dramatem, powodem bezsennych nocy. Zrozumiałam to, kiedy coś takiego mi się przytrafiło.

(z dziennika W. Ł.)

Trudno się było zebrać po tej nieoczekiwanej wizycie. Nie zdążyłem uczynić niczego, by zatrzeć ślady. Żandarm obchodził mieszkanie, postępowałem za nim, czując, jak zimny płyn usztywnia mi kości.

Nie zajrzał do łazienki, gdzie na sznurku wisiały rzeczy dziecka, ale w kuchni zainteresował się mlekiem w proszku.

– Angielskie mleko w proszku – rzekł, obracając w rękę puszkę.

– To z przedwojennych zapasów – odparłem, zdając sobie jednocześnie sprawę z bezużyteczności tego tłumaczenia, przecież i tak za chwilę wejdzie do pokoju. Ale dziecka nie było. Początkowo sądziłem, że przerazkowało do gabinetu, ale i tam nie zastaliśmy nikogo. Zamknąłem za żandarmem drzwi i spieszenie wróciłem do pokoju. Siedziało na podłodze ze swoim nieodłącznym papierkiem w rączce!

– Gdzie? – spytałem oszołomiony. Nie odpowiedziało mi oczywiście.

Próbowaliśmy z Z. to później wyjaśnić. Wszelkie ewentualne kryjówki należało wykluczyć, dziecko było za małe, by się tam samodzielnie dostać.

– Ten naród ma wyjątkową zdolność przetrwania, sam pan widzi – skomentował to Z.

Po tej sprawie z żandarmem zaczęliśmy się zastanawiać, jak zapobiec takim sytuacjom w przyszłości.

– Ochrzci się małą, zyska w ten sposób rację bytu – zawyrokował Z.

– Do tego musi mieć nazwisko i, drobnostka, rodziców – odrzekłem.

– Będzie ich miała, a przynajmniej ojca.

Przyjrzałem się mu uważnie.

– Chyba nie myśli pan o mnie?

– Właśnie myślę.

– Nikt tego nie może ode mnie wymagać – zachnąłem się – przecież ja... ja nigdy nie chciałem mieć dzieci. Oświadczyłem to jeszcze przed ślubem mojej żonie.

– Jak się powiedziało a, trzeba powiedzieć b.

– Powiedzieliśmy je razem.

– Jestem starym kawalerem, trudniej będzie uwierzyć w moje ojcostwo. A poza tym to przecież zwykła formalność, wojna się skończy, sprawę się odkręci. Może odnajdą się prawdziwi rodzice.

– Jeśli nie spalili się w getcie, wylecieli kominem.

– Nie docenia pan uczuć rodzinnych w tym narodzie, znajdują się dziesiątki ciotek i wujków, którzy wezmą dziecko do Ameryki czy do innego kraju, pełno ich przecież wszędzie.

– To nie jest takie proste, muszę mieć czas do namysłu – zakończyłem rozmowę.
Ale Z. działał szybko, następnego dnia już od drzwi wymachiwał świstkiem.
– Co to jest? – spytałem złowrogo.
– Świadectwo chrztu małej Ani Łazarskiej, wszystko poszło jak z płatka. Chrzest jest odnotowany w księgach kościelnych z datą wsteczną.
– Dlaczego Anna? – spytałem, starając się zebrać myśli.
– Podaliśmy pierwsze imię żeńskie, jakie mi przyszło do głowy. Ciesz się pan, że to nie była Maria.

To słynne poczucie humoru Z. i te jego słynne pomysły.
(list pisany z więzienia przez Witolda Łazarskiego do dziewięcioletniej Ani Łazarskiej)

Droga Aniu,
ponieważ nasza korespondencja z przyczyn obiektywnych należy do rzadkości, wybacz, że tyle w niej znajdujesz różnych pouczeń.

Człowiek musi sobie zdać sprawę, kim chce naprawdę w życiu być i co jest dla niego ważne. Musi uczynić to bardzo wcześnie. Nie wierz, jeżeli Ci mówią, że jeszcze zdążysz, że masz czas. Tak myślą albo głupcy, albo maruderzy. Tymi pierwszymi nie będziemy się zajmować, ci drudzy bardziej nas interesują, bo czasami do nich należysz. Kiedy spoglądasz w niebo, zaraz zdaj sobie sprawę, po co to robisz. Nie żyj bezmyślnie! Nie obserwuj przyrody, podporządkuj ją sobie. Świeci słońce – idziesz na spacer. Pada deszcz – bierzesz parasol i idziesz na spacer. Śnieg? Wkładasz kalosze i wychodzisz. Wychodzisz, bo nie wolno stać przy oknie. Tak ma być także z Twoją nauką. Ona już ci gotowa służyć, już jest Ci przyjazna. Zrezygnuj z doraźnych przyjemności na rzecz czegoś, co cię uczyni pełniejszym człowiekiem. Nie wystarczy żyć, należy żyć świadomie.

Chciałbym, żebyś dużo czytała. Nie narzucam Ci tytułów, na razie wybieraj sama. Masz bibliotekę w szkole i w domu dziecka. Zachodź tam, zawrzyj przyjaźń z książkami. Ona najmniej zawodzi.

Tym razem do nauczania zadaję Ci 20 nowych angielskich słówek, załączam je do listu, ułóż z nimi 20 zdań, szczególnie mnie interesuje Twój Present Perfect, masz z nim kłopoty. Co do kłopotów z matematyką, zwróć się do tej koleżanki, o której mi pisałaś. Na pewno Ci nie odmówi. Wygląda, że jest uczynna. Poza tym uważaj na lekcjach i nie wstydź się pytać, jeżeli czegoś nie rozumiesz. Od tego są nauczyciele, aby tłumaczyli tak długo, aż uczeń pojmie. Pytania w szkole to Twój przywilej, pamiętaj o tym. No i uważaj na nogi, nie wolno Ci ich przemoczyć. Koniecznie staraj się wymienić buty. Zwróć się z tym do wychowawczynie, powiedz, że zapadasz często na gardło i że musisz mieć w związku z tym odpowiednie obuwie. Napisz koniecznie, jak wygląda ta sprawa. Jeżeli się nie uda, spróbuję stąd pisać do Czerwonego Krzyża. Jak zawsze mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Witold Łazarski

(odpowiedź Ani Łazarskiej, pisana na brudno; nigdy jej nie wysłała, bo znalazła jednak sposób, by odrobić i wysłać lekcje zadane jej przez ojca)

Tatusiu,

wczoraj była Gwiazdka i Dziadek Mróz rozdawał prezenty. Ja dostałam trzy posrebrzane orzechy, czekoladę i ołówek z gumką. Jest biały, a gumka różowa i bardzo dobrze ściera. Ten ołówek jest naprawdę śliczny. Noszę go przy sobie, a na noc chowam pod poduszkę, żeby mi nie zginął.

Nasza wychowawczynie złamała nogę i teraz mamy nową, taką nerwową i grubą. Dziwię się, bo pan Brzózka mówił, że im kto grubszy, tym ma lepszy charakter, a z nią jest odwrotnie. Ciągłe wrzeszczy. I wszystkiego zabrania. Przez nią nie mogłam odrobić angielskiego. To znaczy odrobiłam, ale ona mi zabrała i podarła. – W naszej szkole nie uczą po angielsku – darła się – piszesz list do wuja Sama? On ci i tak nie pomoże, zdechniesz z głodu, a on nawet nie zauważy. – Powiedziałam, że to Ty mi zadałeś i że nie mogę Cię zawieść. To ona na to, że Ty mnie już zawiodłeś, bo siedzisz w więzieniu. Sam widzisz, jaka ona jest. Zrozumiałam, że nie pozwoli wysłać mi tych zdań, więc udałam, że się zgadzam. Ale odrobiłam w tajemnicy i schowałam, żeby rano wynieść do szko-

ły. Bo takiego listu stąd nie wyślę, oni wszystkie czytają. No i wyobraź sobie, rano wstając, to znaczy wstajemy wszystkie, wychowawczyni wchodzi do pokoju, a moja koleżanka mówi, że ja coś trzymam pod poduszką. Dalszy ciąg to rewizja i wrzaski. Znowu zabrała zdania i podarła. Więc już nie mam jak odrobić angielskiego. W ubikacji długo siedzieć nie można, zaraz pukają, bo niedawno jeden chłopiec się tam powiesił.

Butów nowych jeszcze nie mam, miałam mieć, ale nasza pani się pośliznęła i po butach. Ta grubaska mi nie załatwi, bo mnie nie znosi. I nawzajem. Ciągłe mi wszystko wyrzuca z szafki na podłogę.

O te buty tak się nie martw, bo stare wyścieliłam gazetami i nie przemakają. Tak mi poradził Władek. On do mnie pisze. W każdym słowie robi jakiś błąd, a w jednym zrobił dwa: napisał „kóz”, początkowo nie wiedziałam, co to za wyraz, chodziło mu o „kurz”. A wiesz, zanim mnie zabrali do domu dziecka, myśmy z Władkiem przeszli przez balkon do naszego mieszkania, bo drzwi są zapieczetowane. Straszny tam ktoś zrobił bałagan, a największy w Twoim gabinecie. Wszystkie szuflady w biurku były wysunięte, a na podłodze pełno papierów. Jak to zobaczyłam, zaczęłam płakać, a Władek wziął się za sprzątanie i ja mu pomogłam. Pozbieraliśmy wszystkie Twoje dokumenty i pochowaliśmy do szuflad. Tę główną zamknęliśmy na klucz, który trzyma Władek. Aha, pisał jeszcze, że pan Brzózka nie może pić, bo go boli wątroba. Miał atak i tak się przestraszył, że nie bierze wódki do ust.

Posłałam Ci w prezencie na Gwiazdkę wycinankę, nie wiem, czy się zgniotła w liście. Jedna koleżanka radzi, żeby wysłać Ci boczek i cebulę, tylko że ja nie mam swoich pieniędzy. Ale jakoś się załatwi. Już rozmawiałam z panią w kuchni, obiecała mi parę cebul, z boczkim gorzej, ale może dać trochę słoniny. Nie wiem jeszcze, jak to wyślę, ale jakoś załatwię. Tamta pani sama by mi pomogła, a z tym grubasem lepiej nie zaczynać.

Anna Łazarska

(ciąg dalszy listu Ewy Zarg-Seideman)

W czterdziestym szóstym roku wyjechałam z Polski w towarzystwie cioci Sary. To najmłodsza siostra naszej mamy. Ciocia Sara była dobrą kobietą, tylko że ona już nie mogła żyć.

Co tu powiedzieć o naszej rodzinie. Dziadek ze strony ojca był wędrownym krawcem. Jeździł konikiem od jednej wsi do drugiej, a na furze wiozł maszynę do szycia marki Singer. Każdej jesieni konika sprzedawał, aby kupić nowego na wiosnę. Krewni z Ameryki przysyłali na to dolary.

Dziadek i babcia ze strony mamy mieli w Wilnie restaurację. Babcia sama gotowała. A córki chodziły na pensję. I wszystkie były bardzo ładne. Ty naszej mamy nie pamiętasz, ale ona miała taką delikatną urodę. Nawet w getcie była ładna, chociaż tak schudła.

Ciocia Sara była najmłodsza i miała dużo koleżanek, bo umiała mówić bardzo dowcipnie i inteligentnie, a poza tym miała piękny głos. Śpiewała na wszystkich uroczystościach i zawsze dostawała duże brawa. A potem, kiedy przyszli Niemcy, koleżanki nie chciały cioci Sary znać. Bały się rozmawiać z nią na ulicy, zaraz jak ją tylko zobaczyły, przechodziły na drugą stronę. Nawet najlepsza przyjaciółka cioci, Natalia, córka mecenasa K., który mówił, że ciocia Sara jest podobna do egipskiej księżniczki i że mogłaby grać Kleopatę w szkolnym teatrze.

Wszystkie siostry, oprócz naszej mamy, która była z mężem w Warszawie, poszły do getta. I w getcie żandarm ciocię zgwałcił, ona miała wtedy siedemnaście i pół roku. A potem kazał jej śpiewać, bo słyszał o jej pięknym głosie. Ale ona śpiewać nie chciała, mimo że jej groził rewolwerem i że nawet strzelił jej nad uchem, od czego pękł jej bębenek; od tamtej pory ona jest głucha na jedno ucho.

A potem była likwidacja getta i Niemcy kazali wszystkim rozebrać się do naga i stanąć nad wykopanym dołem. Ale jak Żydzi kopali ten dół, Niemcy pili wódkę i już nie strzelali tak celnie. Ciocia i jej starsza siostra Mira trzymały się za ręce i cichutko sobie powtarzały, że umieranie nie boli, że gorzej boli życie. Najbardziej się bała najstarsza siostra, Miriam, po której ty nosisz imię. Ona tak rozpaczała, że nie wyszła za męża i że nie zdążyła mieć dzieci. Jej się wielu Żydów oświadczało, ale ona czekała na swojego księcia. A teraz było za późno. Ciocia wy dostała się w nocy spod trupów i dowlokła się do swojej przyjaciółki Natali, bo nie miała dokąd iść. Jak ona musiała wygłą-

dać, miała na sobie zakrwawiony worek, który leżał obok dołu, wszystkie ubrania Niemcy zabrali. Natała jej nie wpuściła. Powiedziała: – Idź na policję – i zatrzasnęła drzwi. Ciocia uciekła do lasu, do partyzantów. Chodziła z nimi na akcje, raz nawet wysadzała pociąg. A potem jak odchodzili, ukryli ciocię w jednym domu, u rodziców Olka partyzanta. To byli Białorusini. Ciocia miała kryjówkę pod podłogą w kuchni, nad nią stawało się kołyskę z dzieckiem. To byli dobrzy ludzie, lubili ciocię. Ale ona nie przyniosła im szczęścia. Już pod sam koniec wojny do tej wioski przyszli Niemcy. Ciocia siedziała tydzień pod podłogą i po twarzy łąziły jej szczury; tam było tak ciasno, że nie mogła się poruszyć. Ktoś musiał o cioci donieść, bo przyszli esesmani i od razu odsunęli kołyskę. – Diabła trzymaliście pod podłogą – powiedział przez tłumacza Niemiec – i ten diabeł was ogniem spali. Odsunął fajerki z płyty i na oczach matki wrzucił tam dziecko. A potem kazał podpalić dom. Nie pozwolił domownikom wyjść, na dworze stali niemieccy żołnierze z karabinem maszynowym i mieli rozkaz strzelać do każdego, kto wyjdzie. Jak dom się zaczął palić, ci ludzie wyszli, tylko ciocia została. Dom się cały spalił, Niemców już nie było. Ona wtedy wyszła. Czarna, z osmalonymi włosami. Ludzie się żegnali i mówili, że to prawdziwy diabeł. Od tamtej pory ona już nikomu nie umie wybaczyć, ona wszystkich nienawidzi, nawet swojego dobrego męża i dzieci, a najbardziej nienawidzi Polaków. W domu zabroniła mówić po polsku. Jak ja coś zaczynałam, to ona udawała, że nie słyszy. Ona i teraz się nie cieszy, że ty przyjedziesz. Powiedziała, że będziesz śmierdzieć tym krajem. Taka jest ciocia Sara. Okrutna dla wszystkich, a najbardziej dla siebie.

W Ameryce mieszkalam w jednym pokoju z wujkiem Natanem. To był dobry, kochany człowiek. On był bratem męża cioci Sary i jeszcze gorzej od niej nie umiał żyć. Całymi dniami siedział na łóżku i płakał. Wieczorami trzymałam go za rękę i opowiadałam bajki po polsku, tak żeby ciocia Sara nie słyszała. Najbardziej podobała mu się bajka o księżniczce na ziarnku grochu. Prosił, żeby ją ciągle opowiadać, i dziwił się, że mogą być takie wrażliwe panienki. On wcale nie rozumiał, że to tylko wymyślona historia. Ta jego nie była wymyślona, była prawdziwa. Przyszli Niemcy i całą rodzinę wujka Natana postawili pod ścianą, i wtedy wujek Natan zaczął uciekać. Strzelali do niego, ale nie trafiła go żadna kula. Potem osłonił go las. Ale po co go ten las osłonił, skoro on tam z nimi na zawsze został? Z dziećmi i żoną. Ciągle płakał i powtarzał. – Dlaczego ja uciekłem... – W końcu ciocia Sara powiedziała, żeby wujek Natan poszedł płakać gdzie indziej, bo onajuz nie może wytrzymać. Wtedy wujek wsiadł do pociągu, pojechał do Bostonu, tam wynajął w hotelu pokój, zamknął się w nim i umarł z głodu. Jeden raz widziałam, jak ciocia Sara płakała, to było na pogrzebie wujka Natana. Jak wróciłyśmy, ciocia mi opowiedziała swoje życie. I wtedy ja jej opowiedziałam swoje.

Nie lubiłam wychodzić. Było mi smutno, bo już nie miałam kogo trzymać za rękę i komu opowiadać bajek. Jednego razu ciocia Sara poszła na wesele i tam siedziała obok bogatej Żydówki. Ciocia powiedziała, że ma siostrzenicę, która skończyła dziewiętnaście lat. Bogata Żydówka obiecała, że jej syn do mnie zadzwoni. Ale on się długo nie odzywał. Byłam w samie po zakupy i słyszę, jak przez megafon podają, że mam natychmiast wracać do domu. Biegnę. Ciocia mi mówi, że dzwonił syn bogatej Żydówki i że jeszcze zadzwoni za pół godziny. No i wyszłam za niego za męża. I mam z nim dwoje dzieci. Syna Samuela i córeczkę Chaję.

Ale ja zawsze byłam smutna, bo ja myślałam, że zabiłam swoją siostrę. Ja myślałam, że Bóg się gniewa na mnie. Ale on już mi wybaczył, skoro przysłał Ciebie.

Twoja siostra Ewa

(z dziennika W. Ł.)

Czerwiec i lipiec ja i mała Żydówka spędziłyśmy nad Bugiem w posiadłości ciotki Z. Staruszka była na szczęście mało kłopotliwa, na wpół ślepa i głucha. Towarzyszył jej tylko upośledzony umysłowo służący, całkiem odpowiednie towarzystwo dla takiej pary jak my. Wracając znad rzeki, zaobserwowałam scenę, która mi dała do myślenia. Ciotka Z. próbowała uczyć małą Żydówkę wierszyka: „Kto ty jesteś, Polak mały”. Na szczęście nie szło to gładko, dziecko jest i za małe, i zbyt nieufne, aby dało się nauczać obcym.

30 lipca wróciliśmy triumfalnie do Warszawy, mała Żydówka w nowej roli. Na wakacje wyjeżdżała w koszu na bieliznę. Tym razem wnosiłam ją na rękę po schodach. Jedna z sąsiadek obej-

rzała się za nami, ale nie wypytywała o nic.

Martwi mnie, że dziecko jest ciągle łyse. Ani jednego włosa. No i praktycznie nie chodzi, czyni jakieś wysiłki, ale jakby miało za słabe nogi. A przecież Z. jak lew walczy o witaminy. Może te wakacje zmieniać cokolwiek. Jadła tyle owoców.

(nagranie)

Ł.: Kim był dla mnie Witold Łazarski? Pamiętam wizytę siostry jego żony. Utkwiła mi w pamięci, bo tamta pojawiła się w naszym domu jako łącznik z nieznaną przeszłością, jako ktoś z rodziny, do której nie miałam dostępu. Teraz już wiem, że nigdy nie brała mnie za dziecko siostry, być może podejrzewała szwagra o romans na boku. Kiedy w dobrej wierze spytałam, czy jestem podobna do matki, roześmiała się. Chciała coś powiedzieć, ale surowy wzrok ojca ją powstrzymał. Potem, kiedy kazano mi iść spać, a oni siedzieli w stołowym przy stole i rozmawiali, rzekła: – Ireń zamordowałaś na długo przedtem, zanim zrobili to Niemcy.

Zapamiętałam to zdanie, bo wydawało mi się nielogiczne. Jedno jest pewne, szwagierka nienawidziła Witolda Łazarskiego i ta nienawiść nie wynikała z solidarności z siostrą, ale rodziła się z czegoś, co istniało między nimi. Przez szparę w drzwiach widziałam ich głowy blisko siebie. Słyszałam rozmowę. On mówił: – Uprzedzałem ją, że nie nadaję się do małżeństwa, do żadnego bliższego związku z drugim człowiekiem.

Odpowiedziała mu na to z ironią: – Jesteś wzorowym tatusiem.

Ja: *Czy była jego kochanką?*

Ł.: Mogłabym tak myśleć.

Ja: *Co to znaczy „mogłabym”?*

Ł.: Gdybym wtedy była starsza, na pewno bym ich o to posądzała i potępiała oczywiście, dla mnie ta kobieta była siostrą matki.

Ja: *Czyli pani ciotką.*

Ł.: Nie myślałam o niej w ten sposób. Nie łączyłam jej bezpośrednio ze swoją osobą, może dlatego iż wyczuwałam, że mnie nie lubi. Moja ciekawość dotyczyła kobiety, która wiele wiedziała o matce. Ja nie wiedziałam nic.

(z dziennika W. Ł.)

Wyjście z powstania, rzut oka za siebie na to nieistniejące miasto. Nie należy tu nigdy wracać – pomyślałem – jeśli ma się zamiar kiedykolwiek normalnie żyć. W plecaku niosłem małą Żydówkę. Skłamałbym, jeślibym powiedział, że mi nie ciążyła. Obok dreptała ta kobieta. Ubzduriała sobie, że jest to jej cudem ocalałe dziecko. Nie mogłem na to przystać, powtarzałem do znudzenia:

– Pani nie jest już matką.

– Moja córeczka – międlila w ustach.

Doprawdy, cóż za sytuacja. Z tą nieszczęśliwą wiązą nas pory karmienia.

Pobyt w Pruszkowie, w zatłoczonej śmierdzącej hali, zwyczajnie nie da się z niczym porównać. Uwieszenie w piwnicy wspominam teraz z pewnego rodzaju nostalgią. Tym razem mnie dręczy biegunka. Małą Żydówkę chroni ten kobiecy cień. Oczy w nieistniejącej właściwie twarzy tlą się dziwnym blaskiem. Skąd w tym wyschłym ciele bierze się pokarm? Oto jest pytanie! Działa ochronnie na dziecko, mała zdaje się nie dzielić z nami pragnienia i głodu. W porannym świetle, wpadającym przez brudne szybki umieszczonych wysoko okien, ze zdumieniem zauważyłem, że ta ciągle za duża głowa pokryła się kaczym puchem. I następne pytanie, które jest zarazem dylematem moralnym: czy mamy prawo korzystać z pomocy tej nieszczęsnej, czy też nie? Ale w końcu ten naród zawsze żywił się na ciele innych narodów, więc może to normalna kolej rzeczy. Kobieta zdaje się powoli tracić zmysły, przebywa w swoim własnym świecie, z którego wraca tylko na czas zajmowania się dzieckiem. Pieści je, całuje, rozświetlona od środka macierzyńskim światłem. To więcej niż instynkt, to jakaś własna kobieca religia, wyznanie najwyższej wiary.

– Pani nie jest matką – powtarzam, a ona mnie nie słyszy, gładzi tę porastającą puchem za dużą głowę, jest spokojna i szczęśliwa. Oddaję jej swój chleb, tyle tylko mogę dla niej zrobić, ale też do końca nie jestem przekonany, czy nie jest to skierowane pod inny adres. Odpędzenie kobiety jest równoznaczne z zagładą dziecka, przynajmniej w obecnej sytuacji, kiedy brakuje wszystkiego, a woda w hydrancie roi się od zarazków. Przymuszeni ludzie załatwiają swoje potrzeby po kątach

hali i ten cuchnący klajster wypływa na zewnątrz, wsiąka w ziemię, powracając do nas wraz z wodą. Ktoś trzeci powinien podjąć decyzję. Wyznać, że kobieta nie jest matką, a ja nie jestem ojcem, to wydać wyrok na dziecko. Tajemnica jego pochodzenia kryje się w oczach. Kiedy ktoś się przybliży, przezornie je zamyka. Czyżby tak silny instynkt samozachowawczy, a może tylko lęk przed ludźmi, których dotąd nie oglądała zbyt wielu.

Byłem świadkiem sceny: kilkuletni chłopiec został zwabiony przez strażnika za siatkę, za którą wychodzić było *verboten*. Niemiec widocznie się nudził i wynalazł rozrywkę. Podsuwał dziecku na kiju kawałek chleba. Chłopczyk widocznie ze sobą walczył, po czym korzyść otrzymania chleba wydała mu się warta ryzyka, przeczołgał się pod siatką na drugą stronę, strażnik go zyczajnie zastrzelił. Krzyk matki, która spuściła chłopca z oczu.

(nagranie)

Ł: Byłam dumna z ojca, ale jednocześnie był on przyczyną wielu moich cierpień. Dziwiłam się, jak taki wspaniały mężczyzna może mieć takie niepozorne dziecko. Czasami nawiedzała mnie myśl, że może nie jest moim prawdziwym ojcem. Ale większość dzieci ma takie wątpliwości, miały je moje koleżanki... Wtedy, gdy stanął w drzwiach domu dziecka, byłam taka szczęśliwa. Że ja go widzę i że widzą go inni. To nic, że miał na sobie starą marynarkę, tę samą, w której go zabrali. Mimo zimna był bez płaszcza, przyjechał prosto z więzienia...

(z zapisków A.Ł.)

Pakowałam swoje rzeczy, a moje serce zachowywało się skandalicznie. Przeszkadzało mi tylko. Spieszyłam się, a ono stroiło fochy, tamowało oddech, musiałam się prostować, głęboko wciągać powietrze. Co za brak taktu z jego strony.

Przyjechał! Przyjechał! Jest! – śpiewało we mnie.

Nie, nie, nie. On mi wtedy nie mógł powiedzieć, że nie jest ojcem. To zwariowane serce by tego nie zrozumiało, jak nie umiało zrozumieć, że trzeba cicho siedzieć i dać mi się cieszyć. Potem się okazało, że jednak wada. Ojciec prowadził mnie po profesorach. Ale tamtego dnia nikt tego jeszcze nie wiedział, ani on, ani ja, ani moje serce. Dlatego tak ostro było przeze mnie karcone.

Byłam w końcu gotowa, pędziłam korytarzem. Zaczepiła mnie gruba wychowawczyni.

– Jak to, Łazarska – powiedziała – żyłaś tu z nami przez sześć lat i nawet się nie pożegnasz?

– Z panią z przyjemnością – odrzekłam, jak przystało na mściwą dziewczynkę.

Zapakowaliśmy się do starego samochodu, który dowiózł nas do Warszawy na słowo honoru. Ojciec zapłacił kierowcy i powiedział:

– Zanim ruszymy na dworzec, idziemy na dobry obiad do Europejskiego.

– Skąd masz pieniądze? – zainteresowałam się. Zawsze w jakiś sposób byłam od niego bardziej praktyczna. Teraz to się tłumaczy.

– Sprzedałem zegarek dziadka – odparł – w pociągu, za dobrą cenę.

Potem się okazało, że cena była śmiesznie niska, ale on nie mógł o tym wiedzieć po tak długiej przerwie. Już jako osoba dorosła dowiedziałam się, że siedział w celi śmierci.

(nagranie)

Ł: Dbałość ojca o kondycję fizyczną przenosiła się na mnie. Tej zimy, kiedy zamieszkaliśmy razem, zabrał mnie w góry. Uczył mnie jeździć na nartach. Po dwóch tygodniach ostrego treningu wylądowałam w szpitalu. Znowu moje serce weszło między nas. Pamiętam moje żarliwe modlitwy o to, bym mogła z nim jeździć.

Ja: *Jest pani osobą wierzącą?*

Ł: Sprawy religii w moim życiu nie były uregulowane. Kiedy ponownie zaczęliśmy ze sobą mieszkać, moje koleżanki już dawno przystąpiły do pierwszej komunii. Ja też chciałam, ale ojciec dziwnie z tym zwlekał. Pozwalał mi chodzić na lekcje religii, jednakże moje nagabywania o świadectwo chrztu zbywał jakimś słowem.

Ja: *Przecież to świadectwo istniało, przyniósł je wtedy Z.*

Ł: Nie znalazłam go w papierach ojca. Może zaginęło w czasie powstania.

Ja: *A jak odtworzono akt urodzenia po wojnie?*

Ł: Nie wiem, jak ojciec to załatwił. Teraz rozumiem jego opór przed przyjęciem przeze mnie sakramentu. Nie byłam ochrzczona, a poza tym należałam do narodu, który ukrzyżował Chry-

stusa.

Ja: Pani opiekun nie mógł myśleć tymi kategoriami, był człowiekiem światłym.

Ł: O stosunku do Żydów nie decyduje ani stopień samoświadomości, ani inteligencji. Antysemityzm jest jak choroba psychiczna, może osiągnąć każdego. Jak mówiłam, ojciec i ja nie rozmawialiśmy ze sobą na tematy osobiste. Nie mogłam go spytać o jego stosunek do Boga. Byłam skłonna przypuszczać, że jest niewierzący, a jednak przypadkiem dowiedziałam się, że dawał na mszę za duszę zmarłej żony.

Ja: Może to chodziło o nią? O jej związek z religią?

Ł: Myślałam o tym, ale do końca nie mogłam tego rozstrzygnąć.

Ja: Jak pani sobie poradziła? W końcu przyszło pani żyć w katolickim kraju. Zawsze tu wszyscy chodzili do kościoła.

Ł: Do kościoła chodziłam, ale nie przystępowałam do komunii. Nie rozumiejąc dlaczego, nie przyciskałam ojca o to świadectwo chrztu. Nie spytałam go wprost, czy jestem ochrzczona. Nie wiem, co mnie powstrzymywało. Może jego niechętny stosunek do tej sprawy, który wyczuwałam. Gdybym go wtedy spytała, być może zdecydowałby się wyjawić prawdę. Nie znosił kłamstwa...

Ja: Więc pani bierność też tu trochę zawiniła. Można mówić o winie obu stron.

Ł: Nikt nie jest winien.

Ja: A jednak oskarżała pani ojca, postanowiła go pani nawet ukarać, pozostawiając go bez słowa pożegnania.

Ł: Proszę pana, ja nie jego ukarałam, ja ukarałam siebie.

(z dziennika W. Ł.)

To, co się miało rozegrać, już się rozegrało. Skok z pociągu i pozostawienie tych dwóch istot w rękach losu. Uznałem, że dziecko należy do kobiety przez to chociażby, że bez niej już by go nie było. Pozwoliłem, by je przygarnęła. Dziecko wyraźnie tego nie chce, nie jest nawykłe do takich wylewnych pieszczot, a może wyczuwa w tej kobiecie szaleństwo. Ale czyż to nie jedyna decyzja, jaką można było podjąć? Na swój użytek wybrałem inną. Skok. Mimo niepowodzeń poprzednich śmiałków. Ich trupy leżą przy kolejowym nasypie. Ha! cóż.

Ocknąłem się w rowie, obmacałem członki, okazały się nieuszkodzone. Wtedy uniosłem się na łokciu, by zbadać sytuację, i doznałem czegoś w rodzaju halucynacji: spod skulonej na nasypie kobiecej postaci wyczołgało się dziecko. Stało na nogach i rozejrzawszy się dokoła, ruszyło w moją stronę.

Sylwetka ostatniego wagonu ginęła za zakrętem, ja siedziałem na ziemi, wszystkiego jeszcze do końca nie pojmując. Jak to się stało, że one się tutaj znalazły? Przecież nie miały skakać. Czy to był wypadek? Ostatnie parę dzielących mnie od niej metrów mała Żydówka przebyła w sposób jej zdaniem pewniejszy, na czworakach. Jej brudna buzia wyrażała niezmierne zadowolenie z mojego widoku. Jak zwykle małowówna, usiadła obok i zajęła się skubaniem rozwiązanego troczka przy kaftanie. Też zresztą, co tu mówić, nie pierwszej czystości.

Po jakimś czasie dopiero zbliżyłem się do kobiety, zaniepokoił mnie u niej brak zmiany pozycji. Kiedy odwróciłem ją na plecy, patrzyły na mnie martwe oczy.

(nagranie)

Ł: Moja nowa sytuacja chwilami mnie przerażała, bo jak miałam się teraz zachowywać, za kogo się uważać? Jeżeli przyjąłabym, że jestem dzieckiem prawdziwych rodziców, musiałabym się cofnąć do jakiegoś początku. Ale gdzie go szukać? Na terenie dawnego getta stoją teraz nowe bloki, mieszkają w nich ludzie, którzy pewnie mało mają pojęcia o tym, co się tam działo przed czterdzieści laty. Jak odtworzyć fakty?

Ja: Wie pani, fakty właściwie nie istnieją, ale jedynie ich interpretacja. Każda może być inna.

Ł: Ale to nie dotyczy pochodzenia, to jedno jest bezsporne.

Ja: Jesteśmy tym, kim chcemy być. Gdyby wmówiła pani sobie, że jest na przykład Murzynką, mogłaby nią pani zostać.

Ł: Murzynka o białej skórze?

Ja: Istnieją różne barwniki.

Ł: No tak, tylko że ja nie mówiłam o kolorze skóry, ale o tym, co jest w nas.

Ja: *W pani jest kultura całych pokoleń urodzonych i wychowanych nad Wisłą. Przecież nie żyła pani w Afryce, ale w mieście swoich prawdziwych rodziców.*

Ł: To tak, jakbym żyła w Afryce. Wie pan, co mi opowiedział ten Amerykanin w Wiedniu?

Ja: *Ten od pierwszej nagrody?*

Ł: Tak się złożyło, że jest Żydem. Rodzina wyjechała w czterdziestym szóstym roku z Polski. Jego wujek większość życia przeżył na Nalewkach i dopiero w Ameryce się dowiedział, że w Warszawie mieszkali także Polacy. Drugi wujek musiał mieć gorsze doświadczenia. Tęskni za Krakowem, chciałby przyjechać z wycieczką, ale nie wie, czy tam jeszcze biją Żydków.

Ja: *Co pani odpowiedziała?*

Ł: Zdziwiłam się na tak postawione pytanie.

Ja: *A teraz już Żydków nie biją?*

Ł: Pan mnie naprawdę pyta?

Ja: *Przepraszam. To był głupi żart.*

(z dziennika W. Ł.)

Decyzja osiedlenia się w K. ma wiele uzasadnień, przede wszystkim takie, że Irena pochodzi z tego miasta. Być może łatwiej nam się będzie odnaleźć. Zaczekam tu na nią, potem trzeba ją coś uregulować sprawę małej Żydówki. Występuje nadal jako moja córka. Jest to o tyle niebezpieczne, że rodzina Ireny łatwo może odkryć oszustwo. Jedyne dokumenty tożsamości to skrawek żydowskiej gazety, jako prawnik muszę go wykluczyć. Pozostają świadkowie, a świadkiem jest Z., który jak dotąd nie daje znaku życia. Pożegnał się z nami pierwszego sierpnia, kiedy wyruszał na swoją wielką wojnę.

– Idę się bić – rzekł – a pan niech pilnuje dziecka.

Obiecał wpadać do nas, ale wkrótce przysypało nas w piwnicy. No cóż, to, co miało miejsce 4 lipca, da się określić tylko jednym słowem: prowokacja. Tylko czyja? Zbyt wiele nitki i nie wiadomo, która z jakiego kłębka. Z drugiej strony, trzeba suchego drewna, żeby tak wysoko zapłonął stos. Wśród ofiar są także dzieci.

Czegóż nauczyli mnie Niemcy, czegóż uczę się teraz od Polaków?

W papierach Łazarskiej znalazłem spisana z taśmy rozmowę jej ojca z nieznanymi ludźmi. Do czego miała mu posłużyć? Kim był jego rozmówca? Wariatem? Zwyczajnym świadkiem? Uważać go za *vox populi*. Przedstawiam ją państwu bez skrótów, mimo że nie ma ona bezpośredniego związku z bohaterką, o tyle może tylko że jako córka Łazarskiego mogła uniknąć swojego losu.

Głos męski: Było to miasto z jednej strony drobnych kupców, z drugiej takiej niesłychanie potwornej biedoty. Skąd się to wszystko wzięło? Drobnym kupiec przegrywał z finansistą żydowskim, ja to sobie uświadomiłem, kiedy w roku pięćdziesiątym dziewiątym byłem komisarzem spisowym, między innymi sprawdzało się własność parcel i posesji. I nagle się okazało, że przy ulicy Sienkiewicza, głównej ulicy w mieście, dwie trzecie domów i posesji to własność niejakiej Hali Rosenberg. Mogę nazwisko mylić. Zresztą biedna starucha, Hala Rosenberg, mnie nie pamięta, nieważne. Hala Rosenberg żyła. To była starucha, która chodziła z laską. Sklerotyczna już osoba, sędziwa. Waliła tą laską: – Won, chamy, ja tu idę.

Ale to nieważne. Była właścicielką połowy śródmieścia. Dlaczego? Żydzi, którzy właśnie po wojnie wyjechali z K., cedowali na nią swoje prawa. W rezultacie stała się Hala Rosenberg właścicielką. Ale co z tego? Te kamienice są, bo są, ale tak hipotecznie obciążone. No ale była formalnie właścicielką. W jej imieniu obowiązki plenipotenta pełnił Żyd, niejaki Szewko. A ja uświadomiłem sobie, że to było pojęcie własności kamienicznej. Czyjej? I teraz dopiero się zaczyna. Akurat to było śródmieście. Ale na przykład dzielnica, w której chodziłem do szkoły, zanim się przeprowadziłem. Myśmy się przeprowadzili do głównej dzielnicy, ja mieszkałem właśnie w pożydowskiej kamienicy, nie od razu zresztą, najpierw w takim domku na ulicy Młodej, ale krótko to było, chociaż mnie się wydaje, że to trwało z pół roku. Ale potem sobie uświadomiłem, że to trwało miesiąc, w wieku dziecięcym nowość, odmiana strasznie długo trwająca, to jest bardzo intensywnie przeżywany czas. A później nagle z datami to kojarzę, że myśmy w końcu maja albo z początkiem czerwca przyjechali do K. i ja zdążyłem jeszcze w lipcu być, czyli nie chodziłem, wiem, że nie chodziłem

pod koniec roku do szkoły, bo mi mama załatwiła świadectwo jakieś tam przyspieszone. Ale było z tej piątej klasy. Ja poszedłem do szóstej do lokalnej szkoły dopiero we wrześniu, ale zamieszkaliśmy w czerwcu na Młodej, w takiej dzielnicy robotniczej, w bardzo przyjemnym takim domku, potem się przeprowadziliśmy właśnie do mieszkania, do niejakiej cioci Kabacińskiej. Nie była to żadna ciocia, ale nazywało się ją ciocią dlatego, że chodziło o kupno mieszkania, o tak zwane odstępnę, żeby się można było zameldować. A ciocia Kabacińska wyprowadzała się do Warszawy ze swoją córką, tak zwana ciocia Kabacińska. I myśmy tam zamieszkali. Tylko że tak, paradoks polegał na tym, mieszkanie było trzypokojowe, z wejściem z klatki schodowej z jednej strony od podwórka, koło fotografa Chećki, gdzie klatka schodowa była rozwalona, na poły rozchylały się ściany, bo tam było bombardowanie, trudno było przejść. Ale tędy żeśmy chodzili, myśmy zajmowali pokój z kuchnią, ale na początku była tam ciocia Kabacińska i ona ulokowała nas w drugim pokoju, w którym mieszkali ubowcy. W trzecim pokoju, to było w amfiladzie, w trzecim pokoju, przy którym był taki korytarzyk, mieszkał drugi sekretarz komitetu wojewódzkiego, niejaki obywatel J.G. albo S.G., nie wiem już, bardzo miły, bardzo kulturalny, sympatyczny pan, łysy zupełnie. Chodził z wiadrem po wodę do nas do łazienki, bo tam było przejście. A nas ciotka usadziła wśród tych ubowców, którzy mieli tam przydział. Ona była właścicielką mieszkania, co by nie powiedzieć, i parawanem byliśmy odgradzeni, trochę wiało, chociaż to było już lato. Kula armatnia wybiła dziurę koło balkonu i jaśkiem była zatkana, ale jednak trochę wiało. Tam byli i ubowcy, jedno nazwisko pamiętam. Roman K. Podobno ten pisarz W.K. to on. Nie wiem, czy to on, nie wiem w stu procentach, ale pewne partie życiorysu się powtarzają, pewne nie. Drugi facet to był L., a potem po nim wprowadził się S.K. i o nim pisano, że miał związek z wydarzeniami. Porucznik K. Bardzo mili, eleganccy faceci. No i myśmy tam zamieszkali, to było na ulicy Sienkiewicza nad rzeką. Śmierdziało z niej, gary, śmieci, sienniki. Jedyna rzeka w K.

O tyle ważne, że wydarzenia rozegrały się nad rzeką; to ma znaczenie dla życia mojego ojca... Mój ojciec wtedy pracował w kolumnie wojewódzkiej straży pożarnej, był oficerem, porucznikiem. Nawiasem mówiąc, odebrał wykształcenie w szkole pożarnictwa na Żoliborzu, brał udział w gaszeniu pożaru getta, zdążył na początek, 30 czerwca przyjechał do K. Jego kolegom nie chciało się wracać, no to już byli bohaterami takimi. Tata nie miał szczęścia, a tamci zostali...

Głos kobiecy: A wiesz, Jurek, co mi się przypomniało, już nie wiem z jakiej literatury, bo ja się kiedyś zajmowałam czasopismami i literaturą regionalną nie wiem, czy to był J., raczej nie, tylko jakieś inne źródło, bardzo ciekawa informacja o awansie społecznym, który się przypisuje latom powojennym, chłopom, że przypadł na lata wojny. Właśnie zagarnięcie mienia żydowskiego i domów żydowskich nastąpiło w latach okupacji, po wysiedleniu Żydów. Była wtedy mowa o napływie nowych ludzi do K. Był to awans drobnomieszczaństwa...

Głos męski: ...i paskarzy, gwałtowne bogacenie się pewnych warstw drobnomieszczaństwa, wykupywali za bezcen mienie żydowskie od gminy i miasta, od urzędu miasta, od magistratu. Jako zmiana składu socjalnego. I w takiej kamienicy była moja szkoła właśnie, w prywatnej kamienicy żydowskiej. Straszna szkoła z przejściami pokojowymi, to nieważne... Wracam do tego miasta. Kupczyk przegrywał z finansistą żydowskim, jak już powiedziałem przy okazji kamienic. „Wasze ulice, nasze kamienice” – to istniało. Kupczyk przegrywał, on musiał przegrać, a nie bardzo potrafił... nie każdy był Chaimem Kotowskim. Bardzo cenię pana Kotowskiego, z bogatej rodziny, bardzo mądry i dobry człowiek, porządny. Nos taaki. Rodziny te wychrzyły się jeszcze w XIX wieku, proces wychrzczenia odbywał się, jak wiem, na przełomie stulecia. Jest taka najpoważniejsza fabryka w K., Huta Ludwików, tam były wytwarzane najlepsze szable w historii Polski, wzór 34, znakomite szable, najwyżej cenione i najdroższe. Droższe nawet od historycznych szabli. Ludwik Starke potrzebował zostać chrześcijaninem około 1905 roku, co nie tak dawno komunistyczna prasa obwieściła tonem satysfakcjonującej denuncjacji, lokalna komunistyczna prasa. To była jedna z wielu fabryk w K. Ludwik Starke i jego syn mieli stosunek do robotnika bardzo pański, bardzo niezyczliwy. Robotnik to pamięta, że to jest wychrzyta Żyd, a to był robotnik biedny. Arystokracji robotniczej w K. nie było, to były dwie kolonie, tak zwane Alejki. Ten biedak, nędzarz, mieszkał właśnie w kamienicy, pracował w przedsiębiorstwie żydowskim, trzeba o tym pamiętać. No ciągle trzeba o tym pamiętać. Uświadamiał sobie wroga klasowego. „Jestem żydowski Wojtek, pracuję

u Żyda”. Mój ojciec wspomina, że pracował u Żyda, który był bardzo dobrym pryncypałem. Ojciec był ślusarzem, ale krótko. Ale tak to wyglądało. Starke miał paskudny stosunek do robotnika.

Miasto miało tak, z jednej strony tradycję patriotyczną, nie było aktu powstańczego, nie było zrywu podczas wojny światowej... Po wojnie w Polsce była specyficzna sytuacja, miasto nasycone partyzantami... K. było twierdzą akowską. Mój kolega przy inwentaryzacji w muzeum znalazł znakomite druki podziemne pierwszych lat po wojnie, wspaniałe druki konspiracji poakowskiej, antykomunistycznej. To byli faceci jakiejś klasy, ta jednak inteligencja przedwojenna, która przez lata przetrwała. Te akówny, jak je nazywali, te panie akówny, łączniczki AK, miały swoją klasę. Czyli jakiejś inteligencji to miasto się dorobiło. Po wojnie następuje typowy zamęt. No cóż, ten robot, ten najbiedniejszy, pamięta swoje. Teraz jaka jest sytuacja, będę mówił o koledze z pracy. To był zawodowy aparatczyk, umarł w zeszłym roku. Trochę się zełódził, trochę się rozpił. Miał swoje zalety jako mężczyzna. On był z ulicy Planty. Ulica Planty też leży w pobliżu rzeki. Więc ojca tego kolegi wywieźli i było w domu trzech chłopaków i biedna samotna matka. I teraz się zaczyna Stefan, bo on miał na imię Stefan. Kiedyś po cichu powiedział mi coś niechętnie o Żydach. Nie lubił. A to wszystko obok tego miejsca, gdzie się wydarzenia stały. Warto tu przypomnieć o fałszywej sytuacji ofiar po wojnie. Z jednej strony pieszczonienie przez komunizm, z drugiej pieszczonienie przez syjonizm, pieszczonienie raz jako Żydów, raz jako pionierów komunistycznych, raz jako nie wiadomo co. To była ich sytuacja po wojnie w K.

Ulica Planty, tam się to stało. Taka sobie przyzwoita drobnomieszczańska uliczka, jeszcze tam są kamienice i przyzwoici mieszkańcy, opodal dzielnica typowo proletariacka, lumpenproletariackiej biedoty. Tam się wszystko zaczęło. I to jest bardzo ważne dla nas, żeby ci, co o tym piszą, różni durnie, pisarze i dziennikarze, mój kolega, dobrze go znam, wódkę z nim piłem, pisał a pisał, żeby oni nie usiłowali wytłumaczyć tych nieszczęsnych sklepikarzy, którzy wyciągają dubeltówki. Część szlachciców byłych, z wąsami i w bryczesach, podobno wyskakiwali z dworców i strzelali do Żydów w czasie wydarzeń. Nieprawda, to był motyw ludowy i od tego trzeba zacząć. Ta nędza podczas wojny, przeraźliwa nędza ulicy Starowarszawskiego Przedmieścia, ulicy Piotrkowskiej, no i ulicy Planty, była to nędza moich kolegów szkolnych. Ja specjalnie może nie ze wszystkimi sympatyzowałem, ale widziałem. Była nędza na styku drobnomieszczańskich bliskich uliczek Targowej, gdzie się lokalizowali handlarze okupacyjni, paskarze i inni, ale obyczajowość była wspólna, bliska. Nowy Świat, takie ulice tam były i jeszcze są. Starowarszawskiego Przedmieścia już nie ma, zmieniono nazwę w wieku urbanistycznym, dumny sztandar rady narodowej.

Dalej się rzeczy dzieją tak, wracam do Stefana, jak mógł patrzeć siedemnastoletni Stefan P., członek ZWM, bo dla niego nie było innej szansy, dla Władka G. z mojej klasy, który był w ZWM, dla R.C, który też był w ZWM, i dla dwóch innych, którzy byli właśnie rodem z AK w powszechniaku, tak byli przerośnięci. Mieli spluwy po kieszeniach. To się demonstrowało w gimnazjum, to odczułem ze zdziwieniem. Taki Stefan P. z biedy najgorszej, z nędzy, taki Antek Wawrzek, nie, Antek Wawrzek to już źle powiedziane, bo on był ofiarą wydarzeń, a Stefan mógł brać w tym udział. Czuję, że on w tym brał.

Ale mniejsza z tym. No, trzeba zrozumieć, jak na to patrzono. Istnieje sobie po wojnie partia Poale Syjon, zawiera umowę z rządem, dostają lokal na Plantach, na tej ulicy. Taka fabryczka i zarazem blok kamieniczny. Istnieje po dziś dzień. Po wojnie przejęło ją państwo. Co oni tam robili, to cholera ich wie, może jakieś torebki, może jakieś inne guano, diabli ich wiedzą. W każdym razie wytwarzali i zarabiali.

I to był blok produkcyjno-mieszkalny, który w całości oddano tej właśnie partii Poale Syjon. Stała się to taka twierdza od strony kulturalno-mieszkalno-prze-trwaniowej żydostwa, które wróciło i głównie tam się skupiło. W zasadzie Żydzi na mieście nie mieszkali. Jakie tam były paczki, jakie czekolady, jakie pomarańcze, jakie superrzeczy, żeby tym „naszym ludziom” pomóc. Było to z jednej strony zrozumiałe. Więc swoim zetempowskim sercem późniejszym przeżywałem to przez wiele lat. To, co widziałem, to dla mnie był wstrząs. Rozumiałem, że jeżeli ci ludzie tak wycierpieli, to im się przecież należało. Ja myślałem wtedy, że to państwo komunistyczne im dawało. Cholera, skąd mogłem wiedzieć, co gdzie kto dawał. Ale przecież ci ludzie przecierpieli największą nędzę i im się należało. Ja to mogłem swoim zetempowskim czerwonym sercem tak tłumaczyć. Ale Stef-

cio P. typu zetwemowskie serce to było zupełnie co innego. Wbrew pozorom to było ludowe. To biorą tak.

Ci skurwysyni Żydzi, którzy nas przedtem gnębili, bo to przecież taki Stefcia ojciec, on przecież pracował u Żyda, u Starkego czy gdzieś, to taki Stefcio mógł sobie myśleć, żeby ich cholera wzięła, im się przelewa potąd, a my żyjemy, matka ledwo koniec z końcem wiąże. Ludność była na tyle lojalna, jak się okazuje, że Starke przetrwał jako przemysłowiec, oczywiście był odsunięty od udziału w fabryce, która była wzięta pod zarząd niemiecki. Rodzina przetrwała. Syn jego następny, Hugo, czyli wnuk Ludwika Starkego, był członkiem mojego zespołu jazzowego, który prowadziłem. Hugo ładnie grał na gitarze. No, ale co z tym miastem. Poszli wszyscy chłopcy z mojego gimnazjum, poszli do Armii Krajowej...

Głos kobiety: Jurek, byłeś już dalej... Głos męski: ...może, czuję się zmęczony... Głos kobiety: Byłeś przy Poale Syjon.

Głos męski: ...z mojego gimnazjum chłopcy poszli w połowie do AK, w połowie do NSZ. Poza tym pułkownik Broniewski, czyli Bohun, dokonał największego wyczynu w dziejach drugiej wojny światowej. Na styku walczących armii przeszedł front i zdołał dotrzeć do strefy amerykańskiej. Przejechał się po Niemcach jak Kmicic, jak Kalinowski, jak ci w siedemnastym wieku. A z Niemcami... najpierw oni go wzięli w okrążenie, potem bolszewicy go wzięli w okrążenie. Niemcy się puknęli w głowy i pierwsi do niego wyszli z tym. On nie. Taką książkę ktoś napisał, jakiś moczarowiec, i był na tyle uczciwy, że mówi: „Oddział brygady świętokrzyskiej wyruszył w ślad za Niemcami w kontakcie bojowym z nieprzyjacielem”. To jest bardzo ważne, bo to są istotne sprawy. Oni szli, skubiąc Szwabów po prostu w pięty. To było dobre wojsko, dobra brygada.

O tym się nie mówi, o tym się zapomina, AK nic nie mówi, wstydzi się. Za bicie komuny i pewne żydobójstwo. Pewne!

Ja, czyli Witold Łazarski: Można by mówić o sporadycznych wypadkach, ale to dotyczyło raczej NSZ...

Głos męski: ...które były podporządkowane AK, ten mój kumpel archiwista pokazywał mi pewien dokument. Chodziło o to, że Żydzi skaczący z transportów wprowadzali zamieszanie w terenie. Dowódca brygady na własną rękę wydał rozkaz strzelania do nich. Dostał za to zdrowy opierdół od tych z góry. Pismo podpisał sam głównodowodzący AK, to pismo i ten podpis widziałem na własne oczy.

Wracam do naszego miasta. I byli ci moi starsi koledzy, jednego z nich znałem, jako malarza, który wrócił z Workuty, aresztowany po wojnie, Jasio G., jeden z uczestników zamachu na Witka, szefa gestapo w K. Co się dzieje dalej w tym mieście. Taka jest sytuacja: biedota, drobny kupiec, inteligent. Trzeba wziąć poprawkę na to wszystko, tradycyjny antysemityzm chłopstwa, które masowo napływa. Pod różnymi pretekstami, różnymi sposobami, bo miasto w czterdziestym piątym roku po trzebieżach liczyło według jednych czterdzieści pięć tysięcy, według innych osiemdziesiąt pięć, nikt nie był w stanie tego policzyć, bo fluktuacje były żywiołowe. Najwięcej napłynęło ubogich milicjantów ze wsi. To była plaga wszystkich zasiedleń mieszkaniowych i wszystkich zagęszczeń. Ubogi milicjant ze wsi albo ubogi ubowiec, tych było najwięcej. Pod pozorem, że trzeba proletariatem zaludnić ulice w śródmieściu. Więc ja mieszkiałem u cioci Kabacińskiej. Jak stwierdziłem, mieliśmy tam ubowców. Ta sytuacja wygląda tak. W klasie gimnazjalnej byli starsi ode mnie chłopcy, pięćdziesięciu paru chłopaków. Żyło się na marginesie, to się potem wyczyściło. Ale wyciągali spluwy na lekcjach, jakieś były trzaskania, profesor chował notes, no takie różne. Raz nawet ze starszych klas wyrzucono wiązkę granatów przez okno. Wyleciały wszystkie szyby. UB przyjechało wtedy do szkoły, ale była wspólnota stron walczących...

Ja: No tak, tylko jak przyszło co do czego, sypali jedni drugich. Sprawa nie trafiła do sądu, bo był w nią zamieszany syn wysokiego funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa...

Głos męski: Żyło się wtedy w K. jak na minie. Ale nawiasem mówiąc, pan mecenas był wtedy w K. znany i szanowany. Ja sam pamiętam, jak się szeroko mówiło o sprawie tej staruchy z ulicy Śliskiej, dokładnie nie powiem, jak się nazywała...

Ja: Sarnecka.

Głos męski: Żyła w kompletnej nędzy, w takim walącym się domku, komin się zapchał, to

chodziła na okrągło w starym płaszczu, bo jej żal było tych paru groszy na zduna. Któregoś dnia znaleziono ją z rozwalonym łbem. Posądzenie padło na jedyne go krewnego, młodego chłopaka, sierotę, którego podobno bardzo źle traktowała. Wzięli go za dupę. A pan mecenas podjął się obrony z urzędu i wygrał sprawę.

Głos kobiety: Kto ją zabił?

Głos męski: Sąsiad. Odstawiała biedną, nawet zasiłek brała z rady narodowej, a w łaclu, w którym stale chodziła, zaszyte miała bogactwo. Czego tam nie było: złote dolarówki, biżuteria, i to jaka, jedna broszka miała brylant wielkości kartofla. Morderca przeszukał dom, ale nic nie znalazł... Ja pamiętam też sprawę z dubeltówką, bezpieka ją panu mecenasowi zabierała i oddawała, bawili się jak kot z myszą. O co im chodziło?

Ja: Chcieli mnie zmusić, żebym zapisał się do partii. To był rodzaj łagodnej perswazji. Znali moją namiętność do myślistwa.

Głos męski: W końcu zarekwirowali i flintę, i pana mecenas. Ale teraz będę mówił, co ja widziałem. Co wiem. Ciocia Kabacińska opowiadała taką historię. Do niej przyszedł taki kaptan, jak to ona mówi, kaptan z UB, bo miał ciemnoamarantowy otok, takie otoki na rogatywkach wiśniowe, ciemnowiśniowe to mieli oficerowie UB. Więc kaptan spojrzął na jej mieszkanie i mówi: – Sara, nasze łóżki – mówiła to ze wstrętem, ale ten kaptan mówił z takim samym wstrętem, bo takie łóżka, typowe dla lat trzydziestych, Polacy radośnie kupowali po prostu ze skupu pożydowskiego mienia. Ta ciocia się wyniosła, nie wiem, w którym momencie. Była potworną osobą, typową drobnomieszczuchą wstrętną, a jej rodzina cierpiała, była osobą nieprzyjemną, typową drobnomieszczuchą damulką.

No i tu pojawia się to o Antku Wawrzaku. Ja się dowiedziałem od kolegi ze szkoły, że on był brany na macę. Bo to nie do wszystkich dotarło, co było rzeczywistym *spiritus movens*. Tak byli zastraszeni ci chłopcy, którzy byli brani na macę. Skąd wiem, to też powiem. Myślenie żydowskie: goj, obcy, wobec niego można wszystko, było też między innymi przyczyną wydarzeń. Istnieje poczucie zbiorowego wstydu, ludzie się zakłamują tak, że nie chcą mówić całej prawdy, a nawet nie wierzą, że ona kiedyś istniała. Przez dłuższy czas ja rozumiałem to tak, że to był po prostu wynik drobnomieszczuchskich obciążeń na drobnych kupcach, masach ludowych. Ten schemat – trzecia siła. Ja się zetknąłem z tymi ludźmi, z tymi narodowymi komunistami, którzy zrobili krzywdę Żydom w sześćdziesiątym ósmym roku.

I to znajomemu Żydkowi Olkowi R., poecie. Porządny facet, dziwadło cholerne, i go właśnie skrzywdzili. Wykończyli go, facet przez pół roku nie mógł mówić, miał zaburzenia mowy. Zniszczyli go jako człowieka i osobę publiczną w K. I to nie tylko Olka, bardzo wielu. Załatwili go ci komunistyczni nacjonałści.

Pamiętasz to oblewanie książki u P.? I była cholerna kłótnia, bo ja tłumaczyłem, że tu chodzi o duszę ludu polskiego...

...Ale wróćmy do naszych Żydków. Opływali, cholery, w dostatki, no fakt, bractwo patrzyło na to źle, no jak inaczej. Oni byli fetowani przez władzę komunistyczną, wszędzie byli na pierwszym miejscu i brali to ochoczo. Sze należało. Nikt nie miał rozumu, bo goj to goj, a my to my, wybrani. Takie komunisty jak cholera. No byli komuniści, bo nie mieli wyboru.

Ojciec pracował wtedy w odległej dość dzielnicy od tego miejsca, to było na takim rynku zbudowanym w XIX wieku, bardzo ładnym, tam była wojewódzka komenda straży pożarnej. Trzeba powiedzieć, że tego dnia nie było szefa, w świetle faktów późniejszych, opisanych w historii... nie było komendanta głównego milicji, nie było głównego komendanta straży, nie było szefa UB, nie było w mieście nikogo. Był tylko wojewoda W. To była zasada działania władzy... nie ma niko- go, nie wiadomo, kto rządzi.

I teraz tata mówi tak.

– My siedzimy w biurze i widzimy, że przez plac jakiś tłum się przewala. Ludzie wloką chyba jakiegoś Żydkę. I tak patrzymy. Oni wrzeszczą. Takie padają słowa. – A Hitlerowi złoty pomnik postawić, że nas nauczył Żydów tłuc... – to jest dokładny cytat z mojego taty. Wałą jak cholera. No to tak było, jak widział mój ojciec. I inne podobne scenki. Pan K., też oficer straży pożarnej, który był wtedy z ojcem w biurze tego dnia, wyszedł po papierosy naprzeciwko, a że miał czarny wąs

i szlachetną piękną urodę, orli nadto nos, natychmiast został zaatakowany. Żeby nosił mundur strażacki, toby go nie capnęli, ale on miał wtedy zielony mundur wojskowy i czapkę strażacką, oficerską, był na niej orzeł. Ludzie krzyczeli. – Żydzi to UB. UB to Żydzi. Wtedy noszono mundury różne, kto co miał. No więc właśnie pana K. zaatakowano, ledwie uciekł. No i potem rzeczy się mają tak. Mój ojciec, w tym czasie jako pracownik komendy wojewódzkiej straży pożarnej, oficer dyżurny, dostaje telefon. – Kto jest oficerem dyżurnym? – pytają. No to ojciec się melduje, przy telefonie oficer dyżurny. Towarzyszu, pozwólcie do mnie. No więc ojciec pozwolił do niego, do zamku. Patrzy, a tam jest paru facetów. Towarzyszu poruczniku, trzeba natychmiast wziąć garnizon straży pożarnej i jechać pod ten tłum, który jest. Coś się dzieje na Plantach. Tam jest rewolta. Coś się dzieje. Jaki tłum? Żydowski? Nie ma co tłumaczyć. Ojciec: Dobrze, dobrze, ale jak ja mam to robić, my nie jesteśmy policjanci. Oni: Towarzyszu, lepsza woda niż kule. No i teraz dane, relacja ojca:

– No to poszedłem do straży, zatelefonowałem przedtem, że przychodzę i przejmuję komendę...

Ojciec wziął stary samochód, jedyny, jaki mieli, z dwudziestego ósmego model fiata, przepiękny wóz strażacki, stary zdezelowany silnik. I mieli starą motopompę, ale nie mieli beczkowitzu, więc to była motopompa sprzężona. Pytają. No jak tu robić? No to zamontujcie motopompę do rzeki i będziecie polewać. No to zajechali. Ja to widziałem z daleka, z bardzo daleka, że nadjechała straż. Widziałem te khaki mundury, oni mieli te bluzy amerykańskie i zielone wojskowe polskie hełmy, takie mieli wyposażenie. Wyskakuję i widzę ojca. Z daleka ojca widzę. Zaczynam drżeć, bo ojciec ma rudawy wąs i krzywy nos, cholera, mniejsza z tym. No oczywiście strażaki ten cały majdan zaczęły wyjmować, włączać, wyłączać, podłączać do rzeki. Zanim się włączyli, tłum ich ogarnął i ojciec mówi:

– No, ledwośmy uszli z życiem. Zaczęli nas bić po mordzie. Wóz zdemolowali. Wszystko nam rozpieprzyli. Myśmy uciekli, bo nie mieliśmy szans, żeby się wmontować z tą pompą z zassawką do wody.

Ja o ojca drżałem, bo na mnie wrzeszczeli: Żyd, walcie go i tak dalej. Każdego walili, który tylko Żyda przypominał. No to jeszcze ojciec powiedział... co ojciec powiedział, a co ja widziałem. Ojciec mówi:

– Wiesz, ale widziałem, że przyszedł oddział wojska. Tak było, że dowódcą był Żyd. Oficer.

Ja z daleka dobrze nie widziałem, on też może dobrze nie widział. Może to był podoficer. Ja widziałem, że byli w furazerkach. A coś mi się zdaje, że to byli tacy sami nieznani sprawcy w mundurach jak ci, co atakowali. Ojciec mówi tak:

– A to wyszedł żołnierz, chyba sierżant, tak mi się zdaje, że podoficer, i wziął karabin z bagnetem, i przebił tego oficera: masz, ty Żydzie.

Tyle zdążyłem zaobserwować. Ja też widziałem, że coś się tam dzieje. Od swojej strony widziałem, że coś się tam z tamtej strony rzeki dzieje. A potem sami zaczęli strzelać, zaatakowali budynek. No więc atak tego wojska nie wojska. Staliśmy z drugiej strony rzeki, harcerze stali, rzucali kamieniami, milicjanci strzelali. Ja pamiętam, stali milicjanci i walili jak cholera do tamtych z okien. Z relacji mojego ojca: jeszcze zdążył zaobserwować, bo to wszystko się działo, to się dzieje strasznie szybko, ja to powoli mówię, ale to się dzieje, tu wałą, tu coś się dzieje. I mówi tak: A widziałem tyle, że... jak to było z tą Żydówką. Aha, wyszła Żydówka na balkon i chciała coś wyrzucić z za dekoltu, coś tam wyciągała, w tym momencie ją odstrzelili i ona się przechyliła za poręcz i wypadła. A z za jej dekoltu wyleciały granaty. A ty, Żydowico sakramencka, ty nas chciałaś... Wiadomo, co to było, coś w tym stylu. No, mniejsza z tym. Tak. Ja tego momentu wypadnięcia tej kobiety z balkonu nie widziałem.

Ale ojciec mówił to samo, co ja widziałem potem. Ja się wymknąłem mamie i uciekłem, po prostu skapowałem, że coś się dzieje. Myśmy mieszkali po drugiej stronie Plant, właśnie na Sienkiewicza. Wyleciałem i stanąłem po drugiej stronie rzeki. Strzały padały pierwsze z tamtej strony, z Poaleju, bo oni się bronili. A tłum stał i pomstował. Wrzeszczał: Oddajcie nasze dzieci. Coś w tym rodzaju było. Oddajcie nasze dzieci, no to oddajcie nasze dzieci. I jacyś faceci strzelali, tacy mundurowi. Ja to widziałem. I z tej strony, i z tamtej było widać. Widziałem oddział takiego wojska nie wojska i widziałem, co się tam dzieje. Później widziałem, jak jeden moment zdecydował, wła-

śnie jak ta Żydówka wyleciała. Ten moment, co ojciec opisał. Potem tłum ruszył. Widziałem strażaków, którzy spieszczyli. Widziałem ojca i zacząłem się bać. Chciałem lecieć na tamtą stronę. Tłum ruszył na budynek razem z tymi żołnierzami. Na balkonie pokazał się taki typowy Słowianin, to mi się utrwaliło w pamięci, blond sterczące włosy, takie chamskie proste włosy. Trzymał małe dziecko... A potem już się działy różne rzeczy. Ojciec to widział i ja to widziałem. To było niemowlę. Ale powiem, co było przedtem.

Poszedłem do szkoły i mi mówili, że Antek Wawrzek był brany na macę. I jeszcze tam ktoś był brany na macę. Ja nic z tego nie rozumiem. A jeszcze był komentarz w bliskim gronie. Taki znajomy ojca, socjalista, mówi: – No tak, tak, nasze miasto zawsze, pierwsza kadra była w K., a tutaj też K. pokazało. Później ksiądz Kaczmarek powiedział, że są popierane pewne warstwy ludności i to są skutki. Biskup tak powiedział. Ksiądz. Skwitował to z ambony w sposób małoduszny. Na swój sposób miał rację, ale w tym momencie zabrakło mu charakteru, aby się odciąć od zbrodni. Bo to była zbrodnia. Co by nie było. Ci świątelnicy ludzie w K. mieli to biskupowi za złe. Teraz powiem, czego się dowiedziałem w szkole. No, Antek Wawrzek był brany na macę. Pani Wilczkowska, poczciwa pracznica z ulicy Starowarszawskie Przedmieście, zaczęła pracować u nas i tak mówi. Okazało się, że jest matką dwojga dzieci, starszej już panienki i młodszego chłopca, tego Wilczkowskiego, jak mu na imię było, już nie pamiętam, Józek czy Julek, i ten Wilczkowski, ona z nim miała zmartwienie. Bo jej mąż był w więzieniu, potem się okazało, że jako jeden z żydobójców. W pierwszej wersji dano mu dziesięć lat, ale nie odsiedział swojego. Ona strasznie się martwiła i wreszcie moja mama powiedziała, co jej wyznała. Bo chodziło o pomoc. Tutaj, w tym miejscu, był potrzebny Romek K., ubol, który mieszkał u nas. Co on tam pomógł, może i pomógł, już nie wiem, już się mamie nie pytałem tak dokładnie. Zdaje się, że mama prosiła go o pomoc. Jak dopiero tatę mieli wieszać, to w tym momencie ten Wilczkowski przyznał się, jak było. On i kilku innych chłopców jakieś dziesięć dni przed wydarzeniami byli wzięci przez kogoś do jakiegoś mieszkania. Nie wie gdzie, nie wie przez kogo. To był o śmioletni chłopiec, zdajmy sobie z tego sprawę. No, tak było. Bity po buzi, tłuczony po tyłku, było potem sporo śladów. Przez jakieś dziesięć dni, może dwa tygodnie. On był wzięty i tłuczony. Pod koniec tej imprezy powiedziano: – Teraz słuchaj, gówniarzu, ty byłeś przez Żydów w Poaleju na Plantach obracany w beczce z gwoździami na macę i stąd masz te krwawe ślady na ciele. Jak wrócisz do domu i powiesz inaczej, to my cię, gówniarzu, znajdziemy i zatłuczemy na śmierć. Śmierci się boi każdy, więc dziecko też się boi. I takich chłopaków może dziesięciu, może dwudziestu i więcej, nikt nie jest w stanie policzyć, bo nikt się nie przyznał. To jest strach. Nikt się nie przyzna. Dziecko też się nie przyzna. Dopiero jak tatę mieli wieszać... Dwa dni wcześniej, nim ludzie się zebrali, chłopcy wrócili. Było wycelowane bezbłędnie. Wrócili do domu. A chłopak z takiej robotniczej rodziny boi się strasznie ojca, bo to pas, nie ma gadania, lu w tyłek. To jest to pierwsze, strach przed ojcem. A drugie, no bał się tamtych i powiedział, że go Żydy w Poaleju na macę obracały w beczce. No i pokazał ślady tatusiowi, no to tatuś jeden, drugi, trzeci. Ci ludzie wszyscy się zebrali.

Taka relacja majstra budowlanego, ohydna, przezywali go Waligórą. – Tam na torach w Henrykowie takiego Żydka myśmy złapali – to opowieść w czasie przerwy obiadowej, dużo się wódki wtedy piło – ten Żydek krzyczy, a my go za dupę. Polaki, ja nic nie winien... – Żydobójstwo. Murarz Waligóra. Bardzo ważne.

To, co ja widziałem, to widziałem. Zakończenie z tym dzieckiem to był dla mnie taki sygnał straszny. Zapamiętałem z wojny dziewczynkę, Basię, bardzo ładną dziewczynkę, miałem może siedem, może sześć lat. Bawiłem się z nią czasami w piaskownicy. A potem widziałem, jak ich prowadzono. On poważny kupiec był, ten dziadek. Holingman czy jakoś się tak nazywał. Ona była Basia Holingman. No i dziadek nie mógł iść, bo był stary człowiek. To myśmy widzieli, jak Żydów prowadzili. Więc esesmani doskoczyli do dziadka i utłukli. Na dziadka rzuciła się Basia, to ja widziałem z daleka, że się rzuciła i nie chciała iść. No to tę Basię rozwalili. To widziałem. Dlatego ten moment rozwalenia dziecka na balkonie to był dla mnie straszny widok. Ale teraz co dalej. No więc właśnie tych chłopaków było więcej. Rzecz była rozegrana genialnie.

U nas w domu mieszkało dwóch ubowców, jeden Romek K., on był typowy Żydzioł, klasyczny Żydzioł. Kędzierzawe rude włosy, gruby wielki łeb, sam duży chłop, tłusty. Bardzo przy

tym sympatyczny. Wypukłe wargi, krzywy nos, mocno odstające uszy, typowy, stuprocentowy Żydziol. Żydek zakochany w kulturze polskiej, ale zakochany autentycznie, ubowiec. Był synem pani, którą potem poznałem. Była pierwszą damą, którą w życiu widziałem naprawdę. To była kochanka jakiegoś wybitnego lekarza w K. Romek był jego synem. Usynowił go lekarz, dał mu nazwisko, ale się z nią nie ożenił. Matka wypchnęła Romka z getta, kazała mu uciekać, sama została. Jak się okazało, uratowała się i się spotkali u nas w domu. Romek uciekł i dostał się do oddziału partyzanckiego, miał wtedy piętnaście czy szesnaście lat, stamtąd jako Polak został po wojnie skierowany do UB. Taki był jego los, uratował się. Był to niesłychanie sympatyczny facet, bawił się ze mną żołnierszami, przynosił czekoladki, bardzo był jakiś młodzieńczy, bardzo miły. No ale to był ubol, trzeba było sobie zdawać z tego sprawę. Romek zrobił maturę jako ekstern, w ciągu roku się przygotował. Był cholernie zdolny, pytał mamę o wszystko, mama była nauczycielką, więc ją pytał. I mnie się pytał, wszystkich się pytał dookoła, latał i uczył się. Był zakochany w *Kamieniach na szaniec*. – Och, te polskie partyzanty, harcerze, jak ja z nimi chciałem być. – Akcent miał okropny. No i co on jeszcze tam mówił... Aha, zgubił z mojego egzemplarza *Kamieni* parę stron, byłem do niego przywiązany i zrobiłem Romkowi awanturę. Piekielną awanturę. Ja potrafiłem awanturować się o książki. Więc on ukradł z ubowskiej biblioteki egzemplarz, wydarł te kartki, włożył do mojego, żebym już nic nie mówił. I wtedy pamiętałem taką rozmowę, w dwa tygodnie czy trzy po wydarzeniach, w jakiś czas Romek wrócił. Pamiętam rozmowę z moją mamą. – Pani Sadowa, pani Sadowa, co oni zrobili, oni naszych wszystkich wysłali, nikogo z naszych nie było. Co oni zrobili... – To była ta rozmowa. Z biednym Romkiem. On chciał być Polakiem, och, jak on chciał być Polakiem...

(nagranie)

Ł: Ojciec czuł się źle, miał ostre bóle. Był mglisty, martwy dzień, siódmego listopada... Powiedziała mi, że zatrudniłam pielęgniarkę, która będzie mu towarzyszyć w dzień i w nocy. Kazała ją natychmiast zwolnić. Nie chciał nikogo. Nikogo oprócz mnie... Byłam przyzwyczajona do posłuszeństwa, więc mu uległam, ale tylko pozornie. Niby poszłam do tej kobiety wszystko odwołać, a w rzeczywistości pojechałam na lotnisko. Prawie bez rzeczy, żeby nie widział, że wychodzę z walizką. Jego fotel stał przy oknie, chciał widzieć, jak wychodzę i jak wracam... Dzień wcześniej ta kobieta otrzymała ode mnie klucze i upoważnienie na podejmowanie pieniędzy z konta. Zakładałam, że jest uczciwa. Była polecona przez kogoś, komu ufałam, to znaczy przez mojego byłego męża. Jego obecna teściowa pracowała w szpitalu jako przełożona pielęgniarek i pomogła znaleźć kogoś odpowiedniego. To była starsza pani o ujmującym wyrazie twarzy, też zresztą schorowana po obozie. Miała obawy, czy sobie z ojcem poradzi. Mimo jego nędznej postury często nie dawałam rady wyciągnąć go z wanny, trwało to pół godziny i dłużej. Te kąpiele to były najgorsze momenty dnia. Na moich oczach musiał obnażyć całą marność schorowanego ciała, twarz mu się wtedy kurczyła, oczy zapadały głębiej. – Przecież jestem częścią ciebie – mówiłam – wszystko, co się z tobą dzieje, mnie także dotyczy. Nie odpowiadał, zawzięty z nienawiści do swojego niedołęstwa. Chora ze współczucia, otulałam ręcznikiem fałdy zwiotczalej skóry zwisającej na nim jak szmaty. – Jestem z twojej krwi i kości – powtarzałam, powstrzymując łzy. – To ciebie obraża – i to był jego jedyny komentarz do wspólnej męki kąpiele. Problem pielęgnacji jest skutkiem ubocznym choroby, ale w naszym przypadku wysuwał się na plan pierwszy. Był jak z wolna nabrzmiewający wrzód, który pewnego dnia musiał pęknąć. Wsiadając do samolotu, miałam niejasną nadzieję, że to cięcie przyniesie ulgę nam obojgu. Pielęgniarka zapewniała, że ojciec będzie miał fachową opiekę. Być może jej zręczne ręce umiały skrócić te wszystkie upokarzające czynności. Cierpiał na niekontrolowany wyciek moczu, przerzut raka na pęcherz. Cudem udało mi się umieścić go w klinice urologicznej, gdzie dokonano zabiegu poszerzenia cewki, bez czego już by nie żył. Nie chciano go przyjąć, kolejka była długa, a on źle rokował, poza tym podeszły wiek. Przypadek raczej beznadziejny. Poruszyłam niebo i ziemię. Bardziej ziemię. Sprawę załatwił jeden telefon. To, że kiedyś ojciec zaprowadził mnie do nauczycielki muzyki, teraz miało mu przedłużyć życie. Trafiłam do dygnitarza, który kiedyś był na koncercie w Wiedniu, otrzymałam tam nagrodę, a on jako rodak przyszedł z kwiatami za kulisy. Wręczył mi swoją wizytówkę. Był melomanem na szczęście ojca. Wygrałam dla niego życie na skrzypcach, a może tylko odroczenie... Nie sądzę, żeby był mi wdzięczny. Był już zmęczony, ale nigdy nie posunąłby się do ostatecznego gestu. Przed takimi rozwiązaniami od-

czuwał wstręt. Raz jeden na ten temat rozmawialiśmy. Ja byłam zdania, że to mimo wszystko akt odwagi, on, że tylko poniżającej człowieka rozpaczy. Powiedział, że ludzie skaczący z wysokości już w następnej sekundzie tego żałują, ich lot ku śmierci nie jest niczym innym jak buntem wobec własnej decyzji. Powiedział też coś takiego, że nigdy nie wiadomo, czy dzień, który chciało się sobie odebrać, nie miał być tym najważniejszym w życiu... – Nawet w celi śmierci? – spytałam. – Nawet tam – odrzekł. – Trzeba by się tam najpierw znaleźć – stwierdziłam zadziornie. – Otóż to. – W taki sposób dowiedziałam się, gdzie spędził sześć lat swojego życia.

Któregoś dnia nieludzko zmęczona naszym teatrem śmierci, w którym oboje otrzymaliśmy role przekraczające umiejętności aktorskie, zamknęłam się w łazience. Płacząc, powtarzałam: – Proszę cię, umrzyj...

Ja: Pani to jeszcze przeżywa.

Ł: Co dwie, trzy godziny zachodziłam do niego, by zmienić pościel lub go przebrać. W pokoju unosił się odór moczu pomieszany z zapachem fajki, wychodziła z tego ohydna mieszanina. Z chwilą przekroczenia progu męczył mnie odruch wymiotny. Próbowalam go w sobie tłumić, ale on to widział. Na nieszczęście był jak dawniej spostrzegawczy, a nawet choroba jakby jego widzenie wyostrzyła. Nie miałam gdzie się ukryć, gdy mnie tak śledził. Jego wzrok był oskarżycielski. Obwiniął nas oboje. Niczego mi nie chciał ułatwić; dręcząc siebie, jednocześnie dręczył mnie...

Ja: Dlaczego nie założono cewnika, to wiele mogłoby zmienić?

Ł: Był niecierpliwy, parę razy niechcący go wyrwał, a to stwarzało niebezpieczeństwo krwotoku. Lekarz powiedział do mnie: – Z pani ojca to niezły ogier – i odłączył urządzenie.

Ja: A szpital?

Ł: Miejsce potrzebne było dla innych, a poza tym on nie czuł się tam dobrze.

Ja: Ale panią by to uwolniło.

Ł: To by mnie nie uwolniło od niczego. Jego cierpienie miało we mnie lustrzane odbicie, niemal fizycznie je odczuwałam, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie przynoszę mu przez to ulgi. Byłam tylko słabsza, mniej cierpliwa. Moja nadwrażliwość w naszym przypadku sprawiała szkody. Gdybym była w stanie wyeliminować siebie, gdybym tylko jego widziała... dla mnie to była mało komfortowa sytuacja, a dla niego umieranie. Mój egoizm wyszedł tej śmierci naprzeciw.

Ja: Niech mi pani pokaże te anioły.

Ł: Nie obchodzą mnie inni. Taka jego pozycja, kiedy podtrzymywał głowę, zsuwał się rękaw i widziałam biedny kościsty łokieć. On mi teraz przebija serce. Bo przecież opuszczając ojca, dokładnie wiedziałam, czym będzie dla niego obecność obcej kobiety...

Ja: Była pani dobrą córką.

Ł: Należałoby znać jego stosunek do kobiet, zawsze był szarmancki, puszczał je przodem, odsuwał krzesło, całował w rękę bez względu na wiek i pozycję. Był taki do końca. Odkąd przestał mnie traktować jak dziecko, wstawał, gdy wchodziłam do pokoju. Drżącymi rękami podawał mi płaszcz, kołnierz się przy tym zawijał, było mi niewygodnie. Gdybym nie bała się go urazić, powiedziałabym: – Darujmy to sobie... – ale nie mogłam tak powiedzieć, bo to byłby cios, którego on nie potrafiłby oddać. Zresztą myśmy ze sobą nigdy nie walczyli. Przyjęliśmy pewne role: nie mieściły się w nich ani zbytne okrucieństwo, ani też nadmierna wylewność. Jeżeli sprawialiśmy sobie czymś przykrość, to znaczyło, że nie dało się inaczej. Ja pierwsza uczyniłam coś, co rozbiło całą tę konstrukcję naszego życia... Nie wiem, czy da się to kiedykolwiek naprawić...

Ja: Powtórzę jeszcze raz, że była pani i jest dobrą córką.

Ł: Byłam potworem, kimś sobie zupełnie obcym. Jakby mnie na ten czas odmieniono. Widzi pan, problem poszerza się o trzecie moje wcielenie.

Ja: Pani się tylko bronila. To było to. System ochronny dopilnował, by współzucie nie przemieniło się w obłąd. Mózg uruchomił klapę bezpieczeństwa. Dlatego oddaliła się pani od ojca, zobojętniała...

Ł: Był zupełnie sam. Być może moja ucieczka coś mu ułatwiła. Najgorsza jest przecież samotność we dwoje.

Ja: Źle pani osądza i jego, i siebie. Ważne jest, kim dla siebie byliście przez lata, liczy się bilans, zawsze.

Ł: Chciałabym tak myśleć. Tak samo jak to, że mój bunt po odsunięciu szuflady nie był tylko pretekstem, by go pozostawić.

Ja: *Nie wolno pani tak myśleć.*

Ł: Gdybym nie miała drogi powrotu, czułabym się zbyt winna. Teraz jestem tylko winna. (*Laurka ręcznie malowana przez sześciolletnią A.Ł.*)

Już dawno nie było laurerek od córek. A to co? Jest laurka. O, to musi być dobra córka.

Witold z ulicy Strażackiej obchodzi dziś imieniny i dlatego dostanie kwiatki od jednej dziewczyny. Zerwane w ogródku sasanki od Anki.

Łazarska pokazała mi tę laurkę. Wręczyła ją W. Ł. wraz z tacą ze śniadaniem. Był wtedy chory, a ona go pielęgnowała. Chodziła do apteki, po zakupy, wyprowadzała psa. Nikt obcy nie miał przecież do ich domu wstępu. W czasie choroby Łazarskiego obowiązywał suchy prowiant, normalnie sam gotował, i to podobno znakomicie.

(*list męża Ewy*)

Droga Szwagierko Miriam, chociaż się jeszcze nie znamy, postanowiłem do Ciebie napisać, bo myślę, że wiele Ci zawdzięczamy ja i moje dzieci.

Kiedy przyszedł list, moja żona Ewa jakby się obudziła z jakiegoś snu. Ona inaczej widzi świat i mnie, swojego męża, i nasze dzieci.

Jak ja ją pierwszy raz zobaczyłem, wydawała mi się taka zagubiona i bez nikogo bliskiego, że ja sobie pomyślałem, ja tej kobiecie dam siebie i swój dom, niech tylko ona nie ma takich smutnych oczu. Ale oczy mojej żony dalej były smutne. Ona nie bardzo wiedziała, gdzie jest i kto koło niej stoi. Ona tam gdzie została w Europie przy swojej rodzinie. I tylko czeka na listy z Polski. Ma tam bliskiego krewnego, na kolanach bym prosił, żeby zechciał do nas przyjechać, ale on ma swoje powody, żeby odmówić. I tak żyjemy z żonajak dwoje dalekich ludzi, chociaż ja ją zawsze bardzo kochałem. Myślałem, że jak nam się urodzą dzieci, coś się zmieni. Ale ani Szmulke, ani Chaja nie odwrócili jej oczu od przeszłości.

Zająłem się pracą; mam fabrykę części do samolotów, kilka zakładów w różnych miastach. Ale ciężko mi było wracać do domu. Dzieci zadbane, tylko jakby obca kobieta koło nich chodziła. Pomyślałem, że się z nią rozwiodę, zabiorę jej dzieci. Mąż ma przecież prawo do miłości żony. Ale wtedy przypomniałem sobie, że ona widziała, jak żandarm wyrwał oczy jej siostrze. Mnie to opowiadała jej krewna, bo ona sama nic nie mówi.

Prowadzałem ją do lekarzy, najlepszych profesorów. Nic nie umieli poradzić, tylko mówili: czas, czas. Ten czas już minął. Inni nauczyli się żyć od początku. Taki nasz sąsiad stracił całą rodzinę, a teraz ma nową. Jak idzie ze swoimi dziećmi, myśli się, że to jego wnuki.

Takie miałem przeczucie, że nic z naszej rodziny nie będzie, aż przyszedł list. On Ewę, moją żonę, odmienił. Płacze, a nie płakała nigdy. Śmieje się, a nasze dzieci nie widziały jej uśmiechu.

Czekamy na Ciebie wszyscy niecierpliwie. Niech nasz dom będzie Twoim domem, wpuściłaś do niego nadzieję.

Twój zyczliwy szwagier Dawid Seideman

(*nagranie*)

Ł: „Notatki” przeczytałam w jedną noc. Kiedy skończyłam, zaczynało się rozwidniać. Nie kładłam się już spać. Zajrzałam do ojca, myślałam go, przebierałam, przewlekałam pościel. Nic mu oczywiście nie mówiąc. Działałam jak w transie. Zauważył, że coś się ze mną dzieje. Spytał, czy nie dostałam jakiejś złej wiadomości. Zwalilałam wszystko na migrenę. Już wtedy przeczuwałam, że odsunięcie szuflady zmieni całe moje życie. Może była w tym odrobina ulgi, że to schorowane, niczego już nierokujące ciało nie ma bezpośredniego związku ze mną. Że nie jestem mu winna tyle, ile myślałam. Ale zaraz potem przyszła myśl, że właśnie jestem winna więcej. Dlatego że byłam obca. I że tej obcej on kiedyś nie odmówił opieki. Prał brudne pieluchy, pielęgnował wrzody i odleżyny. Teraz przyszła kolej na mnie. Los okazał się sprawiedliwy, dał mi szansę wyrównania rachunków. Ale te wszystkie myśli były jak meteory, które szybko gasły. Gdzieś na końcu czaił się strach...

Ja: *Jak to teraz wygląda?*

Ł: Mam jedno zadanie. Wrócić do niego.

Ja: Już się pani zdecydowała? W naszej pierwszej rozmowie...

Ł: Wtedy jeszcze uciekałam, dzisiaj już wracam. Wtedy czułam się oszukana. Najbardziej chyba bolał mnie sposób, w jaki o mnie pisał. To były słowa pozbawione miłości, tak myślałam. Teraz wiem, że jego dziennik w gruncie rzeczy nie miał znaczenia. On pisał w swojej obronie.

Ja: Co pani przez to rozumie?

Ł: Te spisywane rozmowy z Z., rozbicie ich na dialogi. Tak się zazwyczaj nie prowadzi dziennika, raczej przytacza się czyjeś powiedzenia, komentuje. Po długim wysiłku doszłam do wniosku, że ojciec był swoją własną ofiarą. Poświęcił życie, aby czemuś zaprzeczyć. Gdyby pod tym murem leżało inne dziecko, on by się nie schylił po nie. Znalazłby jakieś wytłumaczenie, chociażby to, że nie umie pielęgnować niemowląt. Przygarnął mnie, żeby udowodnić sobie, iż nie jest antysemitą.

Ja: To duże oskarżenie.

Ł: Pan mnie nie zrozumiał. Czyż nie jesteśmy ułomni? Czy nasze życie nie składa się z samych błędów? Często nie można ich nawet naprawić, bo jest za późno. To, co on zrobił, było heroiczne. Wychował cudze dziecko, mimo że nigdy nie zdecydowałby się na własne. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że jakiś zakodowany w nim odruch niechęci wobec Żydów zdeterminował jego życie. On je oddał mnie, żydowskiemu dziecku. I do końca nie usłyszałam słowa wyrzutu. Był wspaniałym człowiekiem. Był taki, jak o nim zawsze myślałam.

Ja: Jak zdążyłem się zorientować, antysemitą był raczej ten Z.

Ł: Z. prawdopodobnie nigdy nie istniał.

Ja: Przecież cały dziennik... pierwsza jego część...

Ł: I ja tak sądziłam. Chciałam nawet odszukać tego człowieka. W tym celu udałam się do siostry żony Witolda Łazarskiego. Żyła dość blisko ze swoim szwagrem, a nigdy nie spotkała Z., a nawet nie słyszała o nim. Nikt taki w tej klatce nie mieszkał. Prześledziłyśmy wszystkich lokatorów. Nie pasował żaden rysopis. Mieszkały tam rodziny, nie było starego kawalera.

Ja: Mógł wynajmować pokój.

Ł: Teoretycznie tak. Jednakże jestem skłonna przypuszczać, że ten Z. był alter ego mojego ojca.

(z zapisków A.Ł.)

Być może ta wizyta to błąd. Po tylu latach wniosłam do domu tej kobiety niepokój. Godzina była ranna, a zastałam ją na lekkim rauszu. Sądzę, że to już raczej reguła. Jest sama, wygląda staro, źle. Nieprzyjemne zaskoczenie po tym, jak ją zapamiętałam. Była wtedy piękna, elegancko ubrana. Lekko ironiczny wyraz twarzy dodawał jej powabu. Wyglądała jak niezależna kobieta. A jakże to było mylące.

Nie ucieszyła się z mojego przyjścia, ale rozmawiała ze mną, potem nagle się załamała, a może to następna dawka, cały czas piła, częstując też mnie. Zaczęła wykrzykiwać.

– Ciebie wziął! A naszego dziecka nie chciał, kazał je zlikwidować, to potwór, potwór!

Nie wiedziała, kim naprawdę jestem, orientowała się jednak, że nie jestem jego córką. Opowiedziała mi o rozmowie z rodziną. W K. mieszkali przecież jej matka i ojciec, a więc w innych okolicznościach mogłam mieć dziadków, Łazarski odwiedził ich, jak tam przyjechaliśmy. Powiedział, że czeka na żonę. Wspomniał, że ma przy sobie dziecko. Wypytywali, nie udzielił jednak bliższych wyjaśnień. Powiedział, że udzieli ich Irenie. Jak wróci. Nie wróciła nigdy.

(nagranie)

Ł: Lektura dziennika ojca naruszyła pewien porządek mojego życia, który tak trudno było mi stworzyć. Już dość dawno zaczęłam odczuwać bunt przeciw zależności od własnego ciała. Tkwiłam w nim pozbawiona jakiegokolwiek szansy obrony. Zwyczajny tik w oku mógł być wstępem do tragedii, jaką jest wylew. Doszło do tego, że prowadziłam pertraktacje z materią, podczas gdy ja sama byłam czymś nieporównanie szlachetniejszym. Wsłuchiwałam się w rytm mojego ciała, wdzięczna na przykład wątrobie, że nie wiem dokładnie, gdzie ona jest! Najczęściej nocą, kiedy nie mogłam spać, robiłam ten remanent, przestraszona nagle i niepewna. Czy jest dobrze? Czy w porządku? Nie pojawiła się jeszcze nowa komórka, odbierająca rację bytu tym starym? To ja byłam

najbardziej zainteresowana, a o tej nowince miałabym się dowiedzieć ostatnia, gdy zaczęłaby mi dawkować ból...

Ja: To tylko znaczy, że nie jest pani zwykłym ssakiem, ale ma pani jeszcze nieśmiertelną duszę. Wobec czegoś takiego najdotkliwszy ból powinien być drobnostką...

Ł: Pan sobie ze mnie żartuje... Zapewniam pana, że z taką wyobraźnią jest trudno żyć.

Może to nie jest zresztą moja wyobraźnia, ale wyobraźnia mojego chorego serca. To chyba Céline napisał, że są ludzie, którzy umierają w ostatniej chwili, i tacy, którzy umierają całe życie. Z pewnością należę do tych drugich.

Ja: Ale nazwisko sobie pani wybrała!

Ł: Był prawdziwym pisarzem.

Ja: I złym człowiekiem.

Ł: Proszę pana, ja dotąd żyłam pod kloszem, teraz spod niego wyszłam i dużo widzę. To na przykład, że świat ma strusi żołądek. Przeżuł, przemielił na papkę zbrodnie ostatniej wojny, wydalil z siebie. Można zaczynać od nowa. Z tymi, z innymi ludźmi, jeśli tymczasem umarli albo zestarzelil się i powypadały im zęby.

Ja: To niezupełnie tak wygląda.

Ł: Świat już nie jest zainteresowany. Zainteresowana jestem ja. Wojna zaczęła się dla mnie pewnej nocy kilka miesięcy temu.

(z zapisków A. Ł.)

Słynna wizyta Władka w domu dziecka. Słynna, bo postawiła na nogi nie tylko cały zakład, lecz także pobliską jednostkę wojskową i posterunek milicji.

Władek zjawił się któregoś dnia i zastał mnie w izolatce złożoną chorobą. Jak zwykle cierpiałam na gardło. Było to kolejne ropne zapalenie.

Nikt nie umiał potem wyjaśnić, jak to się stało, że chłopiec dostał się na teren domu dziecka i niezauważony odnalazł mnie w izolatce. Z miejsca poderwał mnie na nogi. Powiedział, że leżenie pod pierzyną tylko osłabia, i zaproponował spacer na świeżym powietrzu. Byłam w piżamie, narysowałam mu więc plan pokoju, zaznaczając położenie mojego łóżka i szafy, w której znajdowały się moje ubrania i buty. Wrócił dość szybko, nie zapomniawszy o żadnym szczególe garderoby. Ubrałam się. Wyprowadził mnie kuchennymi drzwiami. Natknęliśmy się w nich na kogoś z personelu, chyba na pomocnicę kucharki, niezbyt rozgarniętą dziewczynę. Spytała, gdzie się wybieramy. Mogłam wtedy w pełni ocenić refleks Władka.

– Pani kuchenkowa kazała nam wynieść obierki świnkom – odrzekł. Pozostanie tajemnicą, skąd wiedział, że tak nazywamy kucharkę.

Stopniowi inteligencji pomocy kuchennej zawdzięczamy brak następnego pytania: Gdzie są te obierki?

Wkrótce znaleźliśmy się poza ogrodzeniem. Czułam się uszczęśliwiona. A także zupełnie zdrowa, żadnego bólu gardła, a nawet chyba i gorączki. Gadaliśmy całą drogę, przerywając sobie nawzajem. Tyle się przecież wydarzyło w czasie naszej rozłąki. W miasteczku Władek zaprosił mnie do restauracji, a właściwie do podłej knajpy, gdzie na stolikach leżały brudne, poplamione obrusy, zaś różnej długości pety królowały w popielniczkach nieopróżnianych chyba od tygodnia. Przy bufecie stało kilku wozaków w grubych kufajkach i wojskowych butach. Bufetowa, która pełniła także funkcję kelnerki, dolewała im do kieliszków. Jako osoba praktyczna zrezygnowała z chowania butelki, trzymając ją na ladzie w pogotowiu. Długo nie podchodziła, a kiedy zbliżała się do nas leniwym krokiem, poczułam od niej zapach wódki. Z dań gorących był tylko bigos. Zamówiliśmy dwie porcje i oranżadę. I znowu upłynęło trochę czasu, zanim na naszym stoliku pojawiły się dwa wyszczerbione talerze z brunatną mazią i napój w butelce. Szklanek nie podano, bo wszystkie były brudne. Piliśmy, wycierając szyjkę dłońmi. Miałam nawet pewne skrupuły, że mogę Władka zarazić, ale on odparł, że jego „żadna cholera się nie imie”. Przynaglał mnie też, kiedy spostrzegł, że nie bardzo idzie mi ten bigos.

– Musisz mieć siły przed drogą – rzekł.

– Przed jaką drogą? – zdziwiłam się.

– Zabieram cię – odparł ze zdecydowaną miną – nie jesteś sierotą. Masz mnie.

Ten argument trafił mi do przekonania; spytałam tylko, czy wie o tym pan Brzózka.

– Sam mnie namawiał – stwierdził Władek bez mrugnięcia okiem – jedź po nią, mówi tata, po co ma się poniewierać po obcych.

Zmyślił to na poczekaniu, ale ja byłam bardzo wzruszona.

– Wiesz, mamy tu taką wstrętną wielorybicę – poskarżyłam się. – Ona bije dzieci.

– Niechby ciebie uderzyła, przetopię ją na smalec – odparł.

Patrzyłam na Władka z podziwem. Był dla mnie więcej niż bohaterem. Zjawiał się jako wysłannik z krainy marzeń. Niczego nie pragnęłam więcej niż powrotu do K.

Czas dzielący nas od odjazdu pociągu spędziliśmy na ślizgawce. Miałam niejasne przeczucie, że źle robię, fatygując moje i tak cienkie podeszwy, ale trudno. Przyjemność ślizgania się przyćmiewała wyrzuty sumienia. Na peronie zjawiliśmy się na kilka minut przed czasem. Zaraz nadjechał pociąg. Lokomotywa sapała, puszczając kłęby pary. Wybraliśmy ostatni wagon, to dla bezpieczeństwa. Wsiadając do niego, czułam lekki zawrót głowy. Prawie nie wierzyłam, że się udało i że następnego dnia rano po przesiadce, to była długa podróż, wysiądę w K. Ale Władek nie powiedział mi paru rzeczy, tego także, że mamy jechać na gapę. Zainteresował się nami konduktor, wysadzając nas na następnej stacji. Spędziłam kilka godzin pod strażą zawiadowcy ruchu. Potem zjawił się wiliś, który odstawił mnie do domu dziecka. Wróciłam do izolatki. Choroba natychmiast dała o sobie znać. Uleczyło mnie szczęście, jego przeciwieństwo pograżyło w majakach i gorączce. Wydawało mi się, że ojciec jest w pokoju. Że idzie w moją stronę, coś do mnie mówiąc. Tak strasznie chciałam zrozumieć, czego ode mnie chce. Z całych sił wyteżałam umysł, ale myśli były ciężkie, jakby ktoś poprzywiązywał do nich odważniki. Odpowiadałam ojcu, nie rozumiejąc jego pytań:

– Będę już bardzo grzeczna. Nigdzie nie pójdę z Władkiem, ale ty tu ze mną zostań... .

Kobieta, którą Władek obiecywał przetopić na smalec, miała mi wypominać te wagary do końca.

(nagranie)

Ja: Nie można oskarżać ludzi o to, że są zmęczeni wojną. Upływ czasu zaciera wszystkie przeżycia, te dobre i te złe. Należy to traktować jako dobrodziejstwo. W innym przypadku życie nie byłoby w ogóle możliwe. Nawet pani ojciec, opuszczając Warszawę po powstaniu, napisał, że nie powinno się wracać w to miejsce, jeśli chce się normalnie żyć. I nie wrócił. Dopiero po latach, kiedy czas mu to umożliwił.

Ł: A może tylko ludzie. Wykreślono mu z życiorysu sześć lat. Kiedy znalazł się w więzieniu, był młodo wyglądającym czterdziestosiedmioletnim mężczyzną, kiedy z niego wychodził, był po pięćdziesiątce, mocno już szpakowaty, z uformowanymi workami pod oczyma. W czterech ścianach celi zgubiła się jego młodość. On już inaczej stawiał kroki. Przed aresztowaniem wbiegał po schodach, potem już tylko wchodził. Zaplanował sobie, że będzie prowadził sportowe życie, miał ku temu wszelkie prawo, był okazem zdrowia i fizycznej sprawności. Bliźni postarali się, żeby mu się nie wiodło za dobrze...

Ja: No cóż, te dwa bieguny muszą istnieć, ten plus i minus, inaczej nie byłoby pola magnetycznego, czyli nie byłoby nic. Gdyby kot nie łapał myszy, one zniszczyłyby świat.

Ł: Rozumowanie germańskie.

Ja: Po prostu rozumowanie. Żyjemy w pewnym ciągu, zaznaczamy swoje istnienie, by potem odejść.

(z zapisków A.Ł.)

Moje serce, uszkodzone po przebytej w domu dziecka, nieleczonej anginie, dawało o sobie znać, ale jakoś mogłam żyć. Do czasu zupełnie przeciętnej grypy. Operacja okazała się konieczna. I to, według słów profesora, należało się spieszyć. Ojciec nie zdecydował się jednak na oddanie mnie do szpitala. Uparł się, że muszę być operowana w Anglii. Wiązało się to ze strasliwym wydatkiem. Powiedział, że sprzeda dom i podejmie, w miarę potrzeby, oszczędności. Poczynił już nawet pewne kroki. Na szczęście znalazło się inne rozwiązanie. W Ministerstwie Zdrowia na wysokim stanowisku pracował dawny współwięzień ojca. Dzięki niemu koszt operacji wzięło na siebie państwo.

Jesienią pięćdziesiątego ósmego roku wyjechaliśmy do Londynu, który zapamiętałam jako

ponure, zamglone miasto. Nie lubię go do dziś. Klinika była jasna i czysta, personel uprzejmy, spełniający wszystkie moje życzenia z uśmiechem. Bałam się. Myślę, że on też się bał, ale nie rozmawiał o tym ze mną. Ostatniego wieczoru przed operacją siedział przy moim łóżku i czytał mi *Klub Pickwicka*, książkę, której jeden z rozdziałów odczytywaliśmy tradycyjnie po Wigilii. Tym razem zabraliśmy ją ze sobą. I nie ja czytałam, lecz on. Kiedy pielęgniarka poprosiła go o opuszczenie pokoju z powodu późnej pory, wstał.

– Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy – rzekł.

Jedno uczciwe zdanie. Żadnych zapewnień, że się uda, że to niezbyt skomplikowany zabieg. Był skomplikowany i oboje o tym wiedzieliśmy. Nie należało się nawzajem oszukiwać.

(nagranie)

Ja: Nie traktując tego serio, powiedziała pani, że wyszła za mąż dlatego, że mąż dobrze jeździł na nartach. Jakie to mogło mieć znaczenie, skoro nie mogła mu pani towarzyszyć?

Ł: Ja sobie wyobrażałam, jak oni z ojcem jeżdżą. Oglądałam wszystkie narciarskie zawody w telewizji, pamiętając, że oni wspaniale jeżdżą. Serce pękało mi z dumy, dobrze, że miało solidne angielskie szwy... To może zabrzmieć dziwnie, ale bardziej bolałam nad tym, że nie mogę jeździć na nartach, niż że nie wolno mi urodzić dziecka. Mój jedyny zjazd z Kasprowego z ojcem to było niebywałe przeżycie. Bałam się, a jednak zaufałam mu, bo powiedział, że dam sobie radę. Odbiłam się kijkami, spadając za nim w przepaść. Była mgła, nie widziałam, co jest na dole, ale wyobrażałam sobie, że stromy, morderczy spadek. I taki okazał się dla mojego serca...

Ja: Czy miała pani do niego żal, że panią jednak narażał?

Ł: Nie, ten zjazd z nim zachowam w pamięci do końca życia. Kiedy już się przestałam tak kurczowo trzymać siebie i odważyłam się rozejrzeć, dostrzegłam sylwetkę ojca. Widziałam jego przepiękną jazdę i to mnie aż zabolalo. Tak, ten zachwyt był bolesny...

Ja: Bolało panią serce.

Ł: Ale nie w taki sposób, jak pan myśli.

(z zapisków A.Ł.)

Zdobyłam adres starego pisarza. On mi powiedział, kim jestem. Obawiałam się tego człowieka, patrzył na mnie w dziwny sposób. Widział we mnie przedstawicielkę swojego wymordowanego narodu. To budziło mój sprzeciw. Ja się jeszcze nikim takim nie czułam. Jego oczy w siateczce zmarszczek były jakieś niewyobrażalnie dobre. Wydawało mi się, że dostrzegam w nich miłość. To mnie peszyło i zniechęcało. Powiedział, że ma dziewięćdziesiąt dwa lata i że niedługo umrze...

Po tej pierwszej wizycie długo u niego nie byłam. Kiedy pojawiłam się znowu, miałam już parę pytań. Chciałam się dowiedzieć, jak zginęli moi rodzice.

Najpierw opowiedział o matce. Tamtego dnia, kiedy ojciec zawinął mnie w swoją marynarkę i wyniósł za mur, ona wyskoczyła z okna. Stary pisarz był wtedy z nią i pozwolił na to. Oznajmiła mu:

– Moje dzieci odeszły i ja odchodzę.

Zrobiłam mu zarzut, że jej nie powstrzymał. Pokręcił przecząco głową.

– Twojej matki nie można było powstrzymać – powiedział.

Obiecał pokazać mi to miejsce. Wydawało mi się ważne, bardzo ważne, jakbym na tym skrawku, kiedyś splamionym jej krwią, miała znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale kiedy już tam z nim szłam, nie chciał wsiąść do taksówki; czułam się niewyraźnie. Ludzie oglądali się za nami. Pośród nowoczesnych ulic i bloków stary pisarz wyglądał jak zabłąkane widmo przeszłości. Zgarbiona sylwetka w czarnym chałacie, jarmułka, długa siwa broda i pejsy.

Dom nie ocalał, bruk wymieniono na asfalt, ale on wiedział, gdzie jest to miejsce. Położyłam wiązkę kwiatów, czując się coraz gorzej. Zgromadzili się gapie, ktoś spytał nawet, czy kręca jakiś film. Znowu pojawiła się chęć ucieczki. Z ulgą odprowadziłam starego człowieka do domu, obiecałam wkrótce przyjść, ale nie miałam takiego zamiaru.

Ten człowiek dopełniał obrazu nierealności, w którego ramy jakaś siła chciała mnie wepchnąć. Broniłam się, odrzucałam od siebie, a jednak coś mnie ciągnęło. To już nie był tylko bunt wobec tyloletniego oszustwa, to była chęć poznania.

Powitały mnie kochające oczy. Tym razem spytałam, skąd ojciec wiedział, że ja się kiedyś

po ten modlitewnik zgłoszę. Był młodszy od starego pisarza, miał większą szansę przeżycia.

– Zostawił modlitewnik, jak szedł na Umschlagplatz.

Następne moje pytanie:

– Dlaczego, skoro mnie rozpoznał, nie starał się nawiązać ze mną kontaktu?

Jego odpowiedź:

– Każdy musi sam szukać swojego losu.

– To przypadek, że tu trafiłam.

– Nie ma przypadków.

– Mogłam się zgłosić do kogoś innego z tym skrawkiem gazety.

– Nie ma nikogo innego.

Drażniła mnie ta niewzruszona pewność, niepokoiliły żądające bliskości oczy. Odchodziłam, wracałam. Wiedział, że myślę o wyjeździe do siostry. Cieszył się.

– Powinnyście być razem – powiedział.

W końcu spytałam go, dlaczego tamtego dnia, gdy wynoszono mnie pod mur, był u moich rodziców. Czy to przypadek? Uśmiechnął się.

– Twoja matka, Ewa, to była moja córka.

Początkowo do mnie nie dotarło, a potem nagle zrozumiałam. Zerwałam się. Wybiegłam, pozostawiając rękawiczki i parasol. Tamtego dnia padał deszcz.

Wszystko mogłam sobie wyobrazić, tylko nie to. Przecież ja za nim tęskniłam, ja go kochałam z fotografii w albumie. Miał wygląd typowego polskiego szlachcica. Był kawalerzystą, kochał się w białej broni, nawet ją kolekcjonował. On był naprawdę. On stwarzał poczucie bezpieczeństwa w czasie całego dzieciństwa. Był kochanym, chociaż martwym dziadziem. Gdyby żył, brałby mnie na kolana i opowiadał bajki, jak to robią wszyscy dziadkowie. Ale zabili go Niemcy. Bardzo zresztą nieromantycznie. Siedział w drewnianym domku z pochyłym daszkiem, miał opuszczone spodnie. Przecięła go seria z automatu. Kiedy byłam mniejsza, miałam powiedziane, że dziadzio zginął za współpracę z podziemiem. Potem ojciec trochę to skorygował. Nienawidził mitów. Z podziemiem dziadek współpracował w pewnym sensie. Czasami nocowali u niego partyzanci.

(nagranie)

Ja: Sama opiekowała się pani ojcem. A co z pracą?

Ł: Nie wyjechałam na koncerty. Postanowiłam zostać z nim do końca. Lekarze powiedzieli, że on będzie pomalutku umierał na tego raka.

Ja: *Ale to mogło trwać.*

Ł: Chciałam, żeby trwało. Nawet w chwilach buntu nie wyobrażałam sobie, że naprawdę mogłoby go nie być. To tak jak z zakochanym, mówi mu się, że oblubienica go opuściła, a on nie wierzy. Jak pan wie, problemem było co innego, musiałam wkroczyć w zastrzeżoną dziedzinę życia ojca. Robiłam jakieś próby, szukałam pielęgniarki, ale zgłaszały się same kobiety. W końcu kobieta przy nim została...

Ja: *Czy rozmawiała pani ze starym pisarzem o swoim opiekunie?*

Ł: Raz jeden próbowałam. Odpowiedział, że to obcy, i nie chciał słuchać.

Ja: *Było pani przykro?*

Ł: Tak, było mi przykro.

Ja: *Gdyby nie on, mogłoby pani nie być.*

Ł: Stary pisarz nie wierzy w przypadki. Ja miałam żyć. Po to kupił telewizor, żeby mnie w nim zobaczyć. On prawie nie zna polskiego, musiałam mówić wolno, wiele razy powtarzać. Często miałam wrażenie, że nie wszystko zrozumiał...

Ja: *Ta jego wiara, że panią zobaczy. Nie musiała pani grać na skrzypcach.*

Ł: Według niego musiałam.

Ja: *Piękna bajka.*

Ł: Przecież to się sprawdziło.

Ja: *Po fakcie.*

Ł: Już wcześniej pisał do mojej siostry, że któregoś dnia do niej przyjadę. On chyba został,

żeby czekać na mnie.

Ja: Mógł panią obejrzeć w amerykańskiej telewizji.

(z dziennika W. Ł.)

Problemu żydowskiego w Polsce nie da się rozpatrywać w oderwaniu od historii tego kraju. Bez jej tragicznych meandrów nie byłoby tak powszechnego sprzeciwu wobec egzystencji tej większej mniejszości, która w każdej sytuacji umiała sobie radzić lepiej, była zamożniejsza, sprytniejsza, a może tylko bardziej zdolna. Tu powstaje problem jednej dzielonej bułki. Weźmy takie lata trzydzieste, kiedy antysemityzm podniósł u nas swój łeb hydry. Kryzys! Na losach obu narodów zawążyło błędnie postawione pytanie, nie „jak”, ale „z kim” dzielić. To samo było potem w marcu. Oddajcie nam nasze zaszczyty i stanowiska! W istocie, jak ma się zachować głodny człowiek, kiedy ktoś zjada jego bułkę? Ale czy na pewno ta bułka jest jego? Najtragiczniejsze jest to, że potrzeba pozbycia się konkurenta przekraczała granice, nie zawahałbym się powiedzieć, ludzkie. I tu są ci nasi intelektualisci, ludzie o gołębih sercach, którzy starają się dowodzić, że antysemityzm w Polsce nie istnieje, a nawet nigdy nie istniał. Ależ moi panowie, zbożne życzenia bierzecie za rzeczywistość! Istnieje, istnieje nawet bez Żydów. Nawet teraz, kiedy ich już nie ma. Niedawno pewien prosty człowiek przedstawił mi swój punkt widzenia.

– Mówią, że byliśmy źli dla Żydków, a jacy oni by byli, jakbyśmy się im zwalili do Izraela w parę milionów? Pióra by leciały i oni mieliby swoją rację. Mają mały kraj. My też mieliśmy mały, w Ameryce to się i Polak, i Żyd zgubi, a na tych paru metrach człowiek ciągle się natykał. No i w końcu szlag go trafiał, bo kto tu naprawdę mieszka, my czy oni? Ale też panu powiem, że mnie jest trochę żal, nie ma się z kim potargować, na kogo się zeźlić.

Rozmawialiśmy w pociągu, mężczyzna zapatrzył się w okno.

– Wie pan – ciągnął – dla mnie wojna się od tego zaczęła, że zobaczyłem, jak niemiecki oficer zrzuca z roweru siwego, brodatego Żyda. Złapał staruszkę za brodę i zaczął mu ją wrywać. Krew jak czerwone paciorki kapłała na ubranie. Aja, proszę pana, tego starego kochałem...

Znów się zapatrzył w okno.

– Jak pan rozumie powiedzenie: „Jak ty będziesz bił mojego Żyda, to ja będę bił twojego”?

Odwrocił głowę w moją stronę.

– Nijak – odrzekł z prostotą.

Można by zrozumieć naszą elitę, gdyby nie to, że taka postawa nie uleczy organizmu, w którym pokutuje gronkowiec w ostrej formie, na szczęście ujawniający się rzadko. Jeden Wyka, krakowianin, nie zawahał się wyznać, że hitleryzm zostawił u nas kukułcze jajo. Otóż to!

Nie należy zapominać tego także, dlaczego Żydzi tak licznie znaleźli się w Polsce. Przywiodły ich tutaj brak prześladowań i tolerancja religijna. Ich sytuacja pogarszała się wprost proporcjonalnie do sytuacji samych Polaków. No i następuje wzrost roli Kościoła, tego bym nie lekceważył. Co tu ukrywać, my Polacy jesteśmy na tyle tolerancyjni i wielkoduszni, na ile pozwala nam sytuacja, a może inaczej: my ludzie!

Wszystko to sprawiło, że stało się powszechnym przekonanie, iż miejsce Żydów jest poza naszym krajem. To znane hasło: „Żydzi na Madagaskar” jeszcze brzmi w uszach.

(dopisek Łazarzkiej) „Komu?”

Zanim zrozumiałam, co to znaczy być Żydówką, odczułam ulgę, że nie muszę być Polką. Z wielu powodów. Żal też, żal oczywiście tak... ja swoją polskość traktowałam o wiele bardziej serio niż ojciec. Z historii miałam zawsze piątkę, byłam aktywna na lekcjach, sprawiając mojemu profesorowi, panu Śliwowskiemu, kochanemu, niezapomnianemu człowiekowi, sporo kłopotów. Udzielał mi zdawkowych, często wymijających odpowiedzi, a potem na przerwie łapał mnie za rękaw: „Anka, chcesz, żeby po mnie przyszli smutni panowie i wyprowadzili mnie pod rączki? Co ja ci mam odpowiadać na twoje pytania?” „Prawdę, panie profesorze”. „A wiesz, że brat naszego znanego pianisty, który jest dziennikarzem, podał w komentarzu do krótkiego filmu o powstaniu warszawskim, że w tymże powstaniu główną siłą była AL?” „Ale pan profesor nie jest dziennikarzem, pan profesor jest pedagogiem”. „Więc pozostaje mi albo przestać być pedagogiem, albo...” I już nie dokończył, sam się przestraszył, co miałoby znaczyć to drugie albo. Tak, jako nauczyciel historii nie miał lekkiego zycia, historia zmieniała mu się na oczach jak kameleon, w końcu już za nią nie

nadażał. Zwolniono go za przychodzenie w stanie nietrzeźwym na lekcje.

Ojciec miał dystans do wszystkiego, poza „sprawą żydowską”. To mi zaczęło dawać do myślenia, kiedy czytałam jego notatki. Ta sprawa wypełniała mu niemal życie. No i ja. Ale ja też się z nią ściśle łączyłam.

(z dziennika W. Ł.)

To wszystko jest zobowiązujące, trzeba się czuć dumnym, trzeba się czegoś wstydzić (z tym u nas było już gorzej). Dobrze widziane jest modlenie się przed portretem Piłsudskiego. Wszyscy wzdychają: ach, międzywojnie, ach, sanacja. A czym naprawdę był ten okres? Marnowaniem nadziei. Zdumiewające, że za sanacją tęsknią także ci, którzy mieliby o wiele gorszy status niż teraz. Megalomania?

(nagranie)

Ł: Najgorzej było zawsze z rana. Budziłam się ze snu jako Anna Łazarska, ale gdzieś na skraju czekała już ta druga. Wie pan, jak mam być szczerą, ja ją nie bardzo lubiłam, a nawet można powiedzieć, że ja się jej bałam. Pojawiła się za późno i po to tylko, żeby skomplikować mi życie. I tak już było dostatecznie skomplikowane. Odchodził przecież jedyny człowiek, w którym miałam oparcie. Przyszłość bez niego miała być przyszłością bez nikogo.

Ja: *Ale ta druga właśnie sprowadzała za sobą rodzinę, dziadka, siostrę, innych krewnych.*

Ł: To byłoby za proste. Żebym zaczęła tak myśleć, musiałyby upłynąć trochę czasu.

A przede wszystkim musiałyby się rozwiązać sprawa Witolda Łazarskiego.

Ja: *Przepraszam za wyrażenie, ale ona się rozwiązywała, i to ostatecznie.*

Ł: Właśnie z tym się nie mogłam pogodzić. Że on schodzi ze sceny, aby weszli na nią inni. On był od zawsze, odkąd sięgnę pamięcią, i wiązało się z nim wszystko, co przeżyłam. Bez niego świat nabierał groźnej barwy, jak przed burzą. A mnie prześladowały w życiu dwa lęki. Ciemny pokój i burza. Wystarczył głośniejszy szelest liści, abym z lękiem spoglądała w niebo. Może inaczej to powiem, ja się nie burzy bałam, ja się bałam powietrza. Jakbym przeczuwała, że z jego strony spotka mnie coś złego. Że się nie będę go mogła uchwycić, mimo że tego zapragnę ze wszystkich sił. Potem, kiedy dowiedziałam się, jak umarła moja matka, z nią zaczęłam łączyć ten lęk...

Co to znaczy żyć w tym kraju, zrozumiałam, gdy ojciec zaczął chorować. Musieliśmy przejść drogę krzyżową od ośrodka zdrowia po szpital i przychodnię onkologiczną. Mogliśmy się poruszać niezauważalnie, ponieważ nie jestem gwiazdą w tym kraju, moja twarz się ludziom nie kojarzy, tym bardziej nazwisko.

To mo że zabrzmieć źle, ale ucieszyłam się, że nie należę do zbiorowości, w której zdobycie papieru toaletowego jest praktycznie prawie niemożliwe. Prawie. Bo można zbierać makulaturę, potem odstawić ją do punktu, wystać w kolejce, potem z kwitem ustawić się w innej kolejce i czekać, czekać, może przywiozą upragniony towar. Można zrezygnować ze stania, podrzeć kwit na kawałki i pójść do domu, ale wtedy pozostanie pewien kłopotliwy problem... Ja wiem, że w Polsce jest atmosfera intelektualna, że czuje się ją w powietrzu... że jest wielu wspaniałych, ofiarnych ludzi. Sama takich poznałam, ale kiedy dreptaliśmy z ojcem po niegodnej człowieka ścieżce zdrowia, nie pamiętałam o tym. Nie wiedziałam jeszcze, że to wszystko mnie nie dotyczy, że jestem z tego wyłączona. Że wolno mi mieć dystans, bo ja tu nie należę. Gdybym wiedziała wcześniej, być może nie posunęłabym się do rękoczynów. Popchnęła mnie do tego postawa ludzi w białych fartuchach, ich pogarda dla drugiego człowieka, dla jego życia i cierpienia. Pierwszy wstrząs, ojciec po zabiegu nieludzko cierpiał, a lekarz nie mógł przyjść, bo był zajęty. Po godzinie wdarłam się do dyżurki, zastałam go ze znajomą. Spytałam: „Czy mogę zastąpić tę panią?” Odparł: „Żałuję, nie jest pani w moim typie”. I nie przyszedł, zjawił się dopiero na obchodzie, w trzy godziny później. Ja już wtedy przyniosłam ojcu morfinę z domu i podałam mu. Drugi wstrząs: wysoki, atletycznie zbudowany pielęgniarz przewoził ojca na wózku bardzo nieostrożnie, sprawiając mu tym ból. Zwróciłam mężczyźnie uwagę. I wtedy usłyszałam: „A po co takie coś żyje, do dołu, łopatą przyklepać”. W przypływie jakiejś siły rąbnęłam pielęgniarza w twarz. Zatoczył się. „Anka – powiedział na to ojciec – to tylko zdrowy rozsądek naszego ludu...” *(z zapisków A.Ł.)*

To już nie jest rozmowa z samą sobą, to jest spowiedź. Przed kim? Przed tym Niemcem? Gdybym ja go sobie wybrała, wyglądałoby to na pornografię. Ale to on przyszedł. On mnie odna-

laż i niejako zachęcił do rozmowy. Być może coś mu zawdzięczam. Pewien koniec nitki, nadzieję na wyjście z chaosu. Rozmawialiśmy nieopodal katedry budowanej od IX wieku, co też nie jest bez znaczenia, co też ma swoją wymowę.

Nie wiedząc ciągle, kim jestem, mam przed sobą jakieś zadanie. To już jest przyszłość, jeszcze krótka, ale jest. Na lotnisku we Frankfurcie przede mną nie było niczego. Kupiłam bilet do Kolonii, bo kiedyś byłam w tym mieście z ojcem.

(listy Chai, siostry Łazarzkiej, do bliżej niezidentyfikowanej osoby za murem getta)

Kochany Królo,

właśnie dzisiaj skończyłam 10 lat, ale miałam bardzo smutne urodziny, po pierwsze nie ma Cię ze mną, a po drugie wczoraj w nocy przyszli policjanci i chcieli wziąć naszego tatusia do obozu. Mamusia strasznie płakała i mówiła, że z obozu to już wracają same kaleki. Potem przyniosła wszystkie nasze pieniądze i im dała. Oni zostawili tatusia. Ale my teraz nie mamy co jeść, bo się skończyły zapasy. Mamusia strasznie płakała i mówiła, że to wszystko przez tatusia, bo on nie chce chodzić grać do lokalu. Tatuś jej powiedział, że tam się bawią źli Żydzi, bo w getcie powinna być żałoba. Ludzie umierają z głodu na ulicy. Mamusia powiedziała, że teraz umrzemy wszyscy, bo nie ma pieniędzy. I jeszcze powiedziała, że po co nam się rodzina powiększa, jak i sami nie damy rady się wyżywić. Tatuś wtedy na mamusię nakrzyczał, że tak nie wolno mówić. Jak Bóg daje ludziom dziecko, trzeba czekać na nie z radością. Więc my się wszyscy cieszymy, tatuś się cieszy, mamusia i moja starsza siostra Ewa. Ewa jest bardzo dobra i bardzo ładna. Na urodziny dostałam od niej cukierka, którego specjalnie dla mnie trzymała. Nas kiedyś poczęstował na ulicy taki pan, ja swojego zjadłam, a ona schowała do kieszeni. Ten pan szedł z jedną panią, byli bardzo ładnie ubrani. A myśmy z Ewą stały pod murem, bo tam nas zostawiła mamusia. Sama poszła na drugą stronę spróbować coś kupić. Ten pan powiedział do tej pani: – Popatrz, jaka ładna dziewczynka, jaka ładna Żydóweczka – i dał nam z Ewą po cukierku, i mnie jeszcze chciał pogłaskać po głowie, ale ta pani powiedziała: – Zostaw, może ona ma wszy. – Ja chciałam powiedzieć, że na pewno nie mam, ale oni już poszli.

Ciągle myślę o Tobie, co tam porabiasz, może Ci jest smutno i zimno na balkonie. A najgorsze, że ja Cię tam zostawiłam za karę i Ty myślisz, że ja się ciągle gniewam. Ja już na schodach chciałam po Ciebie wrócić, ale ten pan, co pilnował naszej wyprowadzki, powiedział, że to już nie jest nasze mieszkanie i nie mam tam po co wracać. Mamusia mnie pociągnęła za sobą.

Do szybkiego zobaczenia.

Chaja

Kochany Królo,

dzisiaj dziadzio uczył mnie jidysz. Ja bardzo lubię z dziadziem się uczyć, bo on ma tyle cierpliwości i nigdy nie krzyczy jak nasza mamusia. Mamusia strasznie krzyczy i o wszystko płacze, że ona nie wie, jak nas nakarmić, a tatusia to nie obchodzi. To ja już wolę usiąść z dziadziem i uczyć się tych dziwnych liter. Dziadzio mówi, że Bóg nas doświadcza, bo chce sprawdzić, czy silny jest duch naszego narodu. I bardzo się martwi, że ten duch upada. To może zgubić nas wszystkich. Dobrze chociaż, że tatuś nie chce chodzić do tej Sodomy i Gomory, tak dziadzio nazywa lokal, i nie chce grać grzesznym Żydom. Lepiej już umrzeć z głodu. Mamusia krzyczy na dziadzia, że taki sam jest głupi jak jego zięć. Ale dziadzio mówi, że mamusia ma tylko taki krzykliwy charakter, a w środku jest podobna do nas. I że na pewno by nie chciała, aby Bóg się na nas pogniewał. Tylko ciocia Klara się go nie boi i chodzi do lokalu śpiewać. Ona ma ładny płaszcz i raz przyniosła czekoladę, ale tatuś powiedział, żeby ją zabrała, bo nic od niej nie przyjmujemy. Ciocia bardzo zaczęła płakać, ale tatuś podał jej ten ładny płaszcz i wypchnął ją za drzwi. To ciocia Klara stała za drzwiami i płakała dalej. A tatuś powiedział: – A płacz sobie, choćby do końca świata... – Tatuś chodzi teraz z takimi panami i zbiera umarłych na ulicy, wkłada ich na wózek i odwozi w jedno miejsce. Mówi, że najbardziej nie lubi zbierać dzieci. Mamusia nie pozwala opowiadać o tej pracy, ale tatuś uważa, że my musimy wynieść w sercu to, co tu widziałyśmy, żeby ani jedno umarłe dziecko nie zostało zapomniane. Tatuś mówi: – Niech dorośli pamiętają o dorosłych, a dzieci o dzieciach.

Do szybkiego zobaczenia.

Kochany Królo,

dzisiaj jest 22 marca 1942 roku i to jest bardzo piękny dzień w naszym domu, bo nam się urodziła siostrzyczka. Mamusia bardzo się męczyła i jęczała przez trzy dni i ciocia Estera, która chodzi po domach do porodów, kręciła przed tatusiem głową. Tatuś chciał już wieźć mamusię do szpitala, ale tam nie chcą przyjmować rodzących, odsyłają z powrotem albo na posterunek. Ciocia Estera to nie jest nasza prawdziwa ciocia, ale wszyscy ją tak nazywają, więc ona powiedziała, żeby iść do cioci Klary, która ma znajomości i na pewno szpital załatwi. Tatuś wziął już czapkę, ale potem usiadł przy stole i zaczął płakać. Powiedział, że nie może tam iść, bo grzech spadnie na nienarodzone jeszcze dziecko. To ciocia Estera powiedziała, że ona sama pójdzie, ale tatuś na nią nakrzyczał, że chce oszukać Boga. No i mamusia cierpiała jeszcze przez cały dzień, a wieczorem urodziła się siostrzyczka. Ciocia Estera powiedziała, że z chłopcem to by było gorzej, ale dziewczynka wygrała swoje życie.

A tatuś nas zawołał i powiedział: – Jesteście teraz trzy, kochajcie się, jak ja was kocham, i bójcie się Boga, jak ja się go boję. – A potem powiedział do mnie:

– Przynieś skrzypce, zagramy na jej przywitanie.

No i ja przynoszę, i gramy Mendelssohna, a mamusia słabym głosem: – Po co robicie taki hałas. Do szybkiego zob.

Chaja

Kochany Królo,

długo do Ciebie nie pisałam, bo działy się w naszym domu smutne rzeczy. Mamusia bardzo chorowała i nie wstawała z łóżka, a nasza mała siostrzyczka była taka słaba, że ciocia Estera mówiła: – Tylko westchnie i odejdzie.

Tatuś jeździ teraz riksą i wraca bardzo zmęczony. Mówi, że to jest zajęcie dla młodych ludzi, a on ma już 34 lata. Ciągłe chodzimy teraz głodne, a najgorsze, że nie ma mleka dla naszej małej siostrzyczki, Miriam. Ciocia Klara w tajemnicy przed tatusiem przyniosła puszkę, ale to już się skończyło. My z Ewą chodzimy na ulicę żebrać. Wystawiamy rękę, kiedy idzie ktoś lepiej ubrany, i to w ostatniej chwili, żeby się zdziwił, że te dwie dziewczynki, które tak sobie stoją, to żebraczkę. Ale ostatnio nie mamy jakoś szczęścia, nikt się już nie dziwi, że wyciągamy rękę. Wszystkie dzieci na ulicy zebrzą. Dziadzio mówi, że to wcale nie jest wstyd, że wśród innych zawodów Bóg wymyślił także żebraków. To ja zaraz powiedziałam, że może Bóg wymyślił pracę w lokalu, bo mi tak żal cioci Klary, ale dziadek pokręcił głową. Jednak nie.

Co Ty tam robisz, o czym myślisz, a może zaprzyjaźniłeś się z tymi, co mieszkają w naszym mieszkaniu? Nawet bym się cieszyła, że nie jesteś samotny, żebyś tylko nie zapomniał o mnie. Pamiętaj, ja po Ciebie wrócę.

Do zob. Ch.

Kochany Królo, jest już wiosna i w getcie też, ale nas to już wcale nie cieszy. Jesteśmy bardzo głodne. Myślimy tylko o jedzeniu. Wczoraj widziałam ptaszka, skakał po ulicy, ale nic na niego nie mógł znaleźć, to się chyba zezłościł i poleciał za mur. Tam się na pewno naje. Nasz tatuś zrobił się taki wygięty, jakby mu ktoś ukradł klatkę piersiową i brzuch. Mamusia mówi, że to dlatego, że tak schudł. Ale tatuś jest wesoły. Przychodzi do domu i mówi: – Wiecie, co to jest Hollywood? – To my mówimy, że nie wiemy. To tatuś mówi, że to fabryka snów w Ameryce, gdzie żyją najwięksi aktorzy. – A teraz – mówi tatuś – Hollywood przenieśli na Nalewki. – To my się dziwimy. A tatuś: – Na ulicy widać same gwiazdy. – A dzisiaj przyszedł i krzyczy: – Święto, święto, wiedzą o nas w Londynie! – i zaraz kazał mi przynieść skrzypce i jak kiedyś postawił mnie na stole.

Grałam, chociaż ręce mi się trochę trzęsły. Ja teraz jestem słaba. Nie mogę już biegać, muszę chodzić tak wolno, wolniutko. Mamusia kazała mi zaraz zejść, bo po co mam tracić siły.

Jak byłam mała, to tatuś zawsze mnie stawiał na stole, ja grałam, a tatuś chodził po pokoju z rękami podniesionymi do góry. Mamusia krzyczała, że co on wyprawia. A on z zamkniętymi

oczami kiwał głową i powtarzał.

– Słyszysz, słyszysz, jak ona gra!

I tatuś nie mówił tego do mamy, ale do kogoś, kto był tam w górze. To dlatego tatuś zamykał oczy i podnosił ręce.

D. sz. z. CH.

Kochany Królo,

coraz smutniej jest w naszym domu, tatusiowi odebrali riksę i już nie mamy żadnej nadziei. Tatuś siedzi w pokoju przy stole i trzyma głowę w rękach, a mamusia powtarza. – Idź do lokalu.

D. szyb. z. Chaja

Kochany Królo,

dzisiaj jest 26 sierpnia '42 roku, był u nas doktor i powiedział, że tatuś ma tyfus i trzeba go zabrać do szpitala ze względu na nas. Nas też obejrzał. Obie z siostrą Ewą mamy opuchliznę. To z głodu. Trzeba coś zrobić, bo tyfus zbierze swoje żniwo, tak powiedział doktor. Nie wziął pieniędzy, chociaż mama mu wciskała te, co dostaliśmy od dziadzia. Jak on poszedł, mamusia powiedziała: – Zapamiętajcie, dzieci, tego człowieka, to jedyny sprawiedliwy w tym piekle. Ale potem już kazała nam o nim zapomnieć, bo przez niego wezmą nas na kwarantannę. Nie mamy już tylu pieniędzy, żeby się wykupić. To trzeba płacić tym z kolumny sanitarnej, a oni bardzo dużo biorą. Ja nie wiem jeszcze, co to ta kwarantanna, ale mamusia strasznie rozpacza. I znowu mówi, po co nas tu sprowadziła na ten świat, na te wszystkie cierpienia. A dziadzio jej odpowiada, że Żydzi zawsze byli wyspą wśród innych ludzi, a wszystko, co samotne na świecie, jest najbardziej narażone.

No więc kwarantanna. Miriam weźmie do siebie na ten czas ciocia Estera.

Do szyb. zob. Ch.

Kochany Królo,

nie było tak źle. Dużo ludzi się tłoczyło. Rzeczy wzięli do dezynfekcji. Do jedzenia dawali zupę, ale mamusia nie pozwalała nam jeść, że może być zarażona. Wydzielała nam chleb, który dała jej dla nas ciocia Klara. Mamusia sama chleba nie jadła, tylko ten płyn z kotła.

Tatuś jest jeszcze w szpitalu. Mamusia do niego chodzi. Jest słaby, ale choroba mija. Dziadzio mówi, że tatuś jest sprawiedliwy i dlatego Bóg go oszczędził.

Dzisiaj była u nas ciocia Klara. Rozmawiała z mamą w drugim pokoju, a potem mnie zawołała i mamusia powiedziała, że ode mnie zależy życie całej rodziny. Żeby tylko zgodziła się grać w lokalu i nie mówiła o tym tatusiowi. Ja się strasznie złąkłam, żeby Bóg mnie nie ukarał, ale mamusia powiedziała, że jak się coś robi dla innych, to nie można mieć grzechu. I powiedziała, że nasza siostrzyczka Miriam ma już wrzody z głodu i że pewnie umrze, jak nie dostanie mleka. Mamusia tak na mnie patrzyła, że mi się zrobiło jej żal. Rozplakałam się i powiedziałam, że pójdę z ciocią Klarą. Potem, jak już leżałam w łóżku, bardzo się bałam Boga, ale ja tak kocham tatusia i moją małą siostrzyczkę, i mamusię, i Ewę.

Do zobaczenia.

Chaja

Kochany Królo,

już trzy dni chodzę do lokalu. Udajemy przed tatusiem, że kładę się spać. W koszuli nocnej zaglądam do niego i mówię dobranoc, a potem szybko się ubieram i mamusia prowadzi mnie tam. Z ulicy to wcale nie widać, że tam się bawią, bo okna są zaciemnione. Ale w środku jest dużo światła i przy stolikach siedzą pięknie ubrane panie i panowie, a kelnerzy biegną jak oszaleli. Mama nie wchodzi do środka, tylko oddaje mnie cioci Klarze i zawsze płacze, i prosi, żeby ciocia nie pozwoliła mi zrobić krzywdy. Pierwszego wieczoru to nie grałam, bo nie umiałam tego, co oni chcieli, a nie było nut. A potem to mi łatwo szło.

I ludzie byli zadowoleni. Ciocia Klara śpiewała, a ja jej akompaniowałam na skrzypcach. Najpierw na takim podium, a potem na życzenie podchodziłyśmy do stolików. Jedna pani bardzo

się wzruszyła i dała mi pieniądze. Od tego dymu i hałasu kręciło mi się w głowie i było mi jakoś dziwnie. W przerwie ciocia wzięła mnie do kuchni i tam dostałam jeść. Kucharka powiedziała, że bym za dużo nie zjadała, bo mi zaszkodzi, ale ja i tak nie mogłam. Chciałam spytać, czy mogę wziąć resztę do domu, ale trochę się bałam. Ona tak na mnie patrzyła i powiedziała, że to nie jest miejsce dla dzieci.

A wiesz, że ja teraz chodzę spać w dzień?

D s z CH

Kochany Królo, jest już listopad, szaro i smutno, wydano zarządzenie, że Żydzi już nie mogą wychodzić z getta, nawet nie dają przepustek. Tatuś mówi, że teraz podusimy się jak szczury. Tatuś stara się o jakąś pracę,

ale jest taki słaby, że jak zejdzie ze schodów na dół, to pot się z niego leje. My mieszkamy na dziewiątym piętrze.

Tatuś się dziwi, skąd my mamy pieniądze i z czego żyjemy. Mama powiedziała, że sprzedała pierścionek. Tatuś się zmartwił, bo pierścionek miał być na wykupienie rodziny od śmierci w razie czego. Oczekuje się likwidacji getta. Ciągłe wywożą ludzi. Ja bym nawet chciała pojechać pociągiem, ale mamusia z takim strachem na mnie patrzy, jak o tym mówię. Przecież już nigdzie nie może być gorzej niż tutaj. Nigdzie nie ma takiego muru. Takiego głodu i zimna. Tatuś się jeszcze dziwi, że ja teraz cały dzień śpię, ale mamusia mu tłumaczy, że to dlatego że jestem taka słaba.

D.s. Chaja

Kochany Królo,

wczoraj grałam koncert Brahmsa. Jeden pan mnie prosił. Najpierw zawołał mnie do stolika i spytał, czy umiem tylko takie kawałki.

Jak zaczęłam grać, to ludziom się nie podobało, ale ten pan wstał i zaczął na nich krzyczeć, że w tej speluncie ponieważ się brylant i trzeba mu dać błyszczyć jego blaskiem. Ludzie się uciszyli, bo to bardzo bogaty pan. A jak skończyłam grać, on miał łzy w oczach, wyjął dużo pieniędzy, dał mi i powiedział. – Dziecko, idź do domu i nie wracaj tutaj. – Ja tak się ucieszyłam, ale ciocia Klara wzięła mnie na zaplecze do właściciela lokalu. On powiedział, że to są jego pieniądze, i zabrał. Ja bardzo płakałam, ale ciocia Klara mi wytłumaczyła, że miał prawo. Bo lokal jest jego, a on mi za granie i tak płaci. Chyba mu się zrobiło mnie żal, bo mnie jeszcze raz zawołał i powiedział, że jak chcę pomóc rodzinie i zarabiać więcej, to mogę rozweselać gości w takich osobnych pokojach. Oni tam wszyscy są bogaci. No i zaprowadził mnie. Tam siedział pan w niemieckim mundurze, więc ja się przestraszyłam, ale właściciel mnie uspokoił. Coś mówił po niemiecku. Była tam jeszcze jedna pani, która znała polski. Powiedziała, że mam grać cygańskie melodie. Ale ja nie umiałam. Wtedy ten Niemiec powiedział, żebym pokazała co innego. Zobacz, czy u małych Żydówek jest wszystko tak samo jak u dużych. Ja chciałam wyjść, ale drzwi były zamknięte na klucz. Oni krzyczeli na mnie. Nie wszystko rozumiałam, ale widziałam, że ten pan jest bardzo zły. Zdjęłam sukienkę i inne rzeczy. On coś powiedział do niej. Powtórzyła mi, że mogę się ubrać i sobie iść. Wybiegłam stamtąd i już nie wróciłam na salę, tylko uciekłam do domu. Tak się strasznie bałam, że mnie zatrzymają, ale jakoś nic się nie stało. Mamusia nie spała. Ona zawsze czekała na mnie. Nic jej nie mogłam powiedzieć, tylko się cała trzęsłam, a potem jej powiedziałam. Mamusia się rozplakała, zaczęła mnie przeproszać i całować po rękach. Na drugi dzień ciocia Klara przyszła spytać, czy ja przyjdę wieczorem, ale mamusia powiedziała, że ja już nie będę tam chodzić i że to był błąd. Ciocia Klara odrzekła, że lepszy błąd niż głód, ale nie namawiała. Zabrała tylko sukienkę i pantofle, które miałam na występy, a oddała moje stare rzeczy. Te nowe były własnością lokalu.

Na szczęście tatusia nie było w domu, spotkał ciocię Klarę na schodach, jak już wychodziła. Spytał mamusię, po co wpuszcza tę diablicę. Mamusia nic nie odpowiedziała, ale wstydziła się przed tatusiem. A tatuś opowiedział, że widział zamrożone dziecko, które ktoś przykrył plakatem: „Dziecko to największa świętość”.

– Dziecko to największa świętość – powtórzyła mamusia i przytuliła mnie, i tylko my wiedzieliśmy, o co chodzi.

Kochany Królo,
nie chodzę do lokalu, ale tak się przyzwyczaiłam, że w nocy nie mogę spać. Myślę sobie o różnych rzeczach.

Nie ma co jeść, nie ma węgla. Trzęsiemy się z zimna. Tatuś dostał pracę w warsztacie tkackim, który robi kołdry. Warsztat nie jest legalny, więc pracuje w nocy. Teraz tatuś wychodzi. Udaje przed nami, że się kładzie spać, a naprawdę idzie do pracy. Wiem to od mamusi, która wszystko mi mówi. Dobrze, że tatuś ma pracę. Może tym razem nie umrzemy z głodu, ale nie kupimy opału, bo teraz wszystko jest takie drogie.

Do szyb. zob. Chaja

Kochany Królo,

dziadzio teraz ciągle się modli. Płacze i mówi, że naród żydowski nisko upadł i na rozkaz niszczy bóżnice i ołtarze. Dowiedział się o tym od Żydów przybyłych z innego getta. Oni jeszcze opowiadali, że w ich miasteczku stracono wielu Żydów. Prowadzono ich do lasu na śmierć i kazano im śpiewać: „Żydzi naród niespokojny, przez nas wojny, przez nas wojny...” I oni szli i śpiewali.

U nas w domu mieszka teraz jedna pani, której Niemiec wyrzucił z pociągu dziecko. Ona chciała za nim skoczyć, ale ją powstrzymano. Strasznie płakała, aż dziadzio nie mógł się modlić.

Tatuś był już raz na Umschlagplatzu, w ostatniej chwili wypatrzył go wśród innych pan Emanuel Ringelblum i go stamtąd wyciągnął. To dlatego że tatuś gra na skrzypcach.

Tatuś mówi, że już nie ma na co czekać. Jutro mogą przyjść po całą rodzinę. Wczoraj był u nas wujek Szymon i namawiał, żeby wyjść z getta kanałami. On jest przewodnikiem, to teraz jego zawód. Nas wyprowadzi za darmo, bo my jesteśmy przecież rodzina. Dużo ludzi tak teraz robi. Po drugiej stronie umawiają się z jakimś chrześcijaninem co do kryjówki, za pieniądze, a czasami nawet za darmo. To zależy od chrześcijanina. Wujek bardzo namawia, żeby wyjść z getta. Ale dziadzio się nie zgadza. Dziadzio powiedział, że zostanie tu do końca i spali się w ogniu Boga, bo On będzie chciał ukarać Żydów.

Nasza siostrzyczka Miriam jest bardzo chora, ma dużo wrzodów. My z Ewą nie mamy, bo wujek Szymon przyniósł cebulę.

D. s. z. Ch.

(nagranie)

Ja: Kim pani jest? Kim pani jest siedemnastego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku?

Ł: Nie wiem. Mam za zadanie wrócić i pielęgnować ojca. Potem zajmę się sobą. Spróbuję swój dwoisty los zamienić w liczbę pojedynczą. Jak pan wie, ciele o dwu głowach długo nie może żyć. Myślę o podróży do Izraela.

Ja: Więc nie do Ameryki?

Ł: Tam nie odnajdę swoich korzeni.

Ja: Ale tam mieszka pani siostra.

Ł: Nie załatwi za mnie mojej sprawy. Wie pan, ja coś już zrozumiałam. Coś, czego nie potrafiłam zrozumieć przedtem. Ten Amerykanin w Wiedniu powiedział mi, że nie został dyplomatą, tylko muzykiem, bo byłoby to oszustwo. On mieszka w Ameryce, ale nie może reprezentować tego kraju. Powiedział: „Dom to Izrael”. Miał żal do rodziców, że jednak nie zdecydowali się tam osiąść.

Ja: Czy to znaczy, że daje pani pierwszeństwo swojej krwi?

Ł: Nie, ja tylko chcę coś sprawdzić. Być może nie dowiem się niczego, jak nie dowiedziałam się niczego na żydowskim cmentarzu. Poszłam tam, od bramy zawróciłam, bo byłam z gołą głową. Wróciłam do domu po chustkę. Serce mi biło, kiedy przekraczałam bramę. Ale ja się tam czułam obco. Ten cmentarz mnie nie przygarnął, nie chciał do mnie przemówić.

Ja: Bo jeszcze się pani nie nauczyła tego języka.

Ł: Amerykanin powiedział coś takiego: „Wszyscy Żydzi tęsknią do Izraela, nawet jeśli o tym nie wiedzą”.

Po okresie niepewności, oglądania się wstecz, zanotowałem w Łazarskiej zmianę. Zaczęła myśleć spokojniej o swojej przyszłości. Kiedy przychodziłem, witała mnie uśmiechem. W tym czasie zmieniła się jej twarz. Twarz Łazarskiej była w oczach, jeśli można tak się wyrazić. Kiedy były ożywione, wydawała się ładna. Zauważyłem to w czasie przyjęcia u jednego z wyższych niemieckich dygnitarzy, dyrektora Deutsche Banku. Urządzał przyjęcie w rezydencji za miastem, pomyślałem, że to mogłoby Łazarską rozerwać, odciągnąć chociaż na chwilę od jej dramatu. Byłem pewien, że odmówi. A jednak się zgodziła. Był to okres po przełomie, tak bym to nazwał. Jechaliśmy bardzo piękną drogą, przy wjeździe na nią stała tablica z napisem: „Droga prywatna”.

– Droga rozgrzeszenia – powiedziała Łazarska.

Wydawała się odprężona, znalazła rozmówców, niektórzy, między innymi gospodarz domu, znali angielski. Żona dygnitarza zaprowadziła ją do swojego atelier w ogrodzie, gdzie spędzała wiele godzin, malując. Podczas ich nieobecności byłem spięty. Chciałem nawet za nimi pójść, ale obawiałem się, że Łazarska mogłaby to źle odebrać. Z ulgą odnotowałem jej obecność wśród gości. Staralem się trzymać w pobliżu, raz skrzyżowały się nasze spojrzenia. Zauważyłem, że oczy jej błyszczą jak w gorączce.

W czasie kolacji, w której uczestniczyło niewiele osób, przyjęcie było kameralne, ktoś spytał ją, czym się zajmuje w Polsce.

– Muzyką – odpowiedziała.

Zaproponowano, by dla uświetnienia wieczoru coś zagrała. Uśmiechnęła się i odrzekła:

– Z przyjemnością, tylko że nie mam ze sobą skrzypiec.

– Będą skrzypce – obiecał pan domu.

Już wtedy czułem, że szykuje się coś niedobrego. Przecież ona nie zabrała ze sobą skrzypiec, bo zaczęła się ich bać. Skrzypce były rekwizytem nie bez znaczenia w jej wędrówce w przeszłość w poszukiwaniu własnej tożsamości. Nie zabrała ich ze sobą, bo jej się wydawało, że zamknięte są w nich wszystkie łzy świata. Że wystarczy ich dotknąć, aby odezwał się ten cały płacz. Nie dotknęła skrzypiec od dnia, w którym odsunęła szufladę. A teraz tak lekko się godziła, by je wziąć do ręki. Wiedziałem, że muszę jakoś temu przeciwdziałać, ale jak miałem to zrobić, na miłość boską. Przecież nie mogłem odciągnąć gospodarza na bok i prosić go o zaniechanie tego ryzykownego przedsięwzięcia. Co mógłbym mu powiedzieć?

Przyniesiono skrzypce. Wzięła je do ręki jak obcy przedmiot. Patrzyła na nie w taki sposób, jakby nie wiedziała, do czego mają jej posłużyć. Goście między sobą rozmawiali, nie zdając sobie sprawy, jaka walka toczy się w tej kobiecie. Tylko ja jeden byłem tego świadomy. Dla nich było to zwykłe strojenie skrzypiec, dla niej i dla mnie... Wreszcie ujęła smyczek, znieruchomiała. Kiedy zaczęła grać, przeraziłem się, bo wydawało mi się, że to w ogóle nie jest muzyka. Skrzypce wydawały z siebie ostre, nieskoordynowane dźwięki, które uderzały w słuchaczy z niebywałą agresją. Nie potrafiłem rozpoznać w tym żadnego znanego motywu i wydawało mi się, że ona tylko z pasją pociąga smyczkiem po strunach, jak rozgniewane na kogoś dziecko, które robi na złość. Na jej twarzy pojawił się nadludzki wysiłek, żyły wystąpiły na skronie. Spojrzałem po obecnych. Wydawali się zaciekawieni, a nawet zaintrygowani. Ktoś powiedział.

– Przecież to z *Lohengrina*!

I wtedy wszystko zrozumiałem. Ona czuła się zupełnie sama, nawet muzyka była przeciwko niej. Nie przeczuwałem, że to dopiero początek występu Łazarskiej. Sądzę, że jego druga część wymknęła się spod jej kontroli, nigdy o tym nie mówiliśmy, ale na pewno tak było. Może to napięcie i zmęczenie, a może o jeden kieliszek za dużo. Była podziwiana, nagrodzona pochwałami za brawurowe odegranie Wagnera na skrzypcach. W jakiejś chwili gospodarz przyjęcia przyniósł nowy model japońskiego magnetofonu ze słuchawkami, dzięki pewnej metodzie można było selekcjonować dźwięki, rezygnować z jednych na korzyść innych. Zaproponował Łazarskiej, aby włożyła słuchawki i posłuchała. Uśmiechnęła się.

– Nie będę mogła ocenić w pełni efektu, bo nie słyszę na jedno ucho.

Powiedziała to po angielsku i początkowo nie rozumiałem, potem było już za późno. Potem ona wyglądała na pijaną, zaczęła płakać. Na szczęście mówiła po polsku.

– Pan mnie okaleczył! – krzyczała, czepiając się klapy marynarki dygnitarza. – Przez pana

nie mam bębenka, pan się zabawiał strzelaniem...

Łzy płynęły jej po twarzy, a oni wszyscy patrzyli na nią. A potem na mnie, pytali mnie, co się stało. Byłem w trudnej sytuacji, próbowałem ją uspokoić, ale wtedy mnie zaatakowała:

– Pan mnie oślepił! Pan mi wyłupił oczy, tam, na tamtej drodze, ja pana poznaję...

Już wiedziałem, że nie ma sensu im tego tłumaczyć. Przeprosiłem wszystkich, powiedziałem, że obecna sytuacja w Polsce źle wpływa na nerwy mojej znajomej. Kiwali ze zrozumieniem głowami i ze współczuciem. Ale ona tego wcale nie chciała. Po tym wybuchu czuła się wyczerpana, wyglądała, jakby była bardzo chora. Ująłem ją pod łokieć, dała się wyprowadzić bez oporu.

Wśród materiałów, które zabrałem z pokoju Łazarskiej, znalazłem list żony do Witolda Łazarskiego. Nie ma on bezpośredniego związku z naszą sprawą, a jednak decyduję się go dołączyć ze względu na pewne oświetlenie sylwetki opiekuna Łazarskiej, a także na niezwykłość samej piszącej, na jej kulturę, takt i z pewnością dobroć.

Kochany Witoldzie,

długo zastanawiałam się, jak Ci o tym wszystkim napisać, myślę, że szczerowość najbardziej nam obojgu przystoi po tylu latach wspólnego życia. Czy wiesz, że za trzy dni mija piętnasty rok naszego małżeństwa? Cóż za data!

Witoldzie, przed kilkoma dniami przyjechała do mnie Lusia, jest w bardzo złym stanie nerwów. W czasie nagłego przyływu siostrzanych uczuć wyznała mi swój kilkuletni romans i to także, że wynikły z niego kłopoty. Ten mężczyzna kategorycznie odmówił uznania dziecka, motywując to obowiązkami wobec żony.

Myślę, że jako związek przetrwaliśmy próbę czasu, że się na sobie nie zawiedliśmy, pełni wzajemnej życzliwości i zrozumienia. No cóż, pobierając się, byliśmy bardzo młodzi i mogliśmy się co do siebie pomylić. Na szczęście tak się nie stało. Mam głębokie poczucie, że w każdej złej chwili mogę się do Ciebie zwrócić i że Ty odpowiesz mi zawsze tym samym. I to uważam za sprawę najwyższej wagi. W takiej sytuacji ograniczenie naszej przyjaźni do jednego domu nie jest już takie niezbędne. Bo przecież to, co nas łączy, nie może ulec zmianie.

Rozumiałam Twoją potrzebę zbliżenia z inną kobietą wobec naszej dość trudnej pod pewnymi względami sytuacji. Byłam Ci wdzięczna za brak do niej komentarza i za Twój takt, niezwykle w takich warunkach, i życzliwość dla mnie. Wszystko gotowa byłam Ci z góry przebaczyć, chociaż może było to dla mnie bardziej bolesne, niż przypuszczałaś. Myślę o Tobie jako o swoim mężu. I będę tak myślała zawsze. Powiedziałeś mi, że nie bardzo siebie widzisz w stałym związku z kobietą, że Cię to przeraża. To ja chciałam naszego małżeństwa. I myślę, że jednak miałam rację. Jesteśmy ciągle związkiem dwojga bliskich ludzi. Mam nadzieję, że i Ty tak możesz powiedzieć na nasze piętnastolecie. Mam też nadzieję, a nawet wiem na pewno, że jako życiowemu partnerowi zawsze mi przyznasz pierwszeństwo. To mi w zupełności wystarcza, to mi pozwala zaakceptować Twoje przyszłe decyzje i zmiany w naszej wzajemnej sytuacji.

Wiem, jaki jest Twój stosunek do pewnych obowiązków wobec kogoś trzeciego. Staralam się to zrozumieć. Ale w sytuacji kiedy pewne sprawy przybrały taki, a nie inny obrót, powinieneś to wszystko jeszcze raz głęboko rozważyć. Należy myśleć o innych, Witoldzie.

Lusia wraca za kilka dni, ja spodziewam się przyjechać do Warszawy pod koniec sierpnia, jak to było ustalone.

Gdynia, 15 lipca 1939 r.

Irena

(z zapisków A.Ł.)

Myślę, że na wiadomość, iż jest się córką pletwonurka, idzie się do sklepu z tym sprzętem i uważnie się go ogląda. Na wiadomość, iż jest się córką Żyda, idzie się na cmentarz. Bo gdzie można pójść?

Mogę chyba powiedzieć, że nigdzie nie czułam się tak samotna jak w otoczeniu tych nagrobków. Tablice. Nazwiska. Daty. Obojętność kamieni. Obojętność powietrza i drzew.

Nikt mi nie powie, co mam ze sobą zrobić.

Zauważyłam, że nie jestem sama. Na cmentarzu była jeszcze jakaś kobieta. Trudno mi było ocenić jej wiek, bo nie pokazała mi twarzy. Nawet jakby ją chowała przede mną.

Może dlatego za nią poszłam. Czekaliśmy na jednym przystanku, wsiadliśmy do jednego tramwaju. Ona ciągle ustawiała się tyłem. Pospieszyłam za nią do wyjścia i towarzyszyłam w pewnej odległości. Chyba bez żadnej myśli. Chciałam zobaczyć, gdzie mieszka, czy coś takiego. Jeśli oczywiście wracała do domu. W pewnej chwili odwróciła głowę, a potem przystanęła. Wyraźnie czekała na mnie. Zbliżyłam się z uczuciem niepewności i brakiem konkretnej sprawy. Spotkały się nasze oczy, które mogłyby być naszą wizytówką.

– Czy pani chce mnie o coś spytać? – zaczęła, a mnie nagle przeraziło to pytanie. Najchętniej zawróciłabym i odeszła bez słowa. Ale teraz już nie mogłam tego zrobić.

– Byłam tam pierwszy raz – wybąkałam. Po raz pierwszy od wielu lat doświadczyłam takiego uczucia, stałam przed nią jak przed surowym profesorem.

Uśmiechnęła się.

– Ciekawość?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą.

– Ma pani tam kogoś?

Tego też nie wiedziałam. Ja naprawdę nie wiedziałam nic.

Musiałam dziwnie wyglądać, bo ona zaproponowała mi, żebym do niej wstąpiła. Miała małe mieszkanie. Zwyczajne mieszkanie, mimo że spotkałam ją na żydowskim cmentarzu. To mnie uderzyło, banalność sprzętów, obrazek na ścianie, jakaś akwarela.

Książki. Pierwsze tytuły, jakie rzuciły mi się w oczy: Żeromski, Gombrowicz, Miłosz.

Przyniosła na tacy herbatę z ciemnej kuchni.

– Mieszkam teraz sama – powiedziała – syn dostał nareszcie swoje M-2.

Nie wiedziałam, co mam robić, zajęłam się swoją herbatą. Starannie odmierzyłam cukier i zamieszałam w szklance.

– Chodzę tam – rzekła – bo trudno to wytłumaczyć... tam było kiedyś najweselej...

Uśmiechnęła się na moje zaskoczenie.

– Tam się toczyło życie towarzyskie getta, czyli żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej, jak nakazane było je nazywać. Życie towarzyskie, czyli szmugiel.

Opowiedziała mi o tym, jak jej matce i innym kobietom pozwolono przejść przez cmentarz na drugą stronę kupić chleb. Matka zabrała ją ze sobą. Wracały tą samą drogą, ona niosła duży bochenek, przyciskając go do siebie z całych sił. Był ciepły i pachnący. Chciała, żeby to trwało wiecznie, ta droga powrotna pomiędzy grobami.

Spytałam ją o rodziców.

– Ojciec popełnił samobójstwo.

– W getcie?

– Nie, w dwudziestym roku. Był oficerem, starym legionistą odznaczonym Virtuti Militari za odwagę. W czasie wojny z bolszewikami Sosnkowski wydał rozkaz, żeby wszystkich Żydów w armii internować. Osadzono ich w Jabłonie. Ojciec nie mógł znieść tej zniewagi. Powiesił się w ubikacji.

– Dlaczego taki rozkaz?

– Generał chorobliwie obawiał się żydokomuny.

Znowu poczułam nieprzyjemne dotknięcie historii, która od niedawna coraz częściej zaczęła wkraczać w moje życie.

To było moje pierwsze zetknięcie z przedstawicielką tamtego narodu. Może niezupełnie, znajomy Amerykanin żydowskiego pochodzenia, a może po prostu Żyd, bo za takiego się uważał, powiedział mi, że prawdziwi Żydzi wyjechali z Polski w czterdziestym szóstym roku.

Los tej kobiety był pierwszym żydowskim losem, który do mnie przemówił, chociaż mój Amerykanin go zakwestionował.

Matkę zastrzelono w czasie przeprawy na drugą stronę muru po żywność. Przyjaciele rodziców wyprowadzili ją i jej przyrodną siostrę z getta. Musiały się rozdzielić. Otrzymały kartki z adresami. Ona trafiła dobrze, z siostrą było gorzej. Miała wtedy dziewięć lat, była jeszcze dzieckiem.

Ktoś ją podprowadził pod wskazany dom, dalej poszła sama. Ale w umówionym mieszkaniu był już ktoś inny. Rozlokowały się tam dwie prostytutki. Jedna z nich otworzyła. Dziewczynka podała jej kartkę.

– Państwo Witkowsy już tutaj nie mieszkają – usłyszała.

Na twarzy dziecka musiał uwidocznic się cały dramatyzm tej odpowiedzi, skoro kobieta wzięła je za rękę i wprowadziła do środka. Na szczęście obie panie wyjątkowo były wolne, zwykle o tej porze przyjmowały niemieckich żołnierzy, ich poziom i aparycja wykluczały wizyty oficerów, dla tamtych rezerwowano luksusowe dziwki.

Siostra znajomej z cmentarza zamieszkała w komórce na węgiel, do której wchodziło się z klatki schodowej. Trzęsła się tam z zimna, wiele godzin spędzając po ciemku, ale była względnie bezpieczna. Do mieszkania wolno jej było wchodzić po skończeniu wizyt, czyli we wczesnych godzinach rannych. Panował wtedy ruch, obie kobiety poddawały się toalecie, a także innym zabiegom higieniczno-zachowawczym, do których używały dużej strzykawki, zwykle stosowanej u koni. Umiały sobie radzić także w razie wypadki. Dziewczynka uczestniczyła przy dwóch takich zabiegach spędzania płodu sposobem domowym. Była pomocnikiem, podawała narzędzia, którymi były, uprzednio wygotowane, przybory kuchenne. Po latach, już jako lekarz ginekolog, wysoko oceniła umiejętności jednej z pań, zabiegi wykonane zostały sprawnie i fachowo. Na szczęście za każdym razem pech prześladował tę drugą, tę mniej w tej dziedzinie uzdolnioną.

Jej zimne mieszkanie służyło dobrze, poza jednym przypadkiem, kiedy dostała zapalenia płuc. Obie panie czule się nią opiekowały, instalując ją na czas choroby w pokoju przyjęć; oprócz niego była jeszcze kuchnia, też z racji trudności lokalowych zamieniona na salon. Dziewczynka leżała za parawanem i nie wolno jej było dawać żadnego znaku życia, a więc także nie kaszeć. Było to znacznie trudniejsze, a czasami wręcz niemożliwe. Chowała twarz w poduszkę, dusząc się z wysiłku. W czasie jej choroby panie przywiązywały większą wagę do napełniania kieliszków swoich klientów, aby łatwiej im było wytłumaczyć, że za parawanem nikogo nie ma. Stoją tam tylko „przybory”, których mężczyznom oglądać nie wypada.

– Nikt nie lubi, jak mu się wchodzi do kuchni – tłumaczyła jedna z nich feldfeblowi, który twierdził, że słyszy kaszel. Wmówiła mu w końcu, że to za ścianą.

Były dla niej naprawdę dobre, zawsze znalazły chwilę w godzinach pracy, żeby do niej zajrzeć, dać pić, zmienić koszulę. Podczas krytycznej nocy, kiedy dziewczynka naprawdę walczyła ze śmiercią, nie wpuściły swoich klientów za próg. Nazywały ją, nie wiadomo dlaczego, Miszką, chociaż na imię miała Izabela.

Zresztą bardzo szybko mogła się im zrewanżować, a przynajmniej jednej z nich. To było w czasie przerwy śniadaniowej. Siedziały we trzy przy stole w kuchni, kiedy do mieszkania wpadło trzech zamaskowanych mężczyzn z automatem. Ten najwyższy wyszarpnął go spod płaszcza. Odczytali struchlałym kobietom wyrok i jednej z nich strzelili w brzuch. To była ta, która wprowadziła dziewczynkę za rękę do domu. Drugą ona zasłoniła własnym ciałem. Wśród wykonawców wyroku zapanowała konsternacja.

– Co to za dziecko? Tu nie miało być żadnego dziecka.

– Ja nie jestem dziecko, ja jestem z getta – krzyczała, przywierając do przerażonej kobiety – ja się tu ukrywam.

Mężczyźni chwilę się naradzali, potem bez słowa opuścili mieszkanie. A one tuliły się do siebie, trzęsąc się z płaczu. Ranna przeciągle zajęczała, pochyliły się nad nią.

– Za co – wyszeptwała z wysiłkiem – ja... ja tylko pracowałam.

Śmierć jednej z prostitutek zmieniła sytuację dziewczynki, zajmowała teraz kuchnię, nawet podczas wizyt. Drzwi maskowało się wtedy kredensem, niby że mieszkanie jest jednopokojowe. Nie mogła tylko palić światła, żeby nie przeświecało przez szpary, ale w porównaniu z tamtym to były wakacje.

W czasie opowiadania przyszła jego bohaterka, przystojna kobieta o inteligentnym wyrazie oczu.

– Nie wiedziałam, że panie się znają – zaczęła od progu, potem zwróciła się do siostry: – Dlaczego nigdy mi nie wspomniałaś?

Tamta nie bardzo wiedziała o czym.

– Przecież to jest pani Łazarska – rzekła pani ginekolog.

(nagranie)

Ja: Ja bym ciągle obstawał przy szoku. Pani się oskarża o pozostawienie ojca w ciężkiej sytuacji...

Ł: W tragicznej.

Ja: Zdarzało się, że matki popełniały samobójstwa, pozostawiając małe dzieci bez żadnej opieki. A przecież instynkt macierzyński jest silną obroną, która, jak pani widzi, czasami też zawodzi.

Ł: Pan ma pewnie rację, tylko że to trwało. Snułam jakieś plany, prowadziłam korespondencję, przygotowywałam się do podróży. Najpierw przyszło zaproszenie od siostry, potem było to stanie w kolejce do biura paszportów, załatwianie wizy. Najpierw w ambasadzie amerykańskiej dosyć upokarzające przesłuchanie, czy aby nie zamierzam tam zostać i tak dalej. Czy mogę się wykazać w Polsce jakąś własnością. Ależ tak, owszem, mam dom w Warszawie Na Skarpie, wart bardzo dużo, nawet w obcej walucie... No i potem ambasada niemiecka, zachodniemiecka, gdzie już poszło lepiej... nie wzięłam tam wizy tranzytowej, ale wizę pobytową, nie wiem dlaczego... może już wtedy wiedziałam, że się po drodze zatrzymam... To wszystko wyglądało na działanie z premedytacją... Biorąc pod uwagę, że on był słabszy, że się nie mógł bronić, nie wiedział zresztą przed czym, ja go nie wtajemniczyłam, to było podłe. Tak, to jest właściwe słowo.

Ja: Szok czasami trwa bardzo długo, nie miesiące, ale lata...

Ł: Chce mnie pan bronić, dziękuję. Ale szok trwający lata to już zupełnie co innego, ma inną nazwę. Szok jest zwykle krótkotrwały, potem można już mówić o jego skutkach. Być może w ciągu tych miesięcy nie byłam sobą, ale nie byłam też tą drugą, istniałam gdzieś pośrodku. Powinam więc wszystko zawiesić, nie być zdolna do działania. A moje działania były na pozór logiczne.

Ja: Sama pani powiedziała: na pozór.

Ł: Dosłownie waliło się wszystko, łańcuch powiązanych ze sobą wydarzeń. Mogę chyba powiedzieć, że nagle załamał się we mnie pewien kod. Już taka sprawa jak to, że Chrystus i Maria przestali mieć rację bytu, przez religię moich rodziców nie byli uznawani. Ten Żyd z Wiednia opowiadał mi, że jako dziewiętnastoletni chłopak zakochał się ze wzajemnością w Amerykance. Wiedział, że nie wolno mu z nią być, ale odwlekał moment rozstania, bo czuł się bardzo szczęśliwy. W końcu jednak ta chwila nadeszła. Ja nie mogłam tego zrozumieć. Nie mogłam pojąć, o co mu chodzi. Powiedział: „Jakby ona postawiła w domu choinkę ze świecidełkami, to ja bym wyskoczył przez okno...” Musiałam zrezygnować z Boga miłosiernego i wybaczącego na rzecz Boga próżnego i złośliwego. Przecież to mi się nie opłacało. Jezus ukrzyżowany bardziej mógł mnie zrozumieć, był jak ja człowiekiem. Żydowski Bóg żądał natychmiastowej zmiany wiary i ukorzenia się przed nim, Chrystus na krzyżu za mnie cierpiał, nie żądając właściwie nic. Żebym może tylko zwróciła w Jego stronę oczy. Ale to nie była groźba, On mnie o to prosił. Mój dziadek z miejsca zajął się sprawą mojej grzesznej duszy. To od niego dowiedziałam się o tym, że Bóg jest karzący i okrutny. Dziadek żył przed Nim w bojaźni i o dziwo ta bojaźń ustawiła go w życiu. Getto płonąło, a on siedział w jakimś kącie i powtarzał Bogu, masz rację, wiesz, co robisz. I Bóg ocalił go. Ogień zaczął przygasać, w końcu szeszał. Wokoło świeciła pustka, czerń spalonych murów rozświetlała tylko gdzieś tam dogasający języczek płomienia. Dziadek wyszedł ze swojej kryjówki, błąkał się po zgliszczach, zawiedziony, że nie stał się ich częścią. Wtedy Bóg mu powiedział: wyjdź stąd i opisz to wszystko. I on to robił dla Boga, dlatego nie był zmartwiony, że nie wydaje swoich książek... Ze mną było o wiele gorzej, ja nie miałam takich motywacji...

Ja: Przecież wiara nie odgrywała dużej roli w pani dorosłym życiu. Rozmawialiśmy o tym.

Ł: W ciężkich chwilach człowiek zawsze zwraca się do Boga. Ja nie miałam do kogo. Nie wiedziałam, kto jest moim Bogiem. To pociągało za sobą inne niewiadome. Nie wiedziałam też, kto jest moim bohaterem, bo już nie Sobieski spod Wiednia, przedtem mój ulubiony król i żołnierz. Ja teraz musiałam sięgnąć do historii żydowskiej, która była mniej waleczna, a bardziej cierpiętnicza. Taka postać doktora Korczaka, cóż on robi? Idzie do komory gazowej ze swoimi dziećmi. Żydow-

ski bohater może tylko pięknie umrzeć.

Ja: Jeżeli mogę się wtrącić, to polski też.

Ł: Ma pan trochę racji, ale Polacy giną w innym stylu, dumni i wyniosli do końca. Żydzi umierają na kolanach.

Ja: Chyba powinna pani zastosować czas przeszły. Teraz się to zmieniło i niektórzy mają im to właśnie za złe.

Ł: Teraźniejszość mniej mnie interesuje.

Ja: Ale ona najbardziej pani dotyczy.

Ł: Nie, mnie dotyczy to, co się rozegrało czterdzieści lat temu.

Ja: Wtedy oni też nie chcieli umierać na kolanach, przecież wyniesiono panią z getta, bo miało się tam rozpocząć powstanie...

Ł: Ale przeciwko komu... przepraszam.

Ja: Nie gniewam się. To, że jestem Niemcem... mnie jest znacznie trudniej niż pani wracać w przeszłość...

Ł: Nie pytam, kim był pański ojciec. Nie chcę tego wiedzieć.

To była między nami pierwsza taka ostra wymiana zdań; myślałem, że mnie wyrzuci albo w najlepszym wypadku nie będzie chciała nagrywać, od pewnego czasu wiedziała, że jest nagrywana, ale nie, powróciliśmy do pracy.

Ł: Nie mogłam spać mimo proszków, w mojej głowie kłębiły się te wszystkie pytania, które dręczyły mnie za dnia i na które nie znajdowałam odpowiedzi. Zasyślałam w poczuciu zagrożenia i tak samo się budziłam... Były chwile, że obawiałam się o swój mózg. Wydawał się bardzo chory. Odpowiedzialność za ojca wykluczała taki rodzaj izolacji od problemów. Wiedziałam, że muszę nabrać dystansu, że nie mogę rozpatrywać wszystkiego tak tragicznie. Tylko choroba ojca nie dała się odwrócić, na każdy inny temat powinnam próbować dogadać się ze swoim losem. Ale przyszłość wydawała się absolutną niewiadomą. Umierałam przed nią ze strachu, czując się jak człowiek z kulą w głowie, który nie wie, na co mu ona pozwoli, czy tylko go sparaliżuje, czy odbierze mu życie...

Ja: Potrzebowała pani spokoju. Czasu na przemyślenie tych spraw. Pomysł z przystankiem po drodze do nowego życia nie był wcale taki bezsensowny.

Ł: Przystanęłam po to, aby zawrócić. Ale okazało się, że i to nie jest możliwe z przyczyn obiektywnych. Zamknęto granicę.

Na taśmie, którą nagrywała *Ł.*, znalazłem pewien niezależny od naszych rozmów zapis, niestety urwany w połowie. Pozostaje pytanie, czy skasowała fragment przez nieuwagę, czy też przez nieuwagę nie skasowała wszystkiego. Ten jedyny raz *Ł.* zwracała się do mnie po imieniu. Mam niejasne przeczucie, że była po alkoholu.

Ł: Słuchaj, Hans, dawno ci to chciałam powiedzieć... ty pewnie sobie myślisz, że ja sobie myślę, no tak, ta Żydówka i ten Niemiec... cóż za sytuacja, po prostu nieustanny orgazm... Gdybym tak myślała, dawno byś już był za drzwiami... Ja patrzę na to tak... jeden człowiek, drugi człowiek... i tych dwoje ludzi oczekuje, nie wiem, czego ty oczekujesz, ale ja...

(z zapisków A.Ł.)

W scenariuszu mojego dość skomplikowanego życiorysu nie może zabraknąć romansu, który był wyreżyserowany z niezwykłą perfidią, zważywszy, że nie miał przyszłości z powodu mojego pochodzenia. Ja byłam Polką, a on ortodoksyjnym Żydem. Odwlekał moment rozstania, jak już raz w swoim życiu, bo czuł się szczęśliwy. Być może naprawdę się wahał. Kiedy wróciłam z Wiednia do Warszawy, wszystko miało być między nami skończone. Ale przyszedł list, żeby jednak go tak ze wszystkim nie wykreślała, że on musi coś tam przemyśleć, na coś się zdecydować. Nie wie, czy ja nie jestem najważniejsza, czy nie znaczę dla niego więcej od rodziny, z którą, decydując się na życie ze mną, będzie musiał zerwać. Poczekaj, pisał. Wzruszyła mnie wstawka po polsku: „Ale ja nie wiedziałem, po co kochałaś taki uparty Żyd. Wtedy w parku, jak myśmy rozmawiali, ja znalazłem w Tobie wszystkie bliskości i wszystkie miłości”.

No więc czekałam, bo chciałam czekać. Napisał, że jeżeli przyjedzie w lutym, będzie to znaczyło, że jesteśmy razem. Był wrzesień. Czekałam. W lutym nadszedł list, w którym prosił o czas

do jesieni. Dałam mu go, upewniając się tylko, o jaką jesień mu chodzi, wczesną czy późną. Wybrał tę pośrodku, czyli koniec września, początek października. Ma wtedy przerwę w koncertach, przyjedzie. Już prawie na pewno. Już wie, że jestem słońcem jego życia. W dniu, w którym przyszedł list, czułam się szczęśliwa... Pod koniec października znalazłam w skrzynce zawiadomienie o przesyłce poleconej z Ameryki.

No, I do not think it could have worked between us. For all the reasons we talked about. It is too bad, because there was a lot of joy last year and light. There were many moments when I felt very happy. But we are largely where we come from, and I could not have changed that. The hold of my background is too strong. So I will pay. Still I feel very close to you and think of you every day²

Czytając to, miałam łzy w oczach i były to łzy rozczarowania. Nie potrafiłam go zrozumieć, tak jak nie rozumiem go teraz. To od niego po raz pierwszy usłyszałam to stwierdzenie: „obca krew”. Dlaczego? Miał taką bliską twarz. Czy naprawdę mogliśmy być sobie obcy?

(nagranie)

Ja: Kierowniczka pensjonatu powiedziała mi, że miała pani wizytę. To była Polka?

Ł: To była marcowa Żydówka. Marcowa, bo wtedy przypomniano jej to pochodzenie. Jako młoda dziewczyna przeszła przez obóz, była królikiem doświadczalnym w hodowli doktora Mengele. Pokazywała mi miejsca na ciele, gdzie dokonywano eksperymentów. Na brzuchu i udach narosłe, których część usunięto operacyjnie. Pozostały po nich zabliznione wgłębienia. Chciała zapomnieć o wojnie i o Niemcach. Pracowała jako bibliotekarka na uniwersytecie, wyszła za męża za Polaka, miała z nim dwoje dzieci. Udało jej się przekreślić przeszłość. Ale przeszłość się o nią sama upomniała. Znaleźli się ludzie, którzy zwrócili to, co, wydawało się jej, odrzuciła na zawsze. Teraz jest w Niemczech, bo tutaj osiedliły się jej dzieci. Za każdym razem, kiedy się budzi i słyszy język niemiecki, wydaje się jej, że jest tam, w Oświęcimiu. Niemcy są teraz dla niej bardzo dobrzy, zaproponowano jej wystąpienia publiczne w zamian za wysokie honoraria. Miała opowiadać o tym, co ją spotkało, przestrzegać ludzi. Odmówiła. Trafiła do mnie, bo jest w Komitecie organizującym pomoc dla potrzebujących w Polsce. Prosiła o adresy, na które będzie można wysłać paczki.

Pierwszego dnia kiedy uruchomiono połączenia telefoniczne, Łazarska starała się porozumieć z Warszawą. Ale telefon w domu jej ojca nie odpowiadał. Trochę nas to zaniepokoiło, ale doszliśmy do wniosku, że albo przebywa w szpitalu, albo nie podnosi słuchawki, trzeciej ewentualności nie braliśmy pod uwagę. To znaczy ja może trochę, ona absolutnie nie. Wreszcie zdecydowała się zadzwonić do byłego męża, polecona przez niego pielęgniarka nie miała w domu telefonu. Kiedy ktoś się po tamtej stronie odezwał, zabrakło jej nagle odwagi. Mnie oddała słuchawkę. Spytałem o Witolda Łazarskiego i o powód milczenia jego telefonu. Ona wpatrywała się we mnie, a kiedy skończyłem rozmowę, zmienionym głosem spytała:

– Jak się czuje?

– Dobrze... To znaczy umarł...

I było to najgłupsze zdanie, jakie wypowiedziałem w życiu.

(z zapisków A.Ł. Słowa stawiane w pośpiechu, rozsypane po stronie)

Co czuję? Zdumienie. Zdumienie bez granic, że już go nie ma. I nie będzie. Niewysłowiona miłość i przywiązanie do martwego ciała. Do zamkniętych oczu. Wiem, jak wyglądają jego powieki. Wyglądają, jakby się zrosły z oczodołami. One przeczuwały pierwsze... Zawsze się bałam, widząc go tak uśpionego... Woskowa, mocno obciążająca czaszkę skóra, jej liczne fałdy na szyi. To wszystko już zastygło. Nie ma w tym ruchu. Nie ma ożywienia myślą. Porozumieniem. Pod tą starością i chorobą był przecież jego doskonały umysł. Starcze usta otwierały się, by wypowiedzieć to dobrze znane „Anka!” i unieważnić rozdzielającą nas starość.

Dlaczego wtedy pod murem nie schylił się po mnie o dziesięć lat młodszy? Jeszcze przez dziesięć lat moglibyśmy być razem...

Ostatnio był taki malutki i lekki, jakby miał pneumatyczne kości. Zresztą przypominał trochę ptaka: ostry profil, długa, uderzająco chuda szyja...

Jak żyć bez jego głosu? Jego głos mnie animował...

I jakaś błakająca się myśl: Nie mógł umrzeć, zanim mu nie powiedziałam, że do niego wracam.

Tak się nie umiera! To jakieś straszne świństwo. Nigdy nie chciał na mnie zaczekać. Zawiązywałam but, a on szedł dalej. Musiałam go gonić, ze swoim sercem! Tylko komu zrobić ten wyrzut? Ojciec już nie ma pamięci.

Pójdę za nim „tam” i powiem, ale czy możemy być razem? Kto się zechce „tam” do mnie przyznać?...

I zaraz: Tracę zmysły. Przecież żyję. On by wcale nie chciał, on się tak złościł, kiedy z czegoś rezygnowałam. Zarzucał mi brak charakteru. Słabość. Dlatego go w końcu opuściłam, że byłam słaba...

Nie ma go. Naprawdę go nie ma. Chociaż zawsze brzmiało to jak żart. Z takich słów mogłam się tylko śmiać...

Mam miękkie kolana, jak wtedy na schodach, kiedy się mijaliśmy, ja z futerałem na skrzypce pod pachą... Dla niego to była rezygnacja, dla mnie wybór. Ale to skrzypce mnie wybrały.

Nigdy nie byłam zdolna do podejmowania decyzji, już z warszawskiego lotniska chciałam do niego wracać, ale stewardesa mnie zawołała. Poszłam za nią, wsiadłam do samolotu...

Mój były mąż, którego on tak nie znosił, załatwiał wszystkie formalności, potem szedł za jego trumną w towarzystwie tej przypadkowej kobiety, tej pielęgniarki. Na miłość boską, jak do tego doszło? Kto jest winien?

Zawsze mu chciałam służyć, czułam się nawet szczęśliwa. Podać kaptcie, kupić gazetę... Wierny piesek, posłaniec... Może przeczuwałam, że przyniósł mnie kiedyś do domu jak parszywego psa. I nie zniechęcił się tym, że byłam odrażająca, że cuchnęłam...

Los wskazał na nas palcem, los posłał go wtedy pod mur. I on był posłuszny, włożył płaszcz i kapelusz, zabrał ze sobą parasol...

Opląkuję schorowane, zmumifikowane ciało, zamknięte w paru deskach... Ono zawsze było punktem odniesienia. Ten umarły mózg za mnie myślał, dyktował mi...

Czy przypomnę sobie dziesięć zdań, jakie on do mnie wypowiedział?

- 1) Za szeroko trzymasz łokcie przy jedzeniu, wyglądasz jak nastroszona kokoszka.
- 2) Już po dwunastej, gaś światło, jutro masz trudny dzień.
- 3) Anka, nie wzięłaś szalika, dzisiaj jest ostry wiatr!
- 4) Jak chcesz, możesz wyprowadzić Fila, tylko nie spuszczaaj go ze smyczy, suka sąsiadów ma cieczkę.
- 5) Pamiętaj, że masz iść dzisiaj do dentysty?
- 6) Telefonował ten amerykański impresario, będzie dzwonił jutro rano.
- 7) Dzwoniłem do LOT-u, samolot odlatuje o dziewiątej. Zrobiłem rezerwację.
- 8) Karteczka na stole w kuchni: „Idę już spać, indyk jest w lodówce, żurawiny w słoiczku na drzwiach”.
- 9) Znowu obcięłaś włosy?
- 10) Wychodzę, powinienem wrócić około dziesiątej.

Takie rozmowy z ojcem? Gdzie są te inne słowa, których nie wypowiedzieliśmy? Gdybyśmy tylko potrafili... przecież poza zwyczajną krzątaniną byliśmy jeszcze my, on i ja... i te wszystkie wspólne płaszczyzny, więc one istniały bez słów? Naprawdę bez słów?

Jak mu miałam powiedzieć, że chcę do niego wrócić... skoro mu nie powiedziałam, że od niego odeszłam... Nie powiedziałam, bo nie umiałam powiedzieć... ja po prostu nie umiałam...

Nie umiałam mu wyznać, że mnie zranił. On mnie na taką ewentualność nie zaprogramował... Mówię bzdury... on mi naprawdę niczego nie zarzucał... dawał mi pełną wolność, to ja chciałam być z nim.

Życie! Skoro zezwalasz, abyśmy otrzymali cię w darze, bądź ludzkie. Ciebie nie można przeżyć. Ciebie można tylko przecierpieć. Doświadczysz każdego, dziecko, kobietę, starca... Każdego oszukasz, upokorzysz tylko dlatego, że odważył się ciebie przyjąć.

Życie! Dlaczegoś odciągnęło mnie od ojca? Odpowiesz za to. Ja z ciebie zrezygnuję. Tylko jak to zrobić, żeby to miało sens?

Na to pytanie Łazarska znalazła odpowiedź.

(ostatni zapis w dzienniku W. Ł.)

Przypomniało mi się pewne wydarzenie, o którym wspominał Z. Krążyło po Warszawie jako żydowski dowcip, ale Z. zaklina się, że coś takiego miało miejsce w getcie jesienią 1940 r. Otóż eksmitowano z mieszkania pewną kobietę, samotną matkę z dziećmi. Błagała niemieckiego oficera o litość.

– Pozostanie tu pani pod warunkiem, że pani odgadnie, które oko mam sztuczne.

– Lewe – odparła bez wahania.

– Jak pani odgadła?

Na to kobieta:

– Bo jest ludzkie.

Dreńczy mnie, że nie spytałem Z., czy oficer dotrzymał słowa.

(z zapisków A.Ł. Strona, która umknęła mojej uwadze)

Do K. przyjechaliśmy wieczorem i ojciec stwierdził, że już za późno na składanie wizyt. Ale przecież ja się musiałam zobaczyć z Władkiem. W ciągu tych sześciu lat widzieliśmy się jeden raz, przyjechał do mnie.

Z kwaśną miną i zalem w sercu wylądowałam w łóżku. Ale nie doceniłam Władka. W kilka minut po zgaszeniu światła zapukał w okno, mimo że było to pierwsze, wysokie piętro.

Odszukał w ciemności moją twarz i włosy, dokładnie sprawdzając dłońmi, czy to na pewno ja, potem objął mnie w pasie.

– Nic nie jesteś grubsza – powiedział z niezadowoleniem – musisz nabrać figury.

– Po co? – spytałam rzeczowo.

– Bo będę się z tobą żenił.

Nie ożenił się ze mną, ale spotkaliśmy się po latach w dość nietypowych okolicznościach. Wróciłam z zagranicy kilka miesięcy później, niż to podawałam w ankiecie. W biurze paszportowym kazano mi się wytłumaczyć. Okazało się, że miałam to zrobić przed Władkiem. Wyrósł, przytył, bardzo przypominał teraz pana Brzózkę. Zmienił nazwisko na Brzozowski, uznając, że to prawdziwe jest za mało poważne na taki urząd. Nie zdziwiłam się, gdy zobaczyłam go w tej roli, on się do niej naprawdę nadawał. Sprawdziły się słowa ojca, który kiedyś powiedział, że Władek ma ubeckie serce.

(list, który Łazarska pozostawiła w pensjonacie na stole)

Oskarżam ludzi o męczeńską śmierć mojej siostry Chai, o zmarnowane życie mojej drugiej siostry, Ewy, o śmierć nieznanego ojca, o cierpienia i śmierć głodową wujka Natana, o cierpienia ponad miarę cioci Sary, jej męża i jej dzieci.

Oskarżam ich o śmierć mojej dziewiętnastoletniej ciotki Sonii o rozpacz mojej ciotki z ulicy Chłodnej.

Oskarżam ich o to, że nie dano mi szansy godnego dzieciństwa.

Oskarżam ich, że zwątpiłam w dobrego człowieka Witolda Łazarskiego, że Go potem opuściłam w cierpieniu i chorobie.

Oskarżam ich, że po czterdziestu latach dosięgnęła mnie wojna.

Zdrowa na ciele i umyśle oświadczam, że przyjmuję swój zagubiony na wiele lat los. Czuję się córką swoich rodziców, Ewy i Samuela Zargów, czuję się siostrą Ewy i Chai, a także wnuczką mojego dziadka, właściciela małej restauracyjki w Wilnie i starego pisarza w jednej osobie.

Urodziłam się jako córka narodu Izraela i jako taka odchodzę. Swoją śmiercią ostrzegam wszystkich ludzi

ja

Miriam Zarg

Zdrowa na ciele i umyśle oświadczam, że czuję się jedyną córką Witolda Łazarskiego, że uznaję w nim prawdziwego ojca. Że podziwiałam Go, kochałam i szanowałam za życia i tak samo podziwiam Go, kocham i szanuję po Jego śmierci.

Swoją śmiercią ostrzegam wszystkich ludzi

ja

Anna Łazarska

To ja zawiadomiłem siostrę Anny i jej szwagra. Przylecieli własnym samolotem. Oczekiwałem ich na lotnisku. Kiedy Ewa Zarg-Seideman zbliżała się do mnie, zrozumiałem, dlaczego dziadek Anny od razu ją poznał, przedtem trochę jej nie dowierzałem. One rzeczywiście były do siebie uderzająco podobne. To była Anna o parę lat starsza, ta sama twarz, te same, jak to kiedyś określiła, „strasznie czarne oczy”.

Rozmowa toczyła się w języku francuskim, gdyż nie znałem dobrze angielskiego. Mąż Ewy był tłumaczem. Byłem nawet z tego zadowolony, bo wszystko, o co mnie pytała, trafiało do niej z drugiej ręki i może było przez to łatwiejsze do przyjęcia.

Spytała, czy widziałem jej siostrę po śmierci, udzieliłem twierdzącej odpowiedzi. Potem spytała, czy Anna ma całą twarz. Odrzekłem, że tak. Spadła na dach jakiegoś samochodu, który zamortyzował upadek, niestety nie dość skutecznie. Umarła z powodu obrażeń wewnętrznych.

Potem rozmawialiśmy o pogrzebie. Było jasne, że nie może być pochowana tutaj, w Niemczech Zachodnich. Oni chcieli zabrać jej zwłoki do Ameryki, wtedy powiedziałem, że wolałaby wrócić do Polski.

– Po co? – spytała jej siostra. – Teraz nikogo już tam nie ma. Dziadek jest z nami w Ameryce.

– Ona tam żyła.

– Ale wtedy była kimś innym.

Wydawało mi się skomplikowane im tłumaczyć, oświadczyłem więc, że taka była jej wola. Ale nie byłem tego pewien do końca.

Pierwsza moja myśl po przeczytaniu listu Anny Łazarskiej była... zabezpieczyć materiały. Coś z niej ocalić, zatrzymać, żeby nie odeszła tak ze wszystkim. Ręce mi się trzęsły, kiedy chowałem do torby zapisane jej ręką kartki, taśmy. Nagrywaliśmy oboje, o czym nie wiedziałem do końca. Być może mi nie ufała i wolała mieć własny zapis naszych rozmów. Nie potrafię powiedzieć, co naprawdę myślała o mnie. Na początku traktowała mnie chłodno, z rezerwą, potem to się zaczęło zmieniać.

Tygodniami przygotowywałem te materiały, spałem po dwie, trzy godziny, schudłem kilkanaście kilo, co sprawiło, że znajomi przestali poznawać mnie na ulicy.

Kim byłem w tym czasie? Nie ulega wątpliwości, byłem rzecznikiem Anny Łazarskiej, załatwiająca jednocześnie formalności związane z przetransportowaniem jej zwłok do Polski. Nie było to proste, stan wojenny dodatkowo wszystko skomplikował. Ewa Zarg-Seideman nie mogła mi ofiarować niczego poza pomocą finansową, pilne sprawy jej męża wzywały ich do Ameryki. Odlecieli swoim samolotem. Pomocy finansowej nie przyjąłem, zapewniając, że koszty pokryję z honorarium za książkę.

Myślę, że ona by tego chciała. Zawsze jej przecież zależało, żeby żyć na własny rachunek, myślę, że tak samo chciała umierać.

W końcu jej trumna znalazła się na płycie lotniska. Anna Łazarska odlatywała sama w swoją ostatnią podróż. Na towarzyszenie jej nie otrzymałem zgody; jak orzekli urzędnicy, byłem osobą postronną. Obcą. Niezwiązaną... Trumnę z jej zwłokami miał w Polsce odebrać jej były mąż. Poleciłem wyryć na pomniku napis, którego także do końca nie byłem pewien... Zgodnie z moim życzeniem mąż Anny Łazarskiej przysłał mi fotografię rodzinnego grobu Łazarskich.

Irena Łazarska 1902-1943 ur. w Kielcach prawnik

Witold Łazarski 1902-1982 ur. w Strużnie prawnik

Miriam Zarg 1942-1982 ur. w Warszawie skrzypaczka

Oboje odeszli w tym samym roku, oboje śmiercią samobójczą, czego na szczęście nie dowiedziała się nigdy. Nie dowiedziała się, że na widok pielęgniarki spytał: – Gdzie jest moja córka? – i tego samego wieczoru przyjął podwójną dawkę morfiny.

Po złożeniu materiałów w wydawnictwie (nie odważyłbym się nazwać ich książką, to były tylko kawałki losu Anny Łazarskiej, którego dwoistość nie wiem na ile dała się uchwycić) znalazłem się w pustce. Zamknąłem się w swoim mieszkaniu, nie odbierając telefonów, nie przyjmując nikogo. Piłem. Trwało to chyba kilka tygodni. Przesuwały się przede mną obrazy tych kilku ostat-

nich miesięcy. Twarz Anny rozświetlona uśmiechem, twarz Anny płaczącej, twarz Anny w gniewie... Czy mogłem zapobiec temu, co się stało? Ile mogło zależeć ode mnie? Ona mnie oszukała. Tak spokojnie. Tak spokojnie przyjęła wiadomość o śmierci ojca. Wyglądało na to, że się z nią pogodziła, a nawet odczuła ulgę. Sprawa w Polsce załatwiła się sama. Boże, jaki ja byłem głupi! Jaki ja byłem zarozumiały! Wydawało mi się, że poznałem tę kobietę, że potrafię przewidzieć jej reakcje... Zadufany w sobie błazen. Może gdybym jej powiedział, że w żadnym z domów w getcie nie było dziewiątego piętra, może to by ją powstrzymało, nie znalazłaby swojego okna... Ale podczas gdy ja tokowałem w redakcji, a może piłem w bufecie piwo, ona... 22 marca był dzień jej urodzin... miała je obchodzić po raz pierwszy w swoim świadomym życiu, nie wolno było wtedy zostawić jej samej... Cóż za straszny błąd!... Umówiliśmy się jak zwykle o trzeciej po południu. Prawdę mówiąc, zapomniałem... dla mnie i dla świata Anna Łazarska urodziła się 25 grudnia. Nasz przyjaciel Z. odmłodził ją o kilka dobrych miesięcy, dokładnie o siedem... tylko... jak miałem pamiętać, skoro listy Chai trafiły do mnie już po śmierci Anny. Tak... ja nic nie wiedziałem, tak samo jak nie wiedziałem o dziewiątym piętrze, które musiało być pomyłką dziesięcioletniej dziewczynki. Może to było czwarte piętro, góra piąte. Gdyby z piątego piętra spadła na ten samochód, może byłaby jakaś nadzieja... co za straszny pech... Coś mnie musiało niepokoić, skoro wybiegłem nagle z redakcji i pojechałem do pensjonatu. Byłem tam kilka godzin wcześniej przed zaplanowanym spotkaniem. Twarz właścicielki nic mi jeszcze nie powiedziała. Nie mogła powiedzieć, Anna po prostu wyszła. Ale przedtem nigdy nie wychodziła, zawsze zastawałem ją na miejscu. Więc jeżeli teraz zdecydowała się opuścić pensjonat, mogła to zrobić na zawsze. Widząc moją minę, kobieta uśmiechnęła się.

– Ona nie wzięła rzeczy, ona poszła na spacer – rzekła – nareszcie złapie trochę powietrza...

Od tych słów zakręciło mi się w głowie. Jestem przekonany, że w tym momencie pomyślałem o matce Anny, która czterdzieści lat wcześniej też złapała trochę powietrza... Byłem zdecydowany Anny szukać. Wziąłem klucz od jej pokoju, w nadziei, że zostawiła dla mnie wiadomość. Ale to była wiadomość dla wszystkich ludzi...

Łączyło mnie z nią coś, czego nie da się nazwać. Tak, to było nienazwane uczucie, wiążące mnie z nią do końca mojego życia. Jej twarz zapamiętana w każdym szczególe, niespecjalnie ładna, trochę nijaka, stała się dla mnie czymś najbardziej drogim. Jej oczy, ich intensywny kolor i smutek, były pięknem zapierającym oddech. Piękno świata zmieściło się w tych oczach bez trudu. I ona je dla mnie ze sobą zabrała...

Któregoś ranka spojrzałem w lustro, zastając tam dziką twarz zarośniętego faceta. Ten facet mi powiedział.

– Anna odeszła, musisz to wreszcie przyjąć do wiadomości i żyć dalej.

A ja mu odpowiedziałem.

– Mogłem się spodziewać, że zrobi coś takiego. Być może podświadomie czekałem na to...

Były to prorocze słowa, bo szybciej, niż sądziłem, musiałem wrócić do złożonego w wydawnictwie tekstu.

Po tej konwersacji z samym sobą w lustrze wziąłem kąpiel, ogoliłem się, i jak zwykle w pośpiechu dopiwszy kawę, ruszyłem na rozmowę z wydawcą. Przyjął mnie nieco zakłopotany.

– Myślałem, że położysz pan większy nacisk na sprawy polskie – rzekł – na to, co się tam teraz dzieje. Opinia jest zainteresowana. Ludzie to na pewno kupią.

– Nie myślałem w ten sposób.

– A właśnie. Pan chce coś sprzedać, ja chcę kupić, ale potem chcę też, żeby to ktoś kupił ode mnie.

– Sprawa jest niezwykła. Przynajmniej godna uwagi.

– Ciągłe ktoś wyskakuje z okna albo do siebie strzela. To już nie jest towar – skrzywił się ten za biurkiem.

– To w ogóle nie jest towar. To jest sąd nad światem.

– O ile wiem, sąd nad światem jeszcze nie miał miejsca – odpowiedział z uśmiechem.

– To pan tak uważa – powiedziałem, wstając.

W innych wydawnictwach rozmowy przebiegały podobnie, powtarzało się jedno: brak aktu-

alności. Gdyby bohaterka popełniła samobójstwo, protestując przeciw temu, co się dzieje w jej kraju, to byłoby na czasie. Ale jakieś tam sprawy sprzed czterdziestu lat...

– Zamiast listów tej małej z getta niech pan dopisze listy pani Łazarskiej do Jaruzelskiego.

Ona go błaga, a on jej nie chce wpuścić. I w końcu jest winien jej śmierci. To jest temat.

Czym prędzej się wyniosłem, nie chcąc uszkodzić faceta.

Napisałem do Ewy Zarg-Seideman, że nie mogę znaleźć w Niemczech Zachodnich wydawcy. Zaczęła go poszukiwać w Ameryce i odniosła sukces. Z tekstem w walizce poleciałem do Nowego Jorku. Tym razem ona i jej mąż spotkali mnie na lotnisku. Kiedy szedłem w ich stronę, znowu uderzyło mnie to niezwykle podobieństwo obu siostr.

Wkrótce siedziałem przed następnym biurkiem.

– Bardzo ciekawe – powiedział Amerykanin – naprawdę godne wagi. Tylko... Panie Benek, jest taka jedna sprawa. Forma. Forma trochę się nie nadaje na nasze warunki. To nie Europa, tutaj wszystko musi być *easy*, inaczej nie będą tego czytać. Oni mają telewizję, oni mają komiks. Chyba żeby było głośne nazwisko, ale takiego nazwiska nie ma... Tu się po prostu nie da inaczej – ciągnął z przepraszającym uśmiechem. To był naprawdę niegłupi facet. – Jak panu, panie Benek, wyleci jakaś kartka na podłogę, niech jej pan nie wkłada na koniec, niech ją pan włoży na swoje miejsce...

Korzystając z gościnności siostry Anny, pracowałem nad książką tym razem naprawdę. Miałem ją podpisać swoim nazwiskiem, a bohaterką miała być Anna. Na szczęście, poza uwagami technicznymi, wydawca nie zgłaszał innych pretensji. Nie żądał uaktualnienia tekstu ani wprowadzenia akcentów politycznych.

Któregoś dnia na tarasie domu Seidemanów przeprowadziłem krótką rozmowę ze starym pisarzem.

– Jak się panu podoba w Ameryce? – spytałem. – Jak wiem, jest pan tu od niedawna.

– Mnie już nie ma od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – odrzekł ze spokojem.

Mieszkając pod jednym dachem z Ewą Zarg, ukradkiem jej się przyglądałem. I dla mnie była kimś, kto widział, jak żandarm Niemiec wrywał jej siostrze oczy. Znałem jej dalsze losy i w żaden sposób nie mogłem ich przypasować do tej skromnej postaci. W jej twarzy było coś z niewinności dziecka, jakieś zdziwienie światem, a ona miała prawo niczemu się już nie dziwić.

Była bardzo uważna; kiedy pomyślałem, że wypiłbym jeszcze jedną filiżankę herbaty, podawała mi ją z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Jadaliśmy przy jednym stole, mimo że rodzina stosowała się do nakazów religijnych, ja byłem z tego oczywiście wyłączony. Oni zmieniali talerze, inne do mięsa, inne do mleka, czyli do białego sera w tym przypadku.

Dziadek Anny powiedział mi:

– Żydzi czczą swego Boga w każdej minucie. Dla Niego się modlą, tańczą, śpiewają... nasze życie jest religią...

Tak, to był z pewnością bardzo religijny dom, dzieci też się do niej stosowały. Córeczka Ewy, Chaja, skończyła siedem lat. Była z pewnością ładnym dzieckiem, o mądrych, trochę za dorosłych oczach. Pomyślałem, że to może sprawa imienia, które nosi. Kiedy zbliżyłem się z Ewą, spytałem, czy nie obawia się, że zaciąży ono na losie jej córki.

– To imię musiało odżyć – odpowiedziała.

– I nie boi się pani?

– Boję się – odrzekła z prostotą.

Pracowałem nad książką, zwykle w ciepłe dni przesiadując na tarasie, gdzie pod parasolem ustawiono mi stolik. W drugim kącie tarasu dziadek Anny uczył małą Chaję jidysz. Kiedy to odkryłem, wzruszenie ścisnęło mi gardło. Pomyślałem, że być może matka dziecka ma rację, to imię odżyło...

Oddałem gotowy tekst do wydawnictwa i mogłem się przyjrzeć bliżej rodzinie Seidemanów. Dawid Seideman był prawie nieobecny, pojawiał się tylko w weekendy. Ewa sama prowadziła dom, robiąc zakupy, gotując, do sprzątania przychodziła jakaś kobieta.

Któregoś dnia wybrałem się z Ewą do Bostonu, najbliższego wielkiego miasta. Ona prowadziła samochód. Nigdy bym nie podejrzewał jej o tak doskonałą jazdę. Przekroczyliśmy nieznacz-

nie szybkość i prawie natychmiast zostaliśmy zatrzymani. Ewa wysłuchała kazania, w trakcie którego raz jeden przechwyciłem jej wzrok, był w nim przeblysł porozumienia, jakby chciała puścić do mnie oko. Ośmieliło mnie to na tyle, że spytałem o hotel, w którym wujek Natan umierał śmiercią głodową. Przez jej twarz przesunął się cień i natychmiast pożałowałem swojej głupiej ciekawości. Nie odpowiedziała nic, chodziliśmy po sklepach, robiąc zakupy, pomagałem jej wkładać paczki do samochodu. Potem na tarasie kawiarni wypiliśmy kawę. Rozmawialiśmy o jej dzieciach, o zbliżającej się uroczystości. Syn Ewy i Dawida kończył wkrótce trzynaście lat, to wielki dzień dla Żydów. Myślałem, że wracamy, gdy nieoczekiwanie na jednej z ulic zatrzymała samochód.

– To tam – rzekła, wskazując ręką jakiś dom. Hotel, a właściwie hotelik, istniał do dziś.

– Wejdziemy? – spytała.

Przytaknąłem gorąco. Żeby dostać się do pokoju, musieliśmy go najpierw wynająć. Wchodziliśmy po wąskich, wyścielonych dywanem schodach. Przekręciłem klucz i weszliśmy do środka. Zwyczajny hotelowy pokój, niezbyt duży. Tapczan, stół, szafa w ścianie. Bezosobowe wnętrze.

Ewa rozglądała się z dziwnym wyrazem twarzy i nagle się rozplakała. Łzy płynęły jej po policzkach. W nagłym odruchu wyciągnąłem rękę, a ona przytuliła się do mnie. Gładziłem jej wstrząsane płaczem plecy. Powoli się uspokajała. Pomyślałem, że gdybym miał odwagę przytulić Annę, gdybym miał odwagę wyciągnąć do niej rękę, ona by tu była teraz ze mną. Na pewno chciałaby odwiedzić pokój, w którym wujek Natan żegnał życie. Może dlatego chciałem tu przyjść. Za nią.

Ewa zaczęła mówić.

– Miał taką spokojną twarz jak nigdy za życia. Uśmiechał się, a może to była tylko śmierć...

I jakby przerwała się w niej tama, zaczęła mnie wypytywać o Annę. Jaka była? Mądra? Dobra? Czy bardzo była nieszczęśliwa? I to najważniejsze pytanie. Dlaczego popełniła samobójstwo?

– Czy ona nie umiała być Żydówką?

Po głębokim namyśle odrzekłem:

– Ona nie umiała być już sobą.

Wracaliśmy w milczeniu. Kiedy samochód wjechał do garażu, nieoczekiwanie dla samego siebie powiedziałem:

– Trudno jest być Niemcem. Ja jestem taki wdzięczny, że wy...

Ewa Zarg-Seideman przerwała mi.

– Panie Benek, my pana wszyscy bardzo szanujemy. Pan dużo zrobił dla mojej siostry i dla naszego narodu... A ja w getcie znałam Żydów, którzy byli tacy sami jak hitlerowcy. Ale ci Żydzi byli gorsi...

Wraz z rodziną Seidemanów z niecierpliwością czekałem na odpowiedź z wydawnictwa. W końcu zadzwonił telefon. Ewa oddała mi słuchawkę. Patrzyła na mnie z napięciem jak kiedyś Anna.

– Biorę – usłyszałem. – Tylko co z tytułem?

Zastanowiłem się chwilę.

– Niech będzie „Wybór Anny”.

Od autora:

Nie ustaję w wysiłkach, by wydać tekst także w jego pierwotnej, a więc, moim zdaniem, prawdziwszej formie. Prowadzę w tej chwili rozmowy z wydawnictwem w Krakowie. Bądźmy dobrej myśli.

Warszawa, wrzesień 1984 – luty 1986

¹ Wj 11,1-3.

² Nie, nie sędę, żeby się nam mogło udać. Z powodów, o których rozmawialiśmy. Wielka szkoda. Miniony rok przyniósł tyle radości. Było wiele chwil, kiedy czułem się bardzo szczęśliwy. Ale oboje jesteśmy zrośnięci z miejscem naszego pochodzenia i nie umiałem tego zmienić. Moje korzenie są zbyt silne. Będę za to płacił. Wciąż jesteś mi bardzo bliska i myślę o Tobie co dzień.
(przyp. red.).

